OFIARY ZNÓW SAME
Pedofilia w Kościele: sprawca zmarł, sprawy nie ma

TYSIĄCE WAJRAKÓW
W Polsce rośnie ekologiczny gniew

SAMORZĄD SIĘ NAM UDAŁ
Teraz go chrońmy i przed rządem, i przed opozycją

USA–IRAN
Wojna trwa, ale w sieci

Kraków 7 lipca 2019 nr 27 (3652) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA, POETKA I BOTANICZKA:

Pozwól się dotknąć zieleni

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Nie obrażaj się. Nigdy się nie obrażaj (chyba że taktycznie).

KS. ADAM BONIECKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. GRAŻYNA MAKARA

Wydanie jubileuszowe od 10 lipca w sprzedaży.

Więcej na powszech.net/boniecki85

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: *To też część naszej historii*

Jak już donosiliśmy na łamach „Tygodnika”, brat Alois, przeor wspólnoty Taizé, poinformował francuską prokuraturę o nadużyciach seksualnych wobec małoletnich popełnionych w przeszłości przez członków wspólnoty.

Brat Alois napisał: „Jeśli dziś zabieram głos, to dlatego, że z największym smutkiem, dowiedziawszy się o przypadkach, w których winni byli bracia, i mimo że są już leciwi, uznaliśmy we wspólnocie, że mamy obowiązek o tym powiedzieć. Chodzi o pięć przypadków agresji o charakterze seksualnym wobec maloletnich, popełnionej w latach 1950–1980 przez trzech braci, z których dwaj od ponad piętnastu lat już nie żyją. (...) Uznajemy, że akty agresji popełnione w przeszłości przez braci stanowią także część historii naszej wspólnoty. Poinformowanie o tym wpisuje się dla nas w pracę na rzecz prawdy, która rozpoczęła się od wysłuchania ofiar. Dziś nasze myśli kierują się nade wszystko do nich. Słuchając o tym, co przeżyły i przecierpiały, odczuwamy głęboki wstyd i ból. Możliwe, że te słowa pobudzą do ujawnienia się innych ofiar, o ile te istnieją. Jesteśmy gotowi ich wysłuchać i towarzyszyć im w działaniach, które będą chciały podjąć”.

W tym mogącym służyć innym za wzór oświadczeniu szczególnie uderzyło mnie zdanie: „Uznajemy, że akty agresji popełnione w przeszłości przez braci stanowią także część historii naszej wspólnoty”. Odruchem każdej wspólnoty jest ukazywanie swojej historii w możliwie pięknych barwach. A jeśli cień na ten obraz rzuca ktoś, kto nie żyje, tak bardzo byśmy chcieli uznać sprawę za zamkniętą. W rozmowie z Anną Goc i Przemysławem Wilczyńskim, którzy w tym numerze opisują taką sprawę z przeszłości, o. Adam Żak przypomina, że zgodnie z jednym z punktów wytycznych Episkopatu w przypadku oskarżenia pod adresem zmarłego duchownego „nie należy wszczynać dochodzenia kanonicznego, chyba że zasadnym wydałoby się wyjaśnienie sprawy dla dobra Kościoła”. Jeśli się prowadzi dochodzenie, to ani prawo kościelne, ani prawo państwowe nie przewidują zakończenia go wyrokiem. Ojciec Żak mówi o tym podobnie jak brat Alois: „Można jedynie przeprowadzić dochodzenie o wartości historycznej, zbierając świadectwa pokrzywdzonych. Jedno jest pewne: niezależnie od tego, czy takie dochodzenie rusza, czy nie, pokrzywdzonym należy się pomoc”.

„Wartość historyczna” – mówi o. Adam Żak. Brat Alois : „To stanowi część historii naszej wspólnoty”. Obaj też na pierwszym miejscu stawiają dobro ofiar. Uczono nas: *de mortuis nihil nisi bene* (o zmarłych tylko dobrze). Prawo nie przewiduje wyroku. Ale jest coś więcej, o czym w poprzednim numerze „Tygodnika” pisał abp Grzegorz Ryś: „Czy moralność jest jedynie odpowiedzialnością wobec prawa? Czy nie jest raczej odpowiedzialnością za drugiego człowieka? Czy prawo nie tego właśnie dotyczy? – odpowiedzialnych i właściwych relacji między ludźmi? OK. Jesteś w porządku wobec prawa... Co do litery zapewne tak, ale czy co do jego ducha (dla nas: Ducha!) również?”.

Tak, winy ludzi Kościoła są częścią historii naszej wspólnoty. Zdawać się mogło, że po publicznym wyznaniu win ludzi Kościoła przez Jana Pawła II w marcu 2000 r. „lukrowana” historia Kościoła odejdzie do lamusa. „Módlmy się – wzywał wtedy papież – aby dzięki kontemplacji Jezusa, naszego Pana i naszego Pokoju, chrześcijanie umieli żałować za słowa i czyny, które podyktowała im nieraz pycha, nienawiść, żądza panowania nad innymi, niechęć do wyznawców innych religii i do słabszych grup społecznych, takich jak imigranci i Cyganie”. Abyśmy umieli żałować... Może i żałujemy.

Z pewnością wielu z nas cierpi z powodu przestępstw ludzi Kościoła. Gorzej z tymi, którzy cierpią nie z powodu przestępstw, ale z powodu ich ujawnienia.

„Księgi się otworzą karty / Gdzie spis grzechów jest zawarty / Za co świat karania warty. / Kiedy sędzia więc zasiędzie, / Wszystko tajne jawnym będzie, / Gniewu dłoń dosięże wszędzie” (sekwencja „Dies irae”). ©℗

POŻEGNANIE

Piotrowi i Hani najserdeczniej współczujemy z powodu śmierci Mamy

Ś.† P.

Janiny Mucharskiej

która zmarła 1 lipca w Krakowie.

Każdy, kto miał szczęście spotkać Waszą Mamę, wie, jak serdeczną i życzliwą była osobą.

Piotrze, Haniu, obejmujemy Was mocno

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego” i z Fundacji Tygodnika Powszechnego

32 Nie ma sprawy
ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Kościół deklaruje pomoc ofiarom księży-pedofilów. Pod warunkiem, że sprawca żyje.

22 Nie dzielcie Polski na Wschód i Zachód
Z DAWIDEM SZEŚCIŁĄ, EKSPERTEM DS. ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ, ROZMAWIA RAFAŁ WOŚ:
Samorząd nie potrzebuje dziś rewolucji. Jest najbardziej udanym eksperymentem ustrojowym we współczesnej historii naszego kraju.

44 Ego & Realpolitik
JAN SMOLEŃSKI Z WASZYNGTONU
Eskalacji w Zatoce Perskiej towarzyszy kolejny kryzys w relacjach atlantyckich. Jak oceniają go amerykańskie elity? I co z tego wynika dla Polski?

48 Patriarchat w służbie kobiet
ROZMOWA Z AYOBAMI ADEBAYO, NIGERYJSKĄ PISARKĄ:
Nasza kultura i system prawny przesiąkły wartościami epoki wiktoriańskiej. Na ich podstawie trudno dziś organizować społeczeństwo.

64 Fasola patrzy na księżyc
Z URSZULĄ ZAJĄCZKOWSKĄ, BOTANICZKĄ I POETKĄ, ROZMAWIA KATARZYNA KUBISIOWSKA:
Dlaczego człowiek odpoczywa patrząc na zieleń? Bo w niej siedzieliśmy miliony lat.

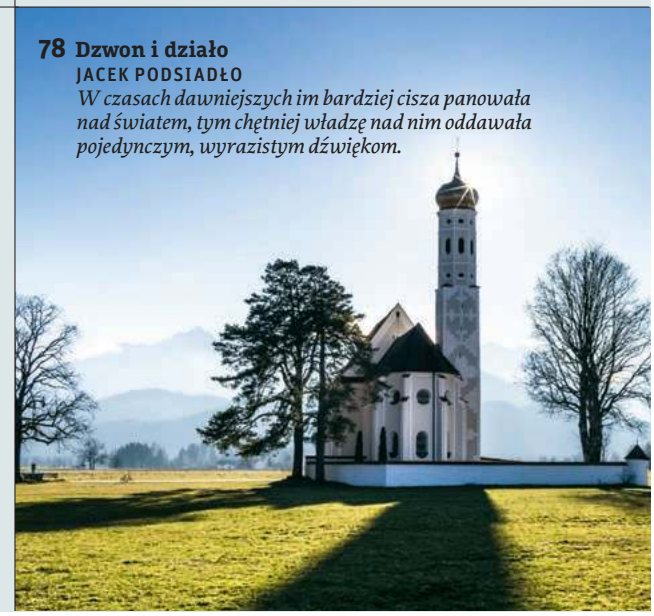

78 Dzwon i działo
JACEK PODSIADŁO
W czasach dawniejszych im bardziej cisza panowała nad światem, tym chętniej władzę nad nim oddawała pojedynczym, wyrazistym dźwiękom.

JOANNA RUSINEK // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // MICHAEL LIONSTAR / WWW.AYOBAMIADEBAYO.COM // MICHAEL KRUTZENBICHLER / GETTY IMAGES // RAFAL SIDERSKI DLA „TP" // MANDEL NGAN / AFP / EAST NEWS

6 W poszukiwaniu Świętego Graala MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Nie dzielcie Polski na Wschód i Zachód ROZMOWA Z DAWIDEM SZEŚCIŁĄ

26 Herosi domowego zacisza LAURA JURGA: *Rodzice i opiekunowie osób niepełnosprawnych nadal mogą liczyć głównie na siebie*

28 Ta ławka jest wspólna ROZMOWA Z PIOTREM ŻYŁKĄ, PREZESEM FUNDACJI ZUPA: *Bezdomność to nie jest coś, co definiuje człowieka*

WIARA

32 Nie ma sprawy ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

40 Skarby chrześcijan Wschodu ROZMOWA Z O. SAMEREM SORESHOWEM YOHANNĄ, *opatem zakonu z Kościoła chaldejskiego w Iraku*

42 Nieogarniony MACIEJ MÜLLER: *o książce „Wiara w trudnych czasach" Józefa Majewskiego*

ŚWIAT

44 Ego & Realpolitik JAN SMOLEŃSKI

47 Cios, który wyszedł z sieci AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Wojna toczy się w cyberprzestrzeni właśnie teraz*

48 Patriarchat w służbie kobiet ROZMOWA Z AYOBAMI ADEBAYO

TEMAT TYGODNIKA

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

12 Trzydzieści sekund nad Bugiem

KRZYSZTOF STORY

Niedaleko Warszawy Łukasz Długowski tworzy pierwszy w Polsce obywatelski rezerwat przyrody. Opowieść o nim to przykład naszej walki o klimat. Małej, oddolnej, niewystarczającej. I jedynej, jaką mamy.

16 Nikt nam nie powie, co mamy robić

Z MARTĄ SAPAŁĄ ROZMAWIA MARCIN ŻYŁA:

Nabraliśmy w Polsce odwagi w wyrażaniu ekologicznego wkurzu. To już nie są działania wąskiej grupy wtajemniczonych aktywistów.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
43 SZYMON HOŁOWNIA
55 WOJCIECH BONOWICZ **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: URSZULA ZAJĄCZKOWSKA
Fotografia: RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

51 Czy S-400 strąci prezydenta MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Kolejne kłopoty Erdoğana*

52 Plamy na słońcu ROMAN HUSARSKI: *Na projekt zbliżenia się dwóch Korei kładzie się cień*

54 Finlandyzacja po mołdawsku PIOTR OLEKSY

HISTORIA

56 Ostatnie tabu ROZMOWA Z JOANNĄ OSTROWSKĄ, *autorką książki „Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej"*

NAUKA

60 Wszechświat na tablicy MARIA CIEŚLAK-GOLONKA: *150 lat temu powstał układ okresowy pierwiastków chemicznych*

KULTURA

64 Fasola patrzy na księżyc ROZMOWA Z URSZULĄ ZAJĄCZKOWSKĄ

69 Pamięć, która jest ważna PIOTR KOSIEWSKI: *Sztuka Doroty Nieznalskiej*

72 Szlachetni zdrajcy Albionu JAKUB MAJMUREK: *Szpiedzy, agenci i seriale*

74 Wiek niewinności ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Rolling Thunder Revue: Opowieść o Bobie Dylanie od Martina Scorsese"*

76 Muchy w Astrachaniu LEKTOR *o książce Josepha Rotha „Podróż do Rosji"*

ZMYSŁY

78 Dzwon i działo JACEK PODSIADŁO

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

Warszawa, wrzesień 2018 r.

SZUKAJĄC ŚWIĘTEGO GRAALA

Muzułmanie? Zagrożenie. Ukraińcy? Sami się zasymilują. Projekt polityki migracyjnej Polski właściwie nie jest zaskoczeniem – toczka w toczkę oddaje, jak fatalnie przygotowujemy się do następnych dekad.

MARCIN ŻYŁA

Jeden naród, jedna religia. Tak, za Stowarzyszeniem Interwencji Prawnej, które opublikowało ich projekt, można streścić założenia polskiej polityki migracyjnej spisane w MSWiA. Teoretycznie miał to być przewodnik dla resortów i następnych rządów (brakowało go od 2012 r., wobec inercji władz centralnych politykę migracyjną prowadziły ostatnio głównie samorządy). W praktyce – powstał spis pobożnych życzeń i kronika złych snów władzy na temat współczesnego świata.

Słowo „islam" pojawia się w 70-stronicowym dokumencie 47 razy, niemal zawsze w kontekście zagrożenia (m.in. obszerny przypis o ofiarach zamachów terrorystycznych w Europie). Nie tylko to jednak wywołało poruszenie wśród badaczy. – Władze wyruszają na poszukiwania migracyjnego Świętego Graala: chcą osiągnąć niemożliwe – komentuje w rozmowie z „Tygodnikiem" dr Konrad Pędziwiatr z Centrum Zaawansowanych Badań Ludnościowych i Religijnych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. – Powtarzają mantrę o porażce wielokulturowości. W erze globalizacji i superzróżnicowania stawiają na imigrantów z państw bliskich kulturowo, gotowych jakoby porzucić wszystko, żeby przyjechać do Polski, oazy szczęśliwości. Do kraju, który nie musi się do ich przyjazdu przygotować – wylicza Pędziwiatr. I dodaje: – Islam jest

wciąż używany do wywoływania strachu. To dokument bardziej wpisujący się w politykę wyznaniową niż migracyjną.

Dr hab. Paweł Kaczmarczyk, dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami UW cieszy się, że w projekcie przyznano, iż negatywnym zmianom demograficznym nie można przeciwdziałać wyłącznie przy pomocy imigracji (trzeba też zwiększać dzietność i włączać do rynku pracy wykluczone z niego grupy). Na tym jednak pochwały się kończą. – Dokument ignoruje współczesny stan wiedzy na temat migracji. Zakłada, że integracja zależy głównie od pochodzenia. Skupia się na repatriantach, ale nie analizuje potencjału polskiej diaspory na Zachodzie. Pomija fakt, że już mniej więcej połowa zarobkowej migracji do Polski odbywa się przez agencje pośrednictwa, a to oznacza, że rząd traci kontrolę nad tym procesem. Wreszcie: zakłada, że w Polsce jest społeczeństwo-monolit, które wyznaje te same wartości i pielęgnuje te same zwyczaje – niczym wzór, do którego powinni się zbliżyć asymilujący się imigranci – mówi „Tygodnikowi" Kaczmarczyk.

– W projekcie MSWiA cudzoziemcy mają przyjmować za swoje obowiązujące u nas wartości światopoglądowe i religijne. Już sobie wyobrażam, jak zareagowałyby nasze władze, gdyby Niemcy ogłosili, że przystępują do asymilowania imigrantów z Polski – dodaje Pędziwiatr.

Od pięciu lat polski rynek pracy ratuje od półtora do dwóch milionów (w szczycie sezonu) imigrantów z Ukrainy. Coraz więcej zakłada tu rodziny, zapuszcza korzenie. Mówi się o nich: „są jak nasi", „sami się asymilują". Jednak eksperci ostrzegają: jeśli nie stworzymy im warunków do lepszej integracji, nie umożliwimy nauki języka, lepszej edukacji dzieci, wtedy Polska może stracić ten potencjał.

Co może nas czekać w zamian, jeśli projekt nowej polityki migracyjnej wejdzie w życie? – Duża liczba pracowników sezonowych bez praktycznie żadnych praw poza tymi podstawowymi na rynku pracy, a przed imigrantami długoterminowymi poprzeczka postawiona tak wysoko, że ich liczba będzie bardzo niska – wylicza Paweł Kaczmarczyk. – Znamy już takie systemy: to państwa Zatoki Perskiej, w których traktowaniem pracowników z zagranicy muszą się w pierwszym rzędzie interesować organizacje praw człowieka.

©℗

Kto zawiódł w sprawie Blanki?

DO ZABÓJSTWA DZIEWIĘCIOMIESIĘCZNEJ DZIEWCZYNKI z Olecka doszło 21 czerwca. Zatrzymani rodzice usłyszeli zarzut morderstwa ze szczególnym okrucieństwem, znęcania się nad dzieckiem i wykorzystywania seksualnego.

W sprawie Blanki szokuje sekwencja zdarzeń. Już miesiąc po narodzinach sąd postanawia odebrać dziecko rodzicom i umieścić je w rodzinie zastępczej. Powód? Zaniedbywanie dziecka i nadużywanie przez matkę substancji psychoaktywnych. Tyle że już w połowie marca sąd wydaje decyzję o powrocie dziewczynki do rodziców. Uzasadnienie? Matka – jak miał ustalić kurator sądowy – poddała się leczeniu.

Wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik poinformował kilka dni temu, że prokuratura zajmie się m.in. wyjaśnieniem ewentualnego niedopełnienia obowiązków przez cztery instytucje: sąd, Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, policję i kuratorów. Z akt wynika, że matka Blanki w lutym mówiła, iż nie jest gotowa do sprawowania opieki nad dzieckiem. Podobne deklaracje miał składać ojciec. Jak to możliwe, że informacje te nie dotarły do instytucji decydujących o losie dziewczynki?

Sprawa ma też szerszy kontekst, choć trudno dziś rozstrzygnąć, czy – a jeśli tak, to w jakim zakresie – miał on wpływ na tragedię w Olecku. To polityka państwa wobec zagrożonych rodzin; polityka, której priorytetem jest od kilku lat rodzina biologiczna. „Od dawna istniał nacisk na wsparcie rodzin, teraz ten nacisk jest większy. Pracownicy socjalni, asystenci robią wszystko, by nie doszło do odebrania dzieci, a sądy bywają ostrożniejsze w decyzjach" – mówiła rok temu „Tygodnikowi" Dorota Hildebrand-Mrowiec, prezes Stowarzyszenia Sędziów Rodzinnych w Polsce. A asystentka rodzinna z dużego miasta na południu opowiadała nam m.in. o niedofinansowaniu systemu pomocy, głodowych pensjach dla pracowników socjalnych czy asystentów, i nakładającej się na te istniejące od lat zjawiska presji, by dzieci pozostawały przy rodzicach: „W jednej rodzinie od ośmiu lat trwa stagnacja, polegająca na nadzorze kuratorskim, ale w sprawie przemocy czy nadużywania alkoholu nic się nie zmieniło. Rozmawiałam niedawno z koleżanką asystentką, która usłyszała od kuratora: »Wie pani, teraz nie ma klimatu na odbieranie dzieci«".

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pomoc dla rodziny stolarza

SPOŁECZNĄ RENTĘ, tj. finansowaną z pieniędzy ofiarowanych przez polskich darczyńców, ma otrzymać rodzina Wasyla Czorneja, 36-letniego Ukraińca, który zmarł, gdy polska menedżerka firmy, w której pracował, nie udzieliła mu pomocy.

Czornej przebywał w Polsce od czterech miesięcy; pracował nielegalnie na budowie i w zakładzie stolarskim pod Nowym Tomyślem. Z relacji wynika, że zasłabł; przyczyną mogła być praca w upale w oparach farb. Menedżerka nie pozwoliła wezwać pogotowia, wywiozła go do lasu i porzuciła; zwłoki znalazł leśnik. Udało się je zidentyfikować, a policja aresztowała kobietę (grozi jej 5 lat więzienia). Aby Wasyl mógł zostać pochowany w rodzinnej wsi Trójca koło Śniatynia, wioska – w której, jak pisze lokalny portal, w każdym domu ktoś pracuje za granicą – zebrała pieniądze, bo rodziny nie było stać na sprowadzenie zwłok. Śmierć Czorneja odbiła się wielkim echem na Ukrainie, pisały o tym chyba wszystkie ważniejsze media i lokalne portale. Mężczyzna zostawił żonę, córki w wieku 7 i 12 lat oraz 9-letniego syna (na zdjęciu podczas pogrzebu).

HALYNA TERESHCHUK / / RADIOSVOBODA.ORG

Działaczka społeczna Martyna Bogaczyk zaapelowała o zebranie budżetu, z którego będzie możliwe wypłacanie wsparcia dla rodziny Wasyla Czorneja (2 tys. zł miesięcznie) do czasu, aż najmłodsze z dzieci osiągnie pełnoletność. Pod koniec czerwca współorganizator akcji Witold Horowski podał, że zebrana już kwota, przekazana przez kilka tysięcy osób, wystarczy na 7 lat wypłacania takiej społecznej renty. Zbiórkę prowadzi Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne Polska-Ukraina z Poznania (nr konta 37 1090 1854 0000 0001 1451 2044, z dopiskiem „Dla dzieci Wasyla").

©℗ WP / RADIO SVOBODA, TSN, FB

Klauzula sumienia, klauzula wyczucia

PAWEŁ BRAVO

Trybunał Konstytucyjny uznał za niezgodną z ustawą zasadniczą część przepisu kodeksu wykroczeń, który dotąd karał za odmowę świadczenia usług bez uzasadnionej przyczyny. Wyrok dotyczy głośnej sprawy drukarza z Łodzi, który w 2017 r. odmówił druku plakatu organizacji zrzeszającej osoby homoseksualne. Powoływał się na przekonania religijne. Kolejne sądy uznawały go za winnego. Sprawa nabrała symbolicznego charakteru dla obecnej władzy. Minister sprawiedliwości złożył kasację do Sądu Najwyższego, który – oddalając ją rok temu – stwierdził, że przekonania religijne mogą być w pewnych okolicznościach podstawą odmowy usługi, ale nie w tym konkretnym przypadku.

I to właśnie kontekst, indywidualne sytuacje i atmosfera w kraju są ważne przy ocenie podobnych spraw. Przy jakiego typu działalności swoboda gospodarcza (np. doboru klientów) może być ważniejsza od równości dostępu do pewnego zakresu usług? Rzecz wymaga roztropności i wyczucia. Prawo do odmowy świadczenia określonych usług z powodu przekonań chroni wszak sumienie nie tylko katolików. Ale nie może przyczyniać się do dyskryminacji. W polskim kontekście dyskryminacja ta dotyka częściej osoby homoseksualne lub cudzoziemców niż osoby należące do etnicznego i religijnego „mainstreamu". To te pierwsze są w wypowiedziach ważnych polityków wcieleniem zła. Stąd zasadna jest obawa, że wyrok TK pogorszy ich sytuację w przestrzeni publicznej. ©℗

Jak minister w POLIN

DARIUSZ STOLA, dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, po upływie pięcioletniej kadencji nie został automatycznie powołany na zajmowane dotąd stanowisko: Ministerstwo Kultury uznało, że należy zorganizować konkurs, choć współodpowiedzialne za placówkę stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny i Miasto Warszawa nie uważały tego za konieczne. Stola do konkursu stanął i półtora miesiąca temu wygrał go, otrzymując 11 z 15 głosów.

Co w tej sytuacji robi minister Piotr Gliński? Do dziś nie uznał wyników konkursu i nie wręczył nominacji; jego zastępca mówi, że na podjęcie decyzji może potrzebować nawet roku. W sumie trudno się dziwić: stosunek obecnej władzy do prawa i procedur jest dość swobodny. Z drugiej strony wydawałoby się jednak, że ryzykowanie kolejnej międzynarodowej awantury (sprawy tego muzeum leżą na sercu Światowemu Kongresowi Żydów i American Jewish Committee, a w związku z tym także USA) nie jest w interesie rządu. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

SŁOWA. Jan Duda, profesor – prywatnie ojciec Andrzeja, prezydenta – udzielił wywiadu. Obok diagnoz socjologicznych („Twierdzę, że główną przyczyną rozwodów jest fakt, że można wziąć rozwód"), nieznanych faktów z życia syna („Bywa, że on się lubi zdenerwować, trzasnąć drzwiami, powiedzieć brzydkie słowo"), wypowiedział się w „Gazecie Krakowskiej" na temat kobiet: „Kryzys męskości wynika z przesadnej emancypacji (...) Wyemancypowane kobiety wpadły we własną pułapkę. Nie zostawiają miejsca dla mężczyzn. Tymczasem mężczyźni mają wrodzone skłonności do podejmowania trudnych wyzwań, wymagających dużego wysiłku (...)".

SŁOWA. Wyrażoną po akademicku wizję pozycji kobiet ukonkretnił poseł PiS, a prywatnie mężczyzna – Andrzej Szlachta. Zaapelował w Sejmie do jednej z posłanek, by „takiego mentorskiego tonu nie stosowała, bo nawet to nie jest stosowne jako kobiecie" (składnia oryginalna).

SŁOWA. Koncepcję pożądanej hierarchii społecznej uzupełnił w TVN24 inny poseł PiS (prywatnie ojciec) Tadeusz Cymański. „Kiedyś przewijałem dziecko w pieluszce, wierzgało, wierzgało, mówię: »przestań«, nerwy puściły, dałem klapsa" – wyznał, biorąc w obronę rodziców, „którym zdarzy się czasem stracić panowanie".

CZYNY. Na szczęście ubiegły tydzień upłynął obozowi władzy nie tylko na mówieniu, ale też na konkretnym działaniu. Rządowe służby prasowe ujawniły na Twitterze, iż premier „uczestniczy w uroczystym podpisaniu listu intencyjnego w sprawie wyrażenia woli współpracy na rzecz podjęcia działań w zakresie opracowania Wstępnego Studium Wykonalności dla Wrocławskiego Węzła Kolejowego".

PiS będzie bronić swoich sędziów

RZĄD ANI MYŚLI USTĘPOWAĆ w konflikcie dotyczącym sposobu selekcjonowania kandydatów na sędziów oraz karania sędziów. Chodzi o działalność dwóch instytucji: Krajowej Rady Sądownictwa oraz Izby Dyscyplinarnej w Sądzie Najwyższym.

Sędziowie SN, obawiając się o swoją niezależność, skierowali pytania prawne do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE). W minionym tygodniu PiS zaliczył wstępną porażkę: rzecznik generalny TSUE (rodzaj prokuratora) uznał, że KRS i Izba Dyscyplinarna nie są niezawisłe od władzy wykonawczej.

KRS wybiera kandydatów na sędziów. Po wyborach PiS rozpędził poprzednią Radę, wyłanianą przez środowiska sędziowskie, a nową wybrał w sejmowym głosowaniu. Zatem to politycy wybrali KRS – i to nie podoba się rzecznikowi TSUE. Podobnie jest z Izbą Dyscyplinarną. To sztandarowy produkt PiS: osobna komórka w Sądzie Najwyższym, która ma sądzić prokuratorów, sędziów i adwokatów. Składa się głównie z byłych prokuratorów, awatarów Zbigniewa Ziobry.

Teoretycznie sędziowie TSUE, którzy swoje orzeczenie wydadzą jesienią, mogą zignorować zdanie rzecznika. Ale to sytuacja rzadko spotykana.

Także w minionym tygodniu PiS przegrał pierwszą sprawę dotyczącą sądów przed TSUE: chodzi o próbę obniżenia wieku emerytalnego sędziów, aby wprowadzić swoich ludzi do Sądu Najwyższego. Tutaj PiS, spodziewając się porażki, jeszcze przed orzeczeniem wycofał się z tych przepisów.

Jak rządzący postąpią w sprawie KRS i Izby Dyscyplinarnej? Tu kroku w tył nie będzie. Doradcy prawni PiS przekonują, że opinia rzecznika nie obroni się przed TSUE. „Nie ma w prawie unijnym przepisów, które dają możliwość podważenia legalności obu tych instytucji – mówi nasz rozmówca, zaangażowany w postępowanie. – I nie pozwolą na to inne państwa, bo takie orzeczenie także im wiązałoby ręce w sprawie organizacji wymiaru sprawiedliwości".

Wyrok TSUE zapadnie zapewne w najgorętszej fazie kampanii wyborczej. Podważenie przez trybunał Izby Dyscyplinarnej oraz KRS oznaczałoby praktycznie koniec marzeń PiS o przejęciu kontroli nad sądami. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Dwie kurie, dwa podejścia

ARTUR SPORNIAK

Kościół instytucjonalny w Polsce deklaruje chęć wyjaśnienia wszystkich spraw związanych z wykorzystaniem seksualnym osób małoletnich przez duchownych. Niektóre z nich wymagają współpracy z prokuraturą. Jak ta współpraca rzeczywiście wygląda? W ostatnim czasie mieliśmy dwa tego przykłady: negatywny i pozytywny – z obu odpowiedzialni w Kościele wiele się mogą nauczyć.

Pozytywnym przykładem jest postępowanie kurii kieleckiej, która bez trudności przekazała prokuraturze dokumentację dotyczącą historii Anny, przedstawionej w filmie „Tylko nie mów nikomu" braci Sekielskich (Anna jako ośmioletnia dziewczynka została wykorzystana seksualnie przez ks. Jana A.). Prokuratura bada trop innych molestowanych dziewczynek, o których mowa jest w filmie. Kuria kielecka przedstawiła też publicznie szczegółową historię zgłoszenia tego przypadku. Dowiadujemy się z niej, że już 9 maja akta sprawy zgodnie z obowiązującymi wytycznymi wysłane zostały do Watykanu.

Na tym tle fatalnie wypada kuria poznańska. Odmówiła wydania akt sprawy księdza z Chodzieży, który zgwałcił ministranta. Najpierw zasłaniała się „tajemnicą zawodową", a gdy sąd zwolnił ją z tej tajemnicy, brakiem akt, które trafiły do Watykanu. Nawet jeśli kuria rzeczywiście nie ma już tych akt (nauczka, by robić kopie!), niezrozumiałe jest niezaoferowanie prokuraturze pomocy w kontakcie z Watykanem. ©℗

KARINE PERRET / AFP / EAST NEWS

Problemy z odbudową Notre Dame

TO NIE BYŁO PODPALENIE – wynika ze śledztwa w sprawie pożaru paryskiej Notre Dame. Śledczy skupiają się na instalacji zasilającej dzwony i skrzynce elektrycznej zamontowanej podczas stawiania rusztowań. Tymczasem media donoszą o chaosie decyzyjnym: prezydent Macron chce pokazać światu odbudowaną katedrę podczas olimpiady w 2024 r. i zarzuca urzędom ds. zabytków opieszałość. Zbiórka na odbudowę idzie wolniej niż sugerowały początkowo media po pożarze obietnice setek milionów euro od francuskich potentatów zdawały się czynić masowe zbiórki bezzasadnymi. Tymczasem to drobni darczyńcy zebrali już 80 mln euro, a „wielcy" czekają na kosztorysy i promesy zabezpieczające wykorzystanie ich środków... Na zdjęciu: arcybiskup Paryża przewodniczy 15 czerwca pierwszej po pożarze mszy w katedrze, w kaplicy Matki Bożej. ©℗ MAM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RELIKWIE DLA PRAWOSŁAWNYCH. „Podczas modlitwy przyszła mi taka myśl: ja już nie mieszkam w Pałacu Apostolskim, nigdy nie używam tej kaplicy, nigdy tu nie odprawiam mszy św. Mamy relikwie św. Piotra w bazylice, więc po co jeszcze tutaj te relikwie. Będzie lepiej, jak będą one w Konstantynopolu". Tak – według relacji metropolity Hilariona – Franciszek tłumaczył przekazanie relikwii św. Piotra z prywatnej kaplicy papieskiej delegacji prawosławnego Patriarchatu Konstantynopola.

KIRSTY O'CONNOR / / EAST NEWS

SYMBOLICZNA NOMINACJA. Jest pierwszą czarnoskórą kobietą mianowaną biskupem w Kościele anglikańskim. 58-letnia urodzona na Jamajce dr Rose Hudson-Wilkin otrzymała nominację na biskupa Dover. BBC określiła nominację jako „symbolicznie istotny moment dla Kościoła anglikańskiego". Jak dodano, jedynie 7,7 proc. osób otrzymujących w tym Kościele święcenia kapłańskie wywodzi się z mniejszości etnicznych, a aż 94,8 proc. osób na pozycjach biskupich, archidiakońskich i kanoników to biali Brytyjczycy.

OSOBY LGBT W KOŚCIELE. „Odpowiadamy za język, którym mówiono i mówi się o osobach LGBT, za działania, jakie były podejmowane, za przymuszanie do terapii konwersyjnej. Znane są nawet sytuacje, że w skrajnych przypadkach osoby LGBT skutecznie targnęły się na własne życie. Ludzie Kościoła powinni za to przeprosić" – mówi dominikanin o. Andrzej Kuśmierski w „Magazynie Kontakt". Rozmowa z nieformalnym duszpasterzem osób LGBT ukazała się w bloku tekstów poświęconych trudnej sytuacji takich osób w Kościele.

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Mniej, czyli więcej

TRZY ZDANIA – TO CAŁY WYWIAD, udzielony przez papieża emeryta magazynowi „Sette" (dodatkowi weekendowemu do dziennika „Corriere della Sera"). Pierwsze o Włoszech: kraju pięknym, ale pogrążonym w chaosie, idealnym na wakacje, ale niezbyt atrakcyjnym z powodów politycznych. Drugie: że jest jeden papież, Franciszek. Trzecie: że Kościołowi zawsze groził rozłam, ale jedność okazywała się silniejsza.

Niewiele, jak na osiem stron tekstu – resztę materiału stanowi opis spotkania, duże zdjęcia, komentarze o relacji urzędującego papieża z papieżem emerytem, uwagi o jego wciąż błyskotliwej inteligencji. Niewiele, bo Ratzinger zabierał już głos wcześniej i obficiej: udzielił dwóch wywiadów, pisał wstępy do książek i polemiczny artykuł do czasopisma. Niedawno opublikował „Uwagi o kryzysie pedofilii", wskazując na całkiem inne jego przyczyny niż zwykł to robić Franciszek. Tekst wzbudził w Watykanie konsternację; pojawiły się głosy, że emeryt powinien milczeć, a nawet pomysły, by go do tego prawnie przymusić. Ale Franciszek, który wyraził zgodę na publikację „Uwag" (podobnie jak na każde inne publiczne wystąpienie Ratzingera), uważa, że głos poprzednika jest Kościołowi potrzebny.

Niemieckie powiedzenie mówi, że czasem mniej znaczy więcej. Lapidarne słowa Benedykta dla „Sette" potwierdzają, że on nie będzie przyczyną rozłamu. Co więcej: staje się gwarantem jedności, studząc zapędy tych, którzy widzieli w nim doktrynalno-moralną alternatywę dla Franciszka i domagali się impeachmentu urzędującego papieża. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Bezkarna Rosja wraca do Rady Europy

WOJCIECH KONOŃCZUK ZE LWOWA

Znaczną większością głosów Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy zdecydowało o przywróceniu Rosji pełnych praw, zawieszonych w 2014 r. w związku z jej agresją na Ukrainie. Przeciw zagłosowały w całości jedynie delegacje państw bałtyckich i Gruzji oraz niemal wszyscy przedstawiciele Polski, Wielkiej Brytanii i Szwecji. Decyzję podjęto, choć Moskwa nie wypełniła ani jednego z postawionych jej warunków. Zwyciężyła tradycyjna już krótka pamięć Zachodu, gdzie ciągle dominuje paradygmat współpracy z Rosją „mimo wszystko".

Ceną takiego podejścia jest jednak utrata wiarygodności. Na Ukrainie decyzję tę przyjęto z niedowierzaniem i gniewem; dominuje tu przekonanie, że Zachód wybrał drogę dialogu z agresorem, która już tyle razy w historii okazywała się zawodna (pojawiają się porównania z konferencją monachijską z 1938 r.). Ale Kijów niewiele może zrobić – zwłaszcza że inicjatorami głosowania były Niemcy i Francja, na których opiera się polityka europejska Ukrainy.

Rosja świętuje zwycięstwo z nieukrywaną satysfakcją, uznając je za „przejaw zdrowego rozsądku Europy" i krok ku zniesieniu unijnych sankcji. I choć Rada Europy to osobna instytucja (niezwiązana z UE), nie jest wykluczone, że Kreml może mieć rację, gdyż w Unii słychać ostatnio coraz więcej głosów kwestionujących zasadność ich dalszego utrzymywania. Wzmacnia to rosyjskie przekonanie, że polityka przeczekania sankcji przy jednoczesnym braku jakichkolwiek ustępstw jest słuszna. Tylko końca wojny w Donbasie nie widać. ©℗

USA-Meksyk: śmiertelna Río Grande

TWITTER

ZDJĘCIE OJCA I CÓRKI (na fotografii obok), którzy utonęli próbując przedostać się do USA, wstrząsnęło Ameryką. Ich tragedia jest postrzegana jako kolejny symbol zaostrzonej przez Donalda Trumpa polityki imigracyjnej.

Na brzegu Río Grande w płytkiej wodzie leżą ciała Salwadorczyka Oscara Ramíreza i jego córeczki Valerii; jej ręka oplata szyję ojca. Oboje próbowali przeprawy przez rzekę koło mostu łączącego meksykańskie miasto Matamoros i Brownsville w Teksasie. Ryzykowali – zamiast poprosić o azyl na przejściu granicznym – bo chcieli uniknąć restrykcji wprowadzonych przez administrację Trumpa. Od jesieni 2018 r., gdy „karawana" latynoskich migrantów szturmowała granicę USA, ograniczono liczbę przyjmowanych dziennie wniosków o azyl. W Matamoros na złożenie wniosku w przepełnionych obozach czeka ok. 2 tys. osób. Oznacza to, że Ramírezowie utknęliby w obozie na kilka miesięcy lub dłużej, bo według nowej polityki Białego Domu na rozpatrzenie wniosków trzeba czekać w Meksyku.

Desperacja wśród migrantów narasta. Od października 2018 r. do dziś zatrzymano prawie 600 tys. osób próbujących nielegalnie przedostać się do USA. Chcąc zatrzymać największy w ciągu dekady napływ migrantów, administracja Trumpa w czerwcu wymusiła na Meksyku większe restrykcje także po drugiej stronie granicy. Dramatycznych zdjęć z tego pogranicza może być więcej.

© MARTA ZDZIEBORSKA z Kalifornii

Drżenie Angeli Merkel

CZUJĘ SIĘ DOBRZE, nie mam nic szczególnego do zakomunikowania: tak niemiecka kanclerz, przebywająca na szczycie G-20 w Japonii, skomentowała spekulacje o swym zdrowiu. Pojawiły się w mediach po tym, jak Merkel dwukrotnie nie mogła opanować drżenia całego ciała. Gdy stało się to po raz pierwszy, na powitaniu prezydenta Ukrainy, Urząd Kanclerski podał, że przyczyną było długie przebywanie na słońcu i odwodnienie. Gdy rzecz się powtórzyła na uroczystości w pałacu prezydenckim, podano tylko, że kanclerz jest zdrowa. Kilka gazet sugerowało, powołując się na kręgi rządowe, że powtórne drżenie miało psychologiczne podłoże: miała być to obawa przed publicznym powtórzeniem się takiej sytuacji.

„Gdy Merkel drży, cały świat się przygląda – pisze komentator „FAZ". – Podczas 14-letniego już urzędowania Merkel okazała się bardzo silna fizycznie i psychicznie. Czy jednak teraz ujawnia się haracz za wielkie obciążenie, z jakim związany był i jest ten urząd? Po sieci krążą już sępy, które cieszą się, jakoby Merkel dotarła do granicy cielesnych możliwości. Ich krakanie może ona ignorować. Ale w demokracji uprawnione jest pytanie o stan zdrowia szefowej rządu, gdyby miały pojawić się kolejne powody, by się o nią martwić".

Rzecznik rządu podał, że Merkel nie zmienia swych planów. ©℗ WP / REUTERS, DPA, FAZ

KULTURA W SKRÓCIE

CEDRIC SOLTANI @ STUDIODROPPED.D

NIEPOROZUMIENIE. Wydana w Niemczech książka „The Tampon Book" już pierwszego dnia po premierze stała się bestsellerem. Publikacja jest odpowiedzią na podniesienie do 19 proc. stawki podatku VAT na tzw. dobra luksusowe, do których zaliczono tampony i inne środki higieny dla kobiet (podatek od artykułów papierniczych wynosi 7 proc.). „The Tampon Book" składa się z 46 stron, na których opisano historie związane z menstruacją, zawiera też 15 tamponów. Cena: 3 euro. Mniej więcej tyle samo kosztuje opakowanie tamponów.

ROZDŹWIĘK. Cykl siedmiu fotografii Pawła Sadaja „Hotel Meduza" znajdzie się na prestiżowej wystawie NordArt w niemieckim Büdelsdorfie. Praca polskiego grafika i fotografa jest jedną z 200 wyróżnionych spośród 3 tys. nadesłanych na konkurs. NordArt to jedna z największych wystaw sztuki współczesnej w Europie, w tym roku będzie to jej 21. edycja. Sadaj pokazał rozdźwięk między polityką a sprawami zwykłych ludzi, zestawiając znane postaci z malarstwa europejskiego.

AWARIA. Ekscytującą wizję promocji Polski realizuje Polska Fundacja Narodowa, hojnie sponsorowana przez spółki Skarbu Państwa. Jednym z pomysłów na zagospodarowanie budżetu był projekt żeglarski „Polska 100": załoga jachtu „I love Poland" miała odwiedzić sto portów na pięciu kontynentach. Uszkodzony jacht od kwietnia stoi w porcie Portsmouth w USA. Ile kosztuje promocja Polski w hrabstwie Newport? Do końca czerwca Fundacja miała złożyć raport roczny z działalności. Na razie nic o nim nie wiadomo, za to do dymisji podał się właśnie prezes Filip Rdesiński.

Nadchodzą starożytne białka

FRAGMENTY DNA pozyskiwane ze skamieniałości liczących dziesiątki tysięcy lat zrewolucjonizowały naszą wiedzę o ewolucyjnej historii człowieka. Dzięki ich analizie dowiedzieliśmy się m.in. o istnieniu denisowian – grupy ludzi zamieszkujących niegdyś rozległe obszary środkowej i wschodniej Azji – a także o tym, że krzyżowali się oni zarówno z neandertalczykami, jak i członkami naszego gatunku.

Starożytne DNA nie jest jednak zdolne przetrwać w każdych warunkach. W gorącym środowisku, jakie panuje w południowej Azji czy Afryce, łańcuchy DNA szybko ulegają degradacji. Rekordowo długo zachowane DNA pochodzi sprzed ponad 400 tys. lat – nie mogliśmy się więc z niego dowiedzieć niczego o początkach ludzkości.

Ze starożytnymi białkami, takimi jak choćby kolagen pozyskiwany ze skamieniałych kości czy zębów, jak przekonuje Matthew Warren w „Nature", może być inaczej. Są one w stanie przetrwać miliony lat w różnych środowiskach – a naukowcy właśnie nauczyli się je badać. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

THEY SHALL NOT GROW OLD – OFFICIAL TRAILER

Wielka Wojna według Jacksona

„NIGDY SIĘ NIE ZESTARZEJĄ": taki tytuł nosi film o brytyjskich żołnierzach podczas I wojny światowej, którego premiera w kinach Austrii i Niemiec odbyła się w ubiegłym tygodniu – w setną rocznicę pokoju wersalskiego, który zakończył konflikt między Niemcami a krajami Ententy, na czele z Wielką Brytanią i Francją.

Nowozelandzki reżyser Peter Jackson, znany z ekranizacji Tolkiena, sięgnął po niezwykłą technikę: sporządzone wiek temu nagrania, czarno-białe i nieme, pokolorowano i udźwiękowiono, także w wersji 3D. Jackson, którego dziadek wtedy walczył, skupił się na obrazach młodych żołnierzy brytyjskiej Wspólnoty Narodów, ich doświadczeniach wojny okopowej (zginęło ich 900 tys., dwa razy więcej niż w kolejnej wojnie). W krajach anglosaskich film miał premierę w 2018 r., w rocznicę rozejmu. Widzowie mówili, że robi wielkie wrażenie przez „ożywienie" na ekranie ludzi, o których wiemy, że większość nie przeżyła.

Podobną techniką posłużyli się twórcy filmu „Powstanie Warszawskie" z 2014 r.: nagrania z 1944 r. pokolorowano, udźwiękowiono i zmontowano w fabułę. Niektórzy recenzenci przyznali, że płakali podczas projekcji. ©℗ WP / KLEINEZEITUNG.AT, FAZ, SPON

Bogaci pożyją dłużej

CZEKA NAS KLIMATYCZNY APARTHEID, prawo do życia zaś może „wypaść" z katalogu praw człowieka – ostrzega Philip Alston, specjalny sprawozdawca ONZ ds. ubóstwa. W raporcie przedłożonym właśnie Radzie Praw Człowieka ostrzega, że bogate społeczeństwa będą w najbliższych dekadach „wykupywać" się od głodu (jednym z efektów zmian klimatu mają być niedobory żywności), a przemoc ekonomiczna nie tylko pogłębi podział Północ–Południe, ale może być nawet przyczyną wojen. Alston szacuje, że uboższe regiony świata, choć odpowiadają ze emisję tylko 10 proc. gazów cieplarnianych, poniosą trzy czwarte kosztów związanych ze zmianą klimatu.

To nie wszystko: nawet na Zachodzie bogaci są w sytuacji uprzywilejowanej. Alston podaje przykład huraganu Sandy – kiedy w 2012 r. nadciągnął on nad Nowy Jork i większość mieszkańców została pozbawiona prądu, „siedzibę firmy

PIOTR SKORNICKI / AGENCJA GAZETA

Goldman Sachs chroniły dziesiątki tysięcy »korporacyjnych« worków z piaskiem i własny generator prądu", a „prywatne jednostki strażackie zostały skierowane do ochrony domów najbogatszych". I choć bez kontekstu brzmi to nieco demagogicznie, „nadmierne zaufanie" wobec sektora prywatnego może doprowadzić do „klimatycznego apartheidu", w którym zamożni „będą uciekać przed skutkami wzrostu temperatur, głodu i wojny". Prezentację raportu ONZ-owski dyplomata zakończył kolejnym ostrzeżeniem: czas przyznać, że sama idea praw człowieka „może nie przetrwać nadchodzącego nieszczęścia". ©℗ ŻYM

Umysł rozproszony

OŚMIORNICE BYWAJĄ NAZYWANE „obcą inteligencją" – potrafią rozwiązywać rozmaite problemy i używać narzędzi, mimo że ich układ nerwowy wyewoluował niezależnie od układu nerwowego kręgowców. U nas główną rolę w przetwarzaniu informacji i podejmowaniu decyzji odgrywa mózg – swoiste centrum dowodzenia i największe skupisko komórek nerwowych. U ośmiornic centralny układ nerwowy jest znacznie mniej rozwinięty – dwie trzecie spośród 500 mln występujących u nich neuronów zlokalizowane jest w zwojach występujących w ciele – głównie w ośmiu ramionach.

Dominic Michel Sivitilli i David H. Gire z Uniwersytetu Waszyngtońskiego w Seattle postanowili bliżej przyjrzeć się działaniu rozproszonego systemu nerwowego ośmiornic podczas wykonywania przez nie różnych zadań, związanych np. z poszukiwaniem pożywienia wśród rozmaitych przeszkód. Okazało się, że zwoje nerwowe w poszczególnych ramionach są w stanie równolegle przetwarzać spływające do nich informacje oraz samodzielnie podejmować działanie. Wprawdzie dzieliły się informacjami ze zwojami występującymi w innych ramionach – dzięki czemu zwierzę mogło koordynować ruchy – ale nie komunikowały się z mózgiem. Badacze przedstawili swoje wstępne wyniki podczas konferencji astrobiologicznej w Seattle. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

PIXABAY.COM

TRZYDZIEŚCI SEKUND NAD BUGIEM

Niedaleko Warszawy powstaje pierwszy obywatelski rezerwat przyrody. Opowieść o nim to przykład naszej walki o klimat. Małej, oddolnej, niewystarczającej. I jedynej, jaką mamy.

TEKST KRZYSZTOF STORY ZDJĘCIA FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP”

Łukasz Długowski nad Bugiem, okolice wsi Ślężany, czerwiec 2019 r.

W Bugu kąpie się regularnie. Gdy zapytać go o najpiękniejsze wspomnienia znad rzeki, mówi o rzeczach małych. O biwaku na wyspie (przypomina sobie wilcze tropy, które znalazł podczas porannego obchodu). O rodzinie dzików wybiegającej z bagien. O bobrze, który towarzyszył mu podczas spaceru (Łukasz szedł, bóbr płynął wzdłuż). O kluczu łabędzi, który przeleciał mu nad głową (on płynął na plecach, środkiem rzeki, nad nim łabędzie).

– To są drobiazgi – mówi. – Polska przyroda nie jest tak spektakularna jak amerykańska. Nie mamy wielkich kanionów i potężnych ścian skalnych. Ale warto ją chronić.

29 marca 2019 r. Łukasz Długowski zakłada fundację Dziko. Pierwszy w Polsce projekt obywatelskiego rezerwatu przyrody.

Hektary

Powstający rezerwat nad Bugiem to pierwsze takie przedsięwzięcie u nas, ale świat zna podobne przypadki. Najsłynniejszy zainspirował zresztą Łukasza. To historia Douglasa Tompkinsa, biznesmena, założyciela marek The North Face i Esprit. Dziełem życia Tompkinsa nie były jednak zainwestowane miliony dolarów ani wyprodukowane ubrania, ani nawet wyczynowe wspinaczki, którym oddał całą młodość. Wręcz przeciwnie – swoje firmy nazywał maszynkami do sprzedawania rzeczy, których ludzie nie potrzebują. Dzieło życia Douglasa Tompkinsa mierzyło się w hektarach.

W 1990 r. Tompkins za 150 mln dolarów sprzedał wszystkie udziały w Esprit, wyjechał do swojej ukochanej Patagonii i został największym obszarnikiem świata. Wraz z żoną zaczęli skupować kolejne hektary chilijskiej ziemi, z którymi przez lata nie zrobili absolutnie nic. Tompkins był zwolennikiem ekologii głębokiej – uważał, że ludzie nie mają prawa niszczyć bogactwa przyrody w imię rozwoju. Kolejne porcje terenu przekazywał więc rządowi Chile pod jednym warunkiem – że na tak pozyskanych terenach władza utworzy park narodowy.

Skupował dawne pastwiska i oddawał je naturze. Skupował tereny wokół rzek i nie pozwalał na ich regulację. Nie zważał na głosy sprzeciwu. W 2015 r. zmarł podczas spływu kajakarskiego. Fundacją, którą założył, kieruje teraz jego żona. Dzięki nim Chile zyskało 4,5 mln hektarów chronionej przyrody. To tyle co powierzchnia Szwajcarii.

Wodna Białowieża

Tak to chyba powinno wyglądać, uważa Łukasz. Świat powinni ratować milionerzy, politycy, korporacje. Mają największe zasoby, możliwości, a jednak większość ekologicznych działań nadal ma charakter oddolnego, spontanicznego zrywu. Mimo że zagrożeń nie brakuje.

Łukasz wymienia te największe: emisja dwutlenku węgla, przemysłowa produkcja żywności oraz utrata habitatu. On zajął się tym ostatnim. Ochrona jednego gatunku to za mało, tłumaczy, więc zajmuje się ochroną całych ekosystemów, siedlisk dzikiej zwierzyny, naturalnych lasów i rzek. W tym celu powstała fundacja Dziko.

– Bug to niemal wodny odpowiednik Białowieży, jedna z ostatnich dzikich rzek w Polsce – mówi Długowski. Pierwszym celem jest wykupienie ziemi, by uchronić ją przed regulacją, zabudową. ↦

↦ Potrzeba sieci rezerwatów połączonych naturalnym korytarzem, jakim jest rzeka. Dzięki temu cały ekosystem będzie mógł przetrwać, rozwijać się.

Fundacja nie działa w modelu „miliarder zbawia świat". Długowski sam prowadzi zbiórkę, wykłada własne środki, stara się wokół rzeki budować wspólnotę. Próbuje negocjować z właścicielami gruntów. Dziko wykupiła już tereny pod Drohiczynem, kolejne ma zadeklarowane niedaleko Wyszkowa. W perspektywie jest jeszcze kilkadziesiąt hektarów przekazane przez właściciela. Fundacja nie zrobi z nimi nic, bo taki właśnie jest cel obywatelskiego rezerwatu.

Długowski: – Współpracuję z naukowcami, biologami, m.in. Mikołajem Golachowskim. Razem zdecydujemy, jak najlepiej chronić te tereny. Najprościej byłoby przekazać je państwu, ale państwo musi być na to gotowe. Douglas Tompkins czekał 28 lat.

Transport widzę ogromny

Państwo na ochronę Bugu gotowe nie jest. Na razie to fundacja Dziko będzie chroniła Bug głównie przed państwem. 2 lipca 2018 r. minister Marek Gróbarczyk podpisał umowę na studium wykonalności drogi wodnej E40, która ma połączyć Morze Czarne z Bałtykiem. E40 byłaby spełnieniem wizji z *exposé* premier Beaty Szydło: „Chcemy, by polskie rzeki stały się wielkimi drogami, po których będą płynąć pełne towarów barki zwodowane w rodzimych stoczniach". Oraz, jak alarmują naukowcy, katastrofą ekologiczną. W jednym z wariantów wzdłuż Bugu miałby powstać kanał żeglugowy.

„Tyle że ta rzeka sama ma problemy hydrologiczne – dla portalu OKO.press plan inwestycji skomentował hydrolog, Mateusz Grygoruk. – Jeżeli woda będzie dodatkowo pompowana do kanału, to wody w Bugu może zabraknąć dla innych użytkowników, w tym rolników i ekosystemów dolinowych".

Na zamówienie Koalicji Ratujmy Rzeki powstał raport oceniający inwestycję. Jego autorzy wyliczają, że przez budowę kanału częstotliwość dotkliwych susz w rejonie wzrośnie aż o 172 proc. Przemysław Nawrocki, biolog i działacz Światowego Funduszu na rzecz Przyrody (WWF), porównywał skalę zniszczeń do lat 50. i „wielkich budów socjalizmu, gdzie nikt nie przejmował się żadnymi uwarunkowaniami środowiskowymi".

Plany regulacji rzek nie dotyczą jedynie Bugu. Rząd zamierza przeznaczyć na ten cel, pomimo wpływu na środowisko, w najbliższych latach 80 mld zł. W marcu 2017 r. prezydent Andrzej Duda ratyfikował porozumienie o międzynarodowych drogach wodnych, zwane konwencją ANG. Porównywał wtedy polskie rzeki do chińskiej Jangcy: „Proszę państwa, tą rzeką płynęła barka za barką przez 24 godziny na dobę. Cały dzień i całą noc tą rzeką w dwie strony trwał transport – dosłownie barka za barką! I to pokazywało między innymi nieprawdopodobny potencjał tej gospodarki. Chciałbym, żebyśmy taki widok wracającego na nasze rzeki transportu rzecznego z prawdziwego zdarzenia, który oczywiście pobudza biznes i rozwija gospodarkę, żebyśmy tę perspektywę mieli".

Kanał kontra gąbka

Przekopuje się więc i reguluje kolejne małe rzeki (około 20 tys. kilometrów w ostatnich latach). Wracają też pomysły wielkich inwestycji hydrotechnicznych, jak choćby kolejny stopień wodny na Wiśle na wysokości Siarzewa. Tylko że polskie rzeki nie są jak Jangcy (której zresztą też grozi katastrofa ekologiczna). Nawet Dunaj jest od Wisły sześć razy większy. Żyjemy w jednej z najbardziej suchych części Europy i musimy swoją wodą mądrze zarządzać, stwierdzają ekolodzy.

Tymczasem duże inwestycje i regulacja rzek są (poza transportem) najczęściej tłumaczone względami przeciwpowodziowymi. Jednakże im bardziej rzeki regulujemy, tym częściej występują gwałtowne powodzie. Tracimy naturalną retencję, woda szybciej spływa do morza. W efekcie mamy falę wezbraniową, która zalewa krakowskie bulwary, a dwa tygodnie później media informują o suszy.

Łukasz Długowski: – Uregulowana rzeka jest jak kanał, którym cała fala od razu spływa w kierunku morza. Dzika – jest jak gąbka. W dzikiej rzece woda stagnuje, powoli spływa, nasącza glebę na długie miesiące.

Nie tylko nasącza, ale też filtruje. Naturalna rzeka ma właściwości samooczyszczające. Tymczasem do polskich rzek spływają pozostałości pestycydów, nawozów rolniczych. Stan wód powierzchniowych jest fatalny. W 2016 r. skontrolował je GUS: dobrą jakość wody miały 142 skontrolowane punkty, złą – 1452. To 90 procent.

Rzeka jak chleb

Siedem lat temu Łukasz przeprowadził się z Poznania do Warszawy. Pracował w PR, potem jako dziennikarz. Nie wiedział wtedy, że nad Bugiem żyje sto gatunków motyli i 158 gatunków ptaków lęgowych. Że żyją tu 44 gatunki różnych ryb, a sama rzeka jest potężnym korytarzem ekologicznym. Nie wiedział, że jest dzika, że ma zakola, łachy, ślepoty, starorzecza. Siedem lat temu Łukasz nie wiedział nawet, że Bug płynie niecałe 40 kilometrów od warszawskiej kawiarni, w której rozmawiamy.

Pierwszy raz przyjechał się zresetować, odpocząć od pracy. Na rzekę zabrał go Marek.

– Był rybakiem, ale dla mnie był „Królem Bugu". Marek jest prostym człowiekiem, ale rzekę zna jak własną kieszeń. Pływaliśmy razem, a on mi wszystko tłumaczył. Wiedział, gdzie są płycizny, jaka ryba płynie pod nami, gdzie trzeba uważać na wystający kamień. Z pokładu łódki czytał rzekę jak księgę.

Od Marka usłyszał Łukasz o Bugu jedno najważniejsze zdanie: „Rzeka jest jak chleb". Dla niego było to jak mistrzostwa świata w haiku i motywacja do tego, żeby nad Bug wracać.

Wracał często, nie tylko nad rzekę, ale w ogóle do natury. Z czasem zaczął zabierać innych. Dla zapracowanych mieszczuchów z Warszawy organizował mikrowyprawy. W Beskidzie Żywieckim tropili wilki, po Biebrzy pływali tratwą, fotografowali Bieszczady. Przy okazji zbierali pieniądze na ochronę wilków i rysi.

– Mikrowyprawy od początku były nie tylko biznesem, ale też formą ekologii. Nauczyłem się, że przyrody nie można chronić, jeśli się jej nie doświadczy – mówi.

On doświadczył jej w dzieciństwie, dużo czasu spędzał u babci na działce pod Poznaniem. Gdy zapytać go, skąd ma pasję do przyrody, odpowie, że z buraków. Z flancowania, pielenia, koszenia. Ogólnie mówiąc, z dotykania. I tak chce też angażować innych.

– Troska o klimat nie może być domeną naukowców i kilku ekologów – przekonuje Długowski. – Jest ich za mało, żeby nas uratowali. Musimy zbudować wspólnotę, zaangażować ludzi. Po-

ŁUKASZ DŁUGOWSKI:

Uregulowana rzeka jest jak kanał, którym cała fala od razu spływa w kierunku morza. Dzika – jest jak gąbka. W dzikiej rzece woda stagnuje, powoli spływa, nasącza glebę na długie miesiące...

trzebujemy mówić ich językiem. Potrzebujemy opowieści.

Pan Nikt

Jednym z pierwszych działań fundacji Dziko będzie więc opowieść. Łukasz spłynie Bugiem na tradycyjnej drewnianej tratwie. Na pokład zaprosi dziennikarzy, influencerów, fotografów. Nakręci kilka filmów, które pokażą nie tylko przyrodę, ale i ludzi mieszkających wzdłuż rzeki.

Długowski: – Mówienie o ekologii wydaje się trudne. Ani suche dane, ani straszenie nie angażują ludzi. A ja uważam, że ekologia to dzisiaj produkt. I trzeba go wypromować tak samo, jak promujemy piwo czy nową knajpę.

O sobie Łukasz mówi: „Mr. Nobody". Pan Nikt.

– Pochodzę z biednej rodziny – opowiada. – Wychowany byłem słowami „uważaj", „zostaw", „nie dotykaj". Szkolnictwo też uczy nas głównie słuchać, być posłusznym. A z przyrodą tak się nie da. Przyrodę trzeba dotknąć, powąchać. Ubrudzić się.

Polska nie stanie się drugim Chile. Długowski nie ma na koncie fortuny jak Douglas Tompkins. Fundację Dziko czeka więc mozolne budowanie społeczności, zbieranie środków. Dlatego powstał pomysł spływu. Żeby pokazać ludziom, ile znaczy taka dzika rzeka i jak mogą o nią zawalczyć.

– Ktoś przekaże ziemię, ktoś pieniądze, ktoś tylko lajka na Facebooku – mówi Długowski. Nieważne. Musimy dać ludziom poczucie sprawczości w kwestii ekologii. Żeby to nie był jeden Adam Wajrak na cały kraj. Potrzebujemy tysiące takich „Mr. Nobody" jak ja.

Najbardziej chciałby, żeby projekt obywatelskich rezerwatów rozrósł się na całą Polskę. Nie jako projekt jego, Łukasza Długowskiego. Jako wspólna inicjatywa.

Koalicja

Tych wspólnych inicjatyw ostatnio nie brakuje. Troska o klimat jednoczy dzisiaj i angażuje, zwłaszcza młodych. W obronie rzek powstała Koalicja Ratujmy Rzeki (ponad 60 organizacji). Część bierze się ze strachu, część ze złości na niemoc rządów i korporacji. To o klimat ludzie są gotowi walczyć. Są gotowi wyjść na ulice, jak pokazał szkolny strajk dla klimatu. Są gotowi się zdenerwować.

Zdenerwowała się też Anna Jaklewicz, podróżniczka i archeolożka. W lutym na festiwalu podróżniczym w Gryfinie chciała poprowadzić warsztaty ekologiczne. Nie zapisał się nikt. Wszędzie brakowało miejsc, u niej pustki. W mediach społecznościowych zapytała, dlaczego; usłyszała, że powinna działać lokalnie: tu i teraz.

Jaklewicz postanowiła przy okazji warsztatów (odbyły się z kompletem uczestników) posprzątać Gryfino. Zadzwoniła do kilku wydawnictw i tak powstała akcja „Książka za worek śmieci". Mała, oddolna inicjatywa od tego czasu odwiedza kolejne miasta. 5 czerwca ↦

RDC POLSKIE RADIO

MARCIN ŻYŁA będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 3 lipca o godzinie 8.00 w Polskim Radiu RDC.
Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

2019 r. Jaklewicz odebrała nagrodę EkoJanosik Narodowej Rady Ekologicznej.

– Nie zbawiam świata – mówi Jaklewicz. – Nie da się tego zrobić kilkudziesięcioma workami zebranych śmieci. Ale to działanie ma też cel edukacyjny. I szybko procentuje. Ludzie zaczynają od zbierania śmieci z własnego miasta, a potem często zaczynają segregować, ograniczać plastik, pytają, co jeszcze mogą zrobić. Zmienia się nasze tło informacyjne.

O życie córki

W obliczu kryzysu klimatycznego większość działań ogranicza się do oddolnych, obywatelskich zrywów lub do prostego ekologicznego marketingu, jak wycofywanie plastikowych słomek.

Łukasz Długowski: – Jest już za późno na niebranie słomki, na picie wody z kranu. To nie jednostki są głównym źródłem problemu.

– Ponad 95 proc. wody na świecie zużywa przemysł i rolnictwo, nie indywidualne osoby. Jaki jest więc sens indywidualnej walki? – pytam.

– To jest budowanie wspólnoty, budowanie popytu na zmianę. Wtedy może zaczniemy nie tylko ekologicznie działać, ale też głosować. Zmiany klimatyczne nie dotkną szefów banków i korporacji. Jako pierwsi odczują je najbiedniejsi i rolnicy. Odczuje je Mr. Nobody.

Ale czy mamy jeszcze czas na powolną edukację i budowanie świadomości?

– Mamy dwie grupy ludzi. Jedni uważają, że jest za pięć dwunasta, drudzy, że pięć po i przegraliśmy. Według mnie zostało nam 30 sekund i potrzebujemy wszystkich rąk na pokładzie. Potrzebujemy zdecydowanych, mądrych kroków. Potrzebujemy pamiętać o ludziach. O tym, żeby ciężar zmian nie spadł na najbiedniejszych. Potrzebujemy sztabów kryzysowych. Bo jeśli będziemy z każdym sklepem walczyć z osobna o każde opakowanie, to za 30 lat skończymy na patelni.

– Wierzysz, że się uda?

– Ja nie jestem ekologiem. Jestem ojcem. Nie walczę o motylki i robaczki, tylko o życie mojej córki i syna. Nie mogę nie wierzyć.

Syn urodził się Łukaszowi w 2007 r. Za kilka miesięcy na świat przyjdzie córka. Łukasz swoje 30 sekund spędzi nad Bugiem. Będzie robił, co może.

Córkę chciałby nazwać Tajga.

© KRZYSZTOF STORY

Nikt nam nie powie, co mamy robić

MARTA SAPAŁA:

Krzepiące jest to, że nabraliśmy w Polsce odwagi w wyrażaniu ekologicznego wkurzu. To już nie są działania wąskiej grupy wtajemniczonych aktywistów.

MARCIN ŻYŁA: A może już nie ma czasu?

MARTA SAPAŁA: Ostatnie doniesienia o tempie zmian na naszej planecie są zatrważające. Dahr Jamail, dziennikarz i autor książki „The End of Ice", twierdzi, że niektóre ustalenia z raportu Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu są spóźnione nawet o dekadę. I że jedyne, co nam pozostało, to przygotowanie się na zmianę. Tworzenie wspólnot, z którymi wejdziemy w ten ostatni etap, pielęgnując relację z odchodzącym światem natury, próbując odnaleźć w tym jakieś znaczenie.

Nasza ostatnia wspólna podróż?

Jamail pisze o prawie do żałoby, opłakania świata, który odchodzi. O wolności od nadziei, bo dopiero gdy się jej pozbędziemy, można przygotować grunt pod adaptację do nadchodzących zmian. Każdy może wybrać własną drogę: chodzić na demonstracje, uprawiać w zrównoważony sposób ogród, oferować wsparcie tym, którzy są przytłoczeni perspektywą zmiany. Jamail przywołuje radę starszego z plemienia Lakota: „Nie powiem ci, co masz robić. Dowiedz się jak najwięcej i sam zdecyduj". Budowanie relacji ze światem natury to w jego rozumieniu spędzanie możliwie jak najwięcej czasu w kontakcie z naturą. Tym, co jest najbliżej – lasem, łąką, strumieniem, jeziorem, pasmem górskim.

Nad Bugiem powstaje tymczasem pierwszy obywatelski rezerwat przyrody w Polsce. To dobrze, że tak wyręcza się państwo?

Już sam fakt powstania takiego rezerwatu może zwiększyć zainteresowanie ochroną rzek. I być przyczynkiem do dyskusji o „obywatelskiej" ochronie przyrody. Bo państwo jest w tym temacie wyraźnie niewydolne. Pytanie, czy rezerwat będzie zawsze terenem chronionym. Widzę tu dużą wiarę w moc ochrony, jaką daje prywatna własność, a przecież nie do końca tak jest. Państwo, choćby przy pomocy specustawy, może zacząć eksploatować taki teren.

Wokół mnożą się rozwiązania – od apeli o rezygnację z podróży lotniczych po propozycje wymiany główek od prysznica na takie, które zużywają mniej wody. Da się w nich połapać?

Szczerze mówiąc, momentami sama diagnozuję u siebie symptomy lęku klimatycznego. Trudno oceniać indywidualne strategie, bo krytyka może przynieść efekt odwrotny. Czasem słyszę od znajomych: „Mam dość, nie mogę już tego słuchać, na złość wszystkim nażrę się nutelli".

Osobiste strategie pomagają nam uświadomić sobie wagę problemu. Ale dopiero decyzje strukturalne wpływają na codzienność wszystkich. Przeszkadza mi też, gdy w narracji tworzonej przez koncerny lub instytucje, chcące na naszej trosce o planetę – lęku, poczuciu winy bądź wstydzie – ugrać coś dla siebie, odpowiedzialność skupia się głównie na nas, obywatelach.

Ich decyzje mają większe przełożenie na rzeczywistość?

Ostatnio zajmuję się tematem marnotrawstwa żywnościowego. Nie ograniczy się go bez pracy na całej długości drogi, którą pokonuje żywność – od pola po śmietnik. To przestrzeń na

działanie władz: trzeba tworzyć spójny system, który pozwoli na wielu poziomach oddziaływać na to zjawisko. Kiedy w 2009 r. znowelizowano ustawę o podatku VAT, tylko w pierwszym roku dostawy niesprzedanej żywności do Banków Żywności wzrosły dwukrotnie. A to tylko jedna z możliwych korekt do wprowadzenia.

Dlaczego jednak powinniśmy się zastanawiać nad własnym postępowaniem?

Najprostsza odpowiedź brzmi: bo nie ma drugiej Ziemi. Ona sobie bez nas poradzi. My, jako ludzkość, nie damy bez niej rady.

Trzeba jednak myśleć rozsądnie, nie zasklepiać się. Uparte trwanie przy jednym rozwiązaniu, trzymanie się go za wszelką cenę i brak otwartości na korektę myślenia to marnotrawienie energii. Widzę to po obu stronach.

Przykład z ostatnich dni: popularność drzewa paulownia, nazywanego „energetycznym" lub „tlenowym". Rośnie szybko, ma pochłaniać duże ilości dwutlenku węgla. Ale zapomina się, że ma krótki cykl życia i jest inwazyjne.

Jak ważne są w tym naszym indywidualnym „pilnowaniu planety" wybory polityczne?

Dla mnie bardzo. Staram się głosować na tych, którzy widzą powagę sytuacji – choć wybór jest skąpy. Korzystam z możliwości dawanych przez samorząd, sprawdzając ich skuteczność – właśnie robię dokumentację uschniętych drzewek w mojej okolicy sadzonych w ramach programu „Milion drzew dla Warszawy" i chcę ją przesłać do powołanej do takich celów jednostki. Na mojej krótkiej ulicy znalazłam trzy. Planuję pójść na dyżur radnej z mojej dzielnicy i porozmawiać z nią o tym, co mnie gryzie.

Bo wybór to jedno, ale potem jest jeszcze obywatelska weryfikacja. Należy skupiać się na celach, których efekty można rewidować. I w miarę możliwości wspierać je finansowo.

Czy mimo opinii podważających zmiany klimatyczne, nasza świadomość ekologiczna zmieniła się już nieodwołalnie?

Krzepiące jest, że nabraliśmy odwagi w wyrażaniu ekologicznego wkurzu. Jest go coraz więcej: protest przeciw kampaniom poprawiającym wizerunek wody w plastiku, akcja w sprawie rozsyłania przez Coca-Colę pustych butelek, bunt przeciw ekologicznej ściemie i wykorzystywaniu „zielonych wartości" do zbijania kapitału wizerunkowego, odpytywanie i rozliczanie koncernów, akcja Greenpeace „Nestlé, to chyba twoje", cudowne „Siostry Rzeki", masowe protesty przeciw wycince drzew, przeciwko szczelinowaniu, jak kilka lat temu w Żurawlowie...

To już nie są działania wąskiej grupy wtajemniczonych aktywistów. Moja koleżanka stanęła ostatnio pod opuszczonym, zarządzanym przez miasto lokalem przy Puławskiej w Warszawie i pytała sąsiadów, co chcieliby, aby w tym miejscu powstało. Odpowiadali: miejsce spotkań, Po-Dzielnia, sklep kooperatywny – większość wskazywała na potrzebę miejsca, które będzie służyć wszystkim.

Może, w oczekiwaniu na państwa i organizacje, powinniśmy skupić się na własnym, społecznym ekosystemie?

Własnego ekosystemu nie wolno porzucać, ale warto patrzeć na szerszy kontekst. Na początku roku w Niemczech sąd skazał dwie studentki na karę grzywny w zawieszeniu za wyciąganie żywności ze śmietników. Protestowano, wystosowano list ze 130 tys. podpisów do władz, sprawą zajęli się politycy. Rozpoczęła się dyskusja na temat zalegalizowania praktyk freegańskich – takich, które polegają na ograniczaniu udziału w konwencjonalnej ekonomii. Niestety, projekt został odrzucony.

Marnotrawstwo jedzenia, jak każde zjawisko związane z konsumpcją, ma ogromne przełożenie na ekologię. Produkcja, transport, przechowywanie i przemysłowe przetwarzanie żywności wiążą się z określonymi konsekwencjami dla środowiska, odpady żywnościowe zaś nie są prawidłowo zagospodarowywane.

Co to znaczy?

Zgodnie z zaleceniami amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska kolejność działania z potencjalnymi nadwyżkami żywności powinna być taka: najpierw prewencja, potem redystrybucja, przekazanie dla zwierząt, dla przemysłu, kompostowanie, dopiero na końcu wysypisko. Tymczasem w Polsce kompostuje się lub poddaje fermentacji ok. 8 proc. odpadów komunalnych, choć odpady organiczne to nawet połowa ich masy. Czekam, aż na moim osiedlu w Warszawie wreszcie pojawią się brązowe pojemniki, na razie możemy wyrzucać tylko zmieszane. Zazdroszczę mieszkańcom Ochoty, którzy mogą własne resztki wozić do ogrodu społecznego założonego przez artystkę i ogrodniczkę Jodie Baltazar, która swoim działaniem wyprzedziła reformę śmieciową w stolicy.

Przykład kompostu pokazuje paradoks działania ludzkiego umysłu. Na uniwersytecie stanowym Ohio przeprowadzono badanie, z którego wynika, że gdy człowiek zyskuje świadomość na temat środowiskowych konsekwencji wyrzucania jedzenia, przywiązuje większą wagę do redukcji – czyli najbardziej zalecanego działania. Uczestnicy badania nakładali mniej na talerze i zostawiali o 77 proc. mniej resztek. Gdy jednak podano im komunikat, że resztki trafią na kompost, czuli się rozgrzeszeni i już nie przykładali takiej wagi do tego, ile nakładają. Tak jakby w kompoście można było poddać transformacji poczucie winy.

Jaką rolę mają do odegrania władze lokalne? Ekologia bywa ważnym wątkiem kampanii samorządowych. ↦

ARCHIWUM PRYWATNE

MARTA SAPAŁA jest dziennikarką, zajmuje się m.in. tematyką odpowiedzialnej konsumpcji. Autorka książek: „Mniej. Intymny portret zakupowy Polaków" (2014) oraz, wydanej właśnie nakładem Wydawnictwa Czarne, „Na marne" – zbioru reportaży o marnotrawieniu żywności.

Niestety, głównie na Zachodzie. W Stanach Zjednoczonych kolejne miasta zakazują posyłania żywnościowych odpadów na wysypiska; w Paryżu stawia się sąsiedzkie kompostowniki, w Göteborgu – komunalne szczątki żywnościowe są przerabiane na biogaz, który zasila miejskie autobusy. Samorządy mają pole do popisu – mogą zaczynać od wprowadzania dobrych praktyk u siebie, monitorować i redukować marnotrawstwo w podlegających im jednostkach, wspierać sklepy kooperatywne i targowiska. Trzeba tak kształtować prawo, by im sprzyjało.

W Polsce zaś wciąż ogranicza się to głównie do delegowania odpowiedzialności na organizacje pozarządowe, takie jak banki żywności, lub do pikników edukacyjnych. Gdy próbowałam się dowiedzieć oficjalną drogą, jakie są wydatki na bankiety w warszawskim Ratuszu i co się dzieje z żywnością, która nie zostaje podczas nich zjedzona, poległam. Nie udało mi się.

Ale są też pozytywne przykłady. Podobają mi się akcje, które budują społeczność wokół tematu niemarnowania jedzenia. Na przykład jadłodzielnie. Można je zakładać wszędzie, i coraz częściej to właśnie samorządy decydują się partycypować w kosztach ich utrzymywania. W Krakowie jest lodówka społeczna w podstawówce; dzieci mogą tam włożyć desery, które dostają w stołówce, albo marchewki lub rzodkiewki rozdawane w ramach programów dożywiania. Inne dzieci mogą z tego skorzystać. To jest ważne na kilku poziomach; raz, poziom praktyczny, jedzenie się nie marnuje, dwa – buduje się solidarność żywnościową. Albo tzw. gleaning – chyba nie ma dobrego polskiego słowa, może tylko: „dozbiórka"? – zapraszanie ludzi, żeby samodzielnie zebrali to, co zostało na polu. Za darmo.

Co można zmienić w życiu codziennym?

Dobrym wyborem jest dieta bogata w rośliny, a uboga w produkty odzwierzęce. Idealnie byłoby kupować to w kooperatywie albo na targowisku w okolicy – nie na hipsterskim targu śniadaniowym, lecz zwykłym placu, gdzie wciąż można spotkać rolnika spod Sieradza, na który pójdzie się pieszo albo pojedzie autobusem. Warto kupować produkty nieprzetworzone, sezonowe, gotować je samodzielnie i zjadać możliwie do końca. Jabłko z własnej lub zaprzyjaźnionej działki zjedzone w sierpniu jest zawsze lepszym wyborem niż karton soku jabłkowego wyprodukowanego z koncentratu, który przyjechał z Chin.

W Niemczech i Włoszech przeprowadzono badanie, z którego wynika, że osoby samodzielnie uprawiające jedzenie marnują mniej. Również ci, którzy potrafią przygotować posiłek z bazowych produktów, wyrzucają mniej.

Kłopot w tym, że ten cały idealny model rozbija się gdy dochodzi do konfrontacji z systemem.

To prawda. Trudno go realizować w sytuacji braku działki, kooperatywy, targu – albo autobusu, którym można by sprawnie w te miejsca dojechać. Albo gdy tych produktów zwyczajnie nie da się kupić. Czasem mam wrażenie, że dyskusja o tego typu rozwiązaniach obejmuje jedynie uprzywilejowanych. Tych, którzy mogą sobie pozwolić na wysiłek przytomnych zakupów.

Kluczowe jest to, co dzieje się w głowie. Oprócz podejmowania nieustannego wysiłku rozpoznawania sytuacji warto próbować odzyskiwać relację z jedzeniem – bo utrata tej relacji, zmiana sposobu, w jaki patrzymy dziś na jedzenie, jak na każdy inny towar, to też element układanki, która wpływa na żywnościowe marnotrawstwo – i dać sobie zgodę na naprawdę ograniczony wybór. Pozostać w konsumpcyjnym niedosycie – na każdym, nie tylko żywnościowym poziomie.

I działać, nawet jeśli czasu jest mało?

Jestem za tym, aby pod kątem ekologii przyglądać się konsekwencjom codziennych działań. Wszystkich – nie tylko tych związanych z codziennymi, drobnymi wyborami, ale też tymi bazowymi, strukturalnymi, które się podejmuje raz na jakiś czas. Wybór konta w banku, pracodawcy, miejsca, w którym się żyje lub spędza wakacje.

Żeby to maksymalnie uprościć: być w relacji ze środowiskiem, ekosystemem, przyrodą. Pielęgnować w sobie poczucie, że jest się jego częścią, a nie eksploratorem, zdobywcą czy właścicielem. Nie odcinać się od bólu, który przynosi widok wyciętego za oknem drzewa, poczuć go.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TP

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

Gdynia, niedziela, 21 lipca, godz. 16.00

Nadmorski Plener Czytelniczy (Bulwar Nadmorski im. F. Nowowiejskiego).

Wstęp wolny!

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

TP

Od bieżącego wydania „Tygodnik Powszechny" w odświeżonym kształcie i formacie.

Życzymy jeszcze przyjemniejszej lektury

REDAKCJA

Czym jest genius loci Krakowa?

W jaki sposób miasto przeżywa swoją historię?

Jak wpływają na nie instytucje i odgórne plany?

Kiedy krakowianie zaczną pisać na murach: „Turyści do domu"?

„Kraków. Antropologie dziedzictwa"
– to opowieść o symbolicznych geografiach, trudnym podziale na sacrum i profanum oraz znaczeniach pojęcia „dziedzictwo".

Dodatek ukaże się **10 lipca** w „Tygodniku Powszechnym".

Publikacja powstała dzięki współpracy z polskim zespołem międzynarodowego konsorcjum HERILIGION w ramach programu HERA Uses of the Past. Projekt, finansowany przez sieć HERA, NCN, AHRC, FCT, DASTI, NWO oraz Unię Europejską w programie Horyzont 2020 w zakresie badań naukowych i innowacji, na podstawie umowy nr 649307, jest realizowany w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Wydziale Historycznym UJ. Fundacja Tygodnika Powszechnego jest partnerem projektu.

REKLAMA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · HERA Humanities in the European Research Area · NARODOWE CENTRUM NAUKI · UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

PAWEŁ

Śpiewak: *Modlitwa Jonasza*

Modlił się Jonasz do Pana z wnętrzności ryby: „Wzywałem Pana w swej niedoli i odpowiedział mi z głębi, z krainy umarłych wołałem o pomoc i wysłuchał mojego głosu". Oto po raz pierwszy Jonasz nie ucieka od Boga, nie zanurza się w głęboki sen, nie rzuca w nicość i obojętność. Chce stanąć przy Bogu. Mówiąc mu „Ty". Jest gotów wypełnić swoją misję proroka, ocalając Niniwę przed zniszczeniem.

Z całą pewnością daje się w tym przypadku powiedzieć (podążając za myślą Henriego Nouwena): w modlitwie kryje się tajemnica miłości i siły. Nowe życie rodzi się w bezbronności. Władza i siła zabija. Słabość ją odnawia. Tak jest w relacji z Najwyższym i tak zdaje się być w głębokich stosunkach między ludźmi. Zyskujemy ujawniając słabości. W intymności spotkania możemy dzielić swój ból, dzielić się swoją kruchością. Tworzy się wtedy przestrzeń otwarcia i wzajemności. Czasem pomocy i wsparcia. Nie bójmy się ujawniać w sobie zagubienia, chaosu, uczy prorok. Gdy Jonasz znajdował się w sytuacji bezradności, poza władzą nad swoim życiem, gdy przyszłość nie była mu znana, wtedy mógł z pochyloną głową zbliżyć się do Stwórcy i dziękować za życie oraz dany mu los. Rabin nie wyznawał grzechów. Nie szukał i nie czuł potrzeby czynić pokuty. Dziękował Bogu, jak my dziękujemy każdego ranka za to, że zostaliśmy znów obudzeni do życia.

Chaim Sołowiejczyk utożsamiał słowo ze zbawieniem. Przechodzimy od milczenia do mowy, a jej obecność jest tożsama z przejściem od ograniczeń, jarzma niewoli do wolności. Tak się stało, gdy Mojżesz zaczął swoje dzieło wyzwolenia Hebrajczyków. Po setkach lat milczenia lud zaczął mówić, odkrywać swoje słowa. Tak samo się dzieje w chwili wyjścia z totalitaryzmu czy dyktatury. „Gdy lud opuszcza niemy świat i wkracza do świata mowy, pieśni, modlitwy, staje się ludem zbawionym. Innymi słowy, niemy świat jest tożsamy ze zniewoleniem, świat słów jest światem wolności". Jonasz milczał był przez cały ten czas, od kiedy usłyszał wezwanie Boga, popychany, przestawiany, a gdy zaczął rozumieć Boga i słowami odkrywał swoje miejsce, otworzyło się przed nim nowe życie i zdolność do działania.

Modlitwa Jonasza była modlitwą pogodzenia ze swoim losem, z Bogiem, ze swoim przeznaczeniem. Uwierzył i podjął drogę proroka. Modlitwa proroka ma w sobie akt wyznania, spowiedzi. Ukazuje go w zapętleniu, u dna. Modlitwa jest aktem budowania więzi z Bogiem, a w poszczególnych Księgach staje się częścią fabuły. Jest katalizatorem zdarzeń. Modlitwa dziękczynna kieruje wielką rybę na brzeg morza. Wypluwa Jonasza i już tylko krok dzieli go od spotkania z królem Niniwy. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *W Jerozolimie będziecie pocieszeni*

W dzisiejszej Jerozolimie o pocieszenie raczej trudno. Wciąż wojsko pilnuje miejsc świętych, a więc źródeł pocieszenia dla żydów, chrześcijan i muzułmanów. Wciąż ziemia święta krwawi. Czyżby proroctwo Izajasza to jedynie pusta gadanina? „Radujcie się razem z Jerozolimą! Cieszcie się z nią wszyscy, którzy ją kochacie! Wraz z nią weselcie się niezmiernie wszyscy, którzy smuciliście się nad nią (...). Jak matka pociesza syna, tak Ja będę was pocieszał! W Jerozolimie będziecie pocieszeni!" – zapowiadał prorok.

Po wiekach nadszedł jednak czas spełnienia proroctw, zjawił się zapowiadany Książę Pokoju i posłał swoich heroldów głoszących nastanie królestwa Boga. Po powrocie z tej misji z wielkim entuzjazmem opowiadają Jezusowi, jak wiele zdziałali. „»Panie, na Twoje imię nawet demony nam się poddają«. Wtedy powiedział do nich: »Widziałem szatana spadającego z nieba jak błyskawica. Dałem wam władzę stąpania po wężach i skorpionach, i po całej potędze nieprzyjaciela. Nic wam nie zaszkodzi. Lecz nie cieszcie się z tego, że duchy się wam poddają, ale cieszcie się raczej z tego, że wasze imiona są zapisane w niebie«".

„Widziałem szatana spadającego z nieba jak błyskawica" – mówi Jezus zachwyconym sukcesem uczniom. Nie trzeba będzie długo czekać, by oni sami i ich następcy przekonali się, że szatan do swoich celów potrafi wykorzystać również słowo Boże wspólne dla żydów, chrześcijan i muzułmanów. Ale nie od szatana wypada się uczyć sposobu myślenia i działania. Inny Duch jest naszym duchem.

W lutym tego roku papież Franciszek i wielki imam Ahmad Al-Tayyeb, nawiązując do Biblii, Talmudu i Koranu, oświadczyli: „Wzywamy wszystkich, których to dotyczy, do zaprzestania posługiwania się religią w celu wzbudzania nienawiści, przemocy, ekstremizmu oraz ślepego fanatyzmu, do zaprzestania używania imienia Boga dla usprawiedliwiania zabójstw, eksterminacji, terroryzmu oraz ucisku. Prosimy o to na podstawie naszej wspólnej wiary w Boga, który nie stworzył ludzi, żeby byli zabijani lub walczyli ze sobą nawzajem, ani też by byli torturowani czy poniżani w swoim życiu i egzystencji. Bóg Wszechmogący nie potrzebuje niczyjej obrony i nie chce, aby Jego imię było używane do terroryzowania ludzi".

Tak oto spełnia się proroctwo Izajasza. Przecież to w Jerozolimie bije źródło religijnej wiary żydów, chrześcijan i muzułmanów. Paweł Apostoł mówi: „Obrzezanie bowiem nic nie znaczy ani nieobrzezanie, tylko nowe stworzenie. Na tych, którzy tej zasady będą się trzymać, i na Izraela Bożego niech zstąpi pokój i miłosierdzie". Nowe stworzenie – wspólny mianownik wszystkich światopoglądów. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Skarb

Niewzruszoność i pokora są drogą ku poznaniu.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU

Mało kto rozumie nauczanie bez słów i pożytek z niedziałania.

LAO TSY

Wybrał PIOTR SIKORA

„Nie dawajcie psom tego, co święte, ani nie rzucajcie swych pereł przed świnie, by ich nie podeptały" (Mt 7, 6) – zawsze intrygowało mnie to Jezusowe zdanie, przytaczane ostatnio przez Liturgię. Wydaje mi się, że nie wolno „przełamywać" tego Słowa bez uwzględnienia kontekstu; w nim zaś aż pięć poprzedzających wersetów (Mt 7, 1-5) zabrania osądzania kogokolwiek: „Nie sądźcie, byście nie byli sądzeni!". Jezus ostrzega, że zostaniemy osądzeni wedle tej samej miary.

Konsekwentnie, „nie rzucajcie psom tego, co święte" nie może oznaczać wezwania do osądzania i segregowania ludzi: „ten to świnia", a „tamten to pies". Oznacza raczej: uważajcie na Skarb, jaki wam powierzono. To, co ci zlecono, jest święte – wymaga szacunku, miłości i bojaźni. Tertulian w II wieku pisał: „Daj każdemu, kto prosi", co odnosi się do jałmużny, ale gdy chodzi o chrzest – zasadą jest: „nie dawajcie psom tego, co święte".

Chodzi o to, by z gorliwością i radością, ale i poczuciem odpowiedzialności i bojaźnią dzielić się wiarą. Nie zawsze wydaje się to oczywiste – choćby z racji natury naszego Skarbu – ostatecznie jest nim przecież Osoba Jezusa. Skoro doświadczyłem, ile Jego poznanie zmienia w moim życiu, chciałbym o tym natychmiast powiedzieć każdemu. Tak jak apostołowie: „Nie możemy nie mówić o tym, co widzieliśmy i słyszeliśmy". Z drugiej jednak strony, kiedy chcemy komuś przedstawić Osobę naprawdę nam bliską – czy nie czynimy wszystkiego, co możliwe, aby to spotkanie stało się naprawdę wydarzeniem o możliwie trwałych owocach?

„Nie dawajcie psom tego, co święte" nie jest więc wezwaniem do tworzenia elitarnych grup „doskonałych" wyznawców. Jest sformułowaniem „zasady katechumenatu". Nie chodzi o to, komu nie dać. Chodzi o to, w jaki sposób dać każdemu – tak by uniknąć fikcji i przypadkowości.

Można np. przygotowywać do sakramentów inicjacji chrześcijańskiej (chrzest, bierzmowanie, komunia) poważnie, prowadząc katechumenalną drogą wiary przez kilkanaście miesięcy, głosząc katechezy, ale również oferując indywidualne kierownictwo duchowe, ucząc modlitwy, uwrażliwiając na potrzebę pełnienia dzieł miłosierdzia, wprowadzając coraz głębiej w doświadczenie Boga i odkrycie wspólnoty Kościoła. Można niestety też inaczej: dać do ręki skrót katechizmu, po tygodniu odpytać i w oparciu o wynik – „dopuścić" do sakramentu.

Podobnie ma się rzecz z małżeństwem chrześcijańskim – papież Franciszek powtarza ostatnio jak refren postulat wypracowania „katechumenatu małżeńskiego". Czy nie dlatego, że obecne formy przygotowania do zawarcia małżeństwa okazują się mało owocne (w Polsce 1/3 małżeństw się rozwodzi)?

Jest jeszcze inny możliwy klucz do otwarcia analizowanej zasady: mianowicie, w Drugim Liście św. Piotra „pies" i „świnia" są symbolami porzucenia łaski i powrotu do porzuconego wcześniej grzechu: „Wrócił pies do tego, co zwymiotował, a świnia umyta do kałuży błota" (2 P 2, 22). Wtedy „nie dawajcie psom i świniom tego, co święte" musi oznaczać wezwanie do prawdziwej pokuty. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 VII)

14. niedziela zwykła: Iz 66, 10. 12-14c; Ps 66; Ga 6, 14-18; Łk 10, 1-12. 17-20;
Poniedziałek: Rdz 28, 10-22a; Ps 91; Mt 9, 18-26;
Wtorek: Rdz 32, 23-32. 33b; Ps 17; Mt 9, 32-38;
Środa: Rdz 41, 55-57; 42, 5-7. 14-15a. 17-24a; Ps 33; Mt 10, 1-7;
Czwartek: Prz 2, 1-9; Ps 34; Dz 4, 32-35; Mt 19, 27-29;
Piątek: Rdz 46, 1-7. 28-30; Ps 37; Mt 10, 16-23;
Sobota: Rdz 49, 29-33; 50, 15-26; Ps 105; Mt 10, 24-33;
15. niedziela zwykła: Pwt 30, 10-14; Ps 69; Kol 1, 15-20; Łk 10, 25-37.

NIE DZIELCIE POLSKI NA WSCHÓD I ZACHÓD

DAWID SZEŚCIŁO, EKSPERT DS. ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ:

Samorząd nie potrzebuje dziś rewolucji. Jest najbardziej udanym eksperymentem ustrojowym we współczesnej historii naszego kraju.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

RAFAŁ WOŚ: Mamy karnawał zainteresowania tematem samorządu. Miesiąc temu w Gdańsku prezydenci wielu polskich miast przedstawili „21 tez samorządowców". Skupiają się głównie na tym, jak bronić się przed władzą centralną. Następnie odpowiedziały im ruchy miejskie, podpisując w Warszawie swój własny manifest „Solidarność samorządów", który krytykuje zarówno PiS, jak i PO za zapominanie o sprawach ważnych dla zwykłych ludzi: o udawanych konsultacjach społecznych, o braku zieleni, o systemie wyborczym promującym dużych graczy...

DAWID SZEŚCIŁO: Doskonale rozumiem popyt na samorząd. W całej Europie dostrzega się w decentralizacji jedną z być może ostatnich szans na ratowanie demokracji. Rozumiem też, dlaczego opozycja „odkryła" ostatnio samorząd.

Czuje, że samorząd to ostatni bastion, i chce się tam okopać, by przeczekać PiS.

Oni mają poczucie, że PiS dewastuje państwo, które dzisiejsza opozycja budowała przez 25 lat. Samorząd jawi się jako szansa, żeby coś z tego uratować. Mamy też ruchy miejskie, które od lat nie mieszczą się w ostro zarysowanym podziale na PiS oraz anty-PiS. One mają z kolei wiele zastrzeżeń zarówno do jednej, jak i do drugiej strony duetu, który na poziomie samorządów przez lata dość harmonijnie funkcjonował.

W to polityczne zainteresowanie próbują się wpisać eksperci. Wychodzą z tego ambitne projekty samorządowej rewolucji. Niedawno spieraliśmy się w „Tygodniku" z profesorami Antonim Dudkiem i Maciejem Kisilowskim o ich plan #ZdecentralizowanaRP. Podoba się Panu ta idea?

Nie za bardzo.

Dlaczego?

Po pierwsze koncepcja jest szalenie mglista. Jednego dnia słyszę, że celem jest regionalizacja decyzji dotyczących spraw światopoglądowych. Na przykład dopuszczalności aborcji czy małżeństw jednopłciowych. Na zasadzie – jeśli konserwatywne Podkarpacie chce mieć tu inne rozwiązania, to trzeba im pozwolić. A dzięki temu nie zmuszać liberalnego Pomorza, by szło w tym samym kierunku. Są też rzeczy bardziej niepokojące. Usłyszałem, że takie samostanowienie regionów miałoby również dotyczyć np. wieku, w którym rozpoczyna się edukację szkolną, czy całej konstrukcji systemu szkolnego. To już nawet więcej niż federalizacja. Dla mnie system edukacji jest najważniejszym miejscem utrzymania naszej wspólnoty państwowej i obywatelskiej. Każda szkoła powinna mieć dużo więcej autonomii programowej niż dziś, ale kształt systemu ustalajmy na poziomie państwa. W przeciwnym razie stracimy resztki wspólnoty.

Ale Pan wie, że to słaby zarzut. Nie ma projektów politycznych bez niespójności. Liczy się chyba raczej tzw. ogólny kierunek.

Moje myślenie o samorządzie ukształtowała książka przedwojennego działacza socjalistycznego Teodora Toeplitza „Zagadnienia polityki komunalnej". Dla niego sercem samorządu jest gmina, a misją jest zapewnienie podstaw materialnego dobrobytu jego mieszkańców poprzez dostarczanie rozmaitych usług publicznych. Katalog od tamtej pory szczególnie się nie zmienił. Mieszkania, sensowna opieka dzienna nad potomstwem, transport publiczny, edukacja. Nawet o potrzebie walki ze smogiem Toeplitz już wtedy pisał! To powinno być sednem polityki samorządowej. A nie rozważania, w jaki sposób zakończyć jakoby trwającą w Polsce wojnę kulturową. Bo po prostu samorząd nie jest od tego. Samorząd jest miejscem, gdzie możemy dobrze zarządzać usługami publicznymi, i na tym się skoncentrujmy. Co gorsza – nie ma żadnych dowodów, że gdziekolwiek na świecie udało się drogą federalizacji doprowadzić do kulturowego pojednania. Dzielenie się zamiast negocjowania to raczej recepta na wyostrzenie konfliktu.

Twórcy #ZdecentralizowanejRP nie lubią, jak się o ich projekcie mówi, że dąży do federalizacji Polski.

Projekt zakłada, że w Polsce istnieją dwa typy równie silnych tożsamości. Jest tożsamość państwowa i tożsamość regionalna. Trzeba więc dać regionom więcej autonomii politycznej, zamiast tłamsić odgórnie ich niezależność. Tymczasem w Polsce to tak nie działa. Regiony nie mają długiej i autonomicznej historii, a nawet jeśli mają, to nie ma tej ciągłości po stronie mieszkańców. Nie ma specyficznego „dolnośląskiego modelu" albo „pomorskiej drogi". I nie jestem pewien, czy w ogóle powinna być. Zwłaszcza jeśli ma się ograniczać do sfery symboliczno-kulturowej. Odgórne dekretowanie tożsamości regionalnej w tych sferach nie tylko lekceważy istniejące tożsamości, ale też odwodzi nas od bardziej realnych wyzwań, zwłaszcza tego, jak zatrzymać postępującą degrengoladę systemu usług publicznych.

Ja się tego rozwiązania boję, również obserwując zachodnioeuropejskie tendencje. W wielu miejscach ↦

bogaci lansują wizję głębszej autonomii, bo zwyczajnie nie chcą się dzielić z biedniejszymi regionami. Na każdym kroku pokazując „jesteśmy inni", „nie mamy z tamtymi nic wspólnego".

Tu tkwi sekret popytu na takie pomysły. On doskonale odpowiada na silny dziś resentyment, obrażanie się na państwo i ludzi, którzy wybrali dzisiejszą władzę. Kusi wizją zrobienia sobie światłego i postępowego Zachodu i porzucenia „ludu PiS-owskiego" na Wschodzie. Trochę na zasadzie „Zniszczyliście nasze państwo, to my sobie idziemy, a wy jeszcze za nami zatęsknicie, jak tylko zobaczycie, że potrafimy zbudować sobie lepsze państwo w naszych regionach". Pamiętajmy jednak, że kreowany ostatnio w mediach podział Polski na progresywny Zachód i konserwatywny Wschód nie jest prawdziwy. Wystarczy choćby trochę poskrobać po tym uproszczonym przekazie, by zobaczyć, iż dużo ważniejsze są dziś dla nas podziały biegnące po linii duże miasta – miasteczka. Albo miasta – wieś. Wszelkie projekty zmian w samorządach, które będą patrzeć na rzeczywistość przez pryzmat tego fałszywego przeciwstawienia, nie rozwiążą problemów, które nas wszystkich, niezależenie od sympatii partyjnych, łączą.

A jednak i Pan jest zdania, że samorząd trzeba zmieniać. Pod Pańską redakcją wyszła właśnie książka „Polska samorządów. Silna demokracja, skuteczne państwo".

Moim zdaniem polski samorząd nie potrzebuje dziś rewolucji. Bo jest najbardziej udanym eksperymentem ustrojowym we współczesnej historii naszego kraju. To, czego potrzebujemy, to więcej intelektualnego fermentu i innowacyjności potrzebnych do pobudzania tego, co jest. Propozycje, które zgłaszam, nie wywracają do góry nogami całej konstrukcji administracyjnej kraju. Chciałbym, żeby więcej było w niej ducha, którego bym nazwał skandynawskim.

Wiem, co to skandynawski model gospodarczy, ale o skandynawskim samorządzie nie słyszałem zbyt wiele. Zechce Pan wyjaśnić?

To model oparty na silnej autonomii lokalnej – podkreślam lokalnej, a nie regionalnej. Czyli nie tej, która rzucałaby wyzwanie polskości jako takiej, malując wizję tożsamości śląskiej albo pomorskiej. Autonomia ma się przejawiać właśnie w większym współdecydowaniu mieszkańców na temat tego, jakie szpitale, jakie szkoły czy jakie mieszkania. To wszystko powinno się rozgrywać w połączeniu z bardzo silną sterującą i korygującą rolą państwa na poziomie centralnym. Co ciekawe, w tym przypadku nie jest to bajanie „jak to dobrze byłoby się w taką Szwecję przemienić". Nasz model samorządowy już dziś jest tej Skandynawii dosyć bliski. Chodzi więc o to, żeby po pierwsze – nie schodzić z tej drogi. A po drugie, co zrobić, żeby jeszcze bardziej tę skandynawską formę instytucji samorządowych napełnić polską treścią.

Opozycja ma poczucie, że PiS dewastuje państwo, które ona budowała przez ćwierć wieku. Samorząd jawi się jako szansa, żeby coś z tego uratować.

Mam jedno zastrzeżenie. Znam argumenty głoszące, że co jak co, ale reforma samorządowa nam się udała. Zazwyczaj na dowód, że Polacy są ze swoich samorządów zadowoleni, przywoływane są wyniki kolejnych wyborów lokalnych. I postacie długoletnich włodarzy miejskich, którzy rządzą już czwartą, a nawet piątą kadencję.

To prawda. Zaufanie do władzy samorządowej widać w wielu badaniach. Przenosi się ono zazwyczaj na samo pojęcie samorządności.

Ale czy to nie jest złudzenie? Na przykład Gliwicami Zygmunt Frankiewicz rządzi od roku 1993. Oczywiście można powiedzieć, że skoro ludzie dają mu w kolejnych wyborach zdecydowany mandat, to znaczy, że wszystko jest OK. Gdy jednak zapytałem o przyczyny tej popularności lokalnego aktywistę, załamał ręce nad moją naiwnością. Kazał mi wyobrazić sobie księstwo, w którym wszystkie media są bezpośrednio lub pośrednio zależne od prezydenta. Na dodatek prezydent ma do obsadzenia lwią część dobrze płatnych stanowisk w lokalnej gospodarce.

Słuszna uwaga. Demokracja lokalna, choć zdrowsza niż na poziomie centralnym, nie może być samorządem wójtów, burmistrzów i prezydentów, ale mieszkańców.

Na tym polu PiS przynajmniej przeforsował dwukadencyjność wójtów, burmistrzów i prezydentów.

Już dziś można by zacząć od rozproszenia władzy w miastach. Na lokalny rząd pod przywództwem bezpośrednio wybieranego prezydenta otoczonego radnymi pełniącymi funkcję lokalnych ministrów od spraw edukacji, transportu publicznego czy kultury.

I co to zmieni?

Dzięki temu na lokalnym poletku pojawi się więcej rozpoznawalnych graczy. Więcej potencjalnych liderów. Oni na początku będą z ekipy owego prezydenta, ale można zakładać, że stopniowo będą się usamodzielniać. Do tego warto dodać jeszcze lokalnego rzecznika praw mieszkańca.

A to kto? I po co?

To nowy aktor w systemie lokalnym. Najlepiej wybierany przez samych mieszkańców.

Taki kontrprezydent Warszawy, Gdańska czy Poznania?

Ktoś, kto miałby za zadanie sprawować kontrolę nad władzą lokalną. Również z kompetencjami zaskarżania legalności uchwał. Uchwały wszystkich organów samorządu powinny być zresztą dużo łatwiej zaskarżalne. To jest sprawa bardzo ważna. Dziś możemy zaskarżyć uchwałę rady gminy czy rady miasta tylko wtedy, gdy wykażemy tzw. interes prawny. To znaczy uzasadnimy, że to nas bezpośrednio dotyczy. To powoduje, że w orzecznictwie sądów administracyjnych odbiera się prawo do zaskarżania uchwał lokalnych na przykład nauczycielom z likwidowanej szkoły albo rodzicom dzieci likwidowanego żłobka. To prowadzi do społecznego zniechęcenia. Potężną bronią może być też jawność. W zasadzie nikomu dziś w samorządzie nie jest z nią po drodze. Tymczasem jawne powinny być wszystkie kontrakty zawierane przez władze lokalne. Przynajmniej na pozio-

mie podstawowych parametrów, takich jak wartość, kontrahenci, przedmiot. Jawność powinna dotyczyć również wynagrodzeń w całym aparacie. W tym w spółkach komunalnych.

A co z rolą państwa w tym modelu? Dziś stosunek do skuteczności kontroli dzieli się w Polsce według linii politycznej sympatii. Zwolennik PiS uzna władzę centralną za jedyną sensowną siłę, którą szanują lokalne sitwy. Wyborca PO widzi we władzy centralnej długie ramię Kaczyńskiego, które pragnie chwycić za gardło ostatnich szczerych demokratów.

Właśnie dlatego proponujemy różne modele kontroli działań władz samorządowych idące od dołu. Mają one stanowić uzupełnienie odgórnej kontroli państwa. Państwo spełnia wobec samorządu ważną rolę. Cały czas będzie jednak istniało ryzyko, że taka kontrola motywowana jest względami i sympatiami politycznymi. I nie chodzi tylko o wojewodów – którzy są oficjalnymi przedstawicielami władzy centralnej w regionach. Ale także o bardzo mocno zaktywizowane kuratoria oświaty, które łatwo mogą zabić resztki programowej autonomii oraz kreatywności po stronie szkół.

A co z usługami publicznymi? W historii III RP często bywało tak, że za decentralizacją kryła się pełzająca prywatyzacja opieki zdrowotnej czy edukacji.

To nie jest tak, że samorządy z natury nie sprzyjają usługom publicznym. Wręcz przeciwnie, najgorzej mają się dziś te usługi publiczne, które są zorganizowane w sposób bardziej centralistyczny, z ochroną zdrowia na czele. Jednocześnie jest to system pełen zachęt do prywatyzacji. Szpitale powiatowe są zdane na łaskę i niełaskę Narodowego Funduszu Zdrowia – i to wręcz zachęca władze lokalne do prywatyzacji deficytowych placówek. Mamy całkowicie sprywatyzowany system podstawowej opieki medycznej, czyli tzw. lekarzy rodzinnych. Mogę sobie wyobrazić, że poprzez decentralizację dokonujemy wtórnego upublicznienia usług publicznych.

Jak to zrobić?

Gdyby te pieniądze, które są dziś w ręku NFZ, przekazać powiatom i pozwolić władzom lokalnym zorganizować system podstawowej opieki zdrowotnej po swojemu. Na przykład w formie lokalnych domów zdrowia – a więc instytucji, które istnieją w wielu europejskich krajach.

LESŁAW WŁODARCZYK / ARCH. PRYWATNE

DAWID SZEŚCIŁO (ur. 1985) jest kierownikiem Zakładu Nauki Administracji na Wydziale Prawa i Administracji UW. Ekspert Fundacji Batorego. Pracuje jako ekspert OECD ds. administracji publicznej w Armenii, Albanii, Bośni i Hercegowinie, Turcji oraz Serbii. Autor wielu prac naukowych i publicystycznych. Najnowsza z nich to „Polska samorządów. Silna demokracja, skuteczne państwo" (2019).

Kiedyś istniały przychodnie rejonowe.

I nie było to wcale takie złe rozwiązanie. To by zresztą wzmacniało przejrzystość systemu. Dziś dyrektor wojewódzkiego NFZ jest chyba najpotężniejszą osobą w województwie. Jednocześnie jako obywatele nie mamy żadnego wpływu na to, kto nim jest i jak wydaje pieniądze. A teraz pomyślmy, co by było, gdyby tymi samymi pieniędzmi zarządzali lokalni i regionalni „ministrowie" ds. zdrowia. Im będzie trudniej ukryć się przed wściekłymi mieszkańcami.

Zdrowie to, jak rozumiem, tylko jeden z przykładów tego wtórnego upublicznienia usług publicznych poprzez samorząd?

To samo da się pokazać na przykładzie transportu publicznego, który dziś w tak wielu miejscach w Polsce rodzi komunikacyjne wykluczenie. Zamiast jednak robić jeden centralnie zarządzany PKS, można przecież zaopatrzyć powiaty w pieniądze. I nakazać, by poukładały ten system w zgodzie z lokalną specyfiką. Gwarantując jednocześnie pewien centralny standard minimum brzmiący – w uproszczeniu – autobus w każdym sołectwie. Środki na ten cel mogłyby pochodzić na przykład z nowego podatku od obowiązkowych ubezpieczeń OC.

Mieszkalnictwo?

Od początku wiedziałem, że rządowy program Mieszkanie plus zakończy się klapą. Ale nie dlatego, bym uważał, że państwo nie powinno budować mieszkań. Problem polegał właśnie na tym, że wysiłek podjęto z perspektywy władzy centralnej. I szybko się okazało, że to się nie uda. Gdyby jednak dać odpowiednie uprawnienia i zapewnić źródła finansowania takiego programu mieszkaniowego na poziomie władz lokalnych, to efekt mógłby być dużo lepszy.

Jakie źródła finansowania?

Nasza propozycja to Komunalny Bank Mieszkaniowy. Powstały poprzez wyodrębnienie z Banku Gospodarstwa Krajowego. Zasilony również środkami samorządów. Które to samorządy są dziś – z niewiadomych dla mnie przyczyn – obsługiwane przez banki komercyjne. Taki bank przyjmowałby depozyty od samorządów i generował kapitał na komunalne inwestycje mieszkaniowe. Bo mieszkań nie zbuduje się z dochodów własnych. To mrzonka. Bez nowego modelu finansowania nic się w tej sprawie nie ruszy.

Skoro już jesteśmy przy temacie pieniędzy: spór o poziom autonomii samorządów to również fundamentalny wybór tego, kto trzyma sakiewkę z publicznymi środkami. Jak Pan to widzi?

Zanim o pieniądzach podatkowych, wspomnę o innych źródłach finansowania zadań samorządu. Dziś niewykorzystanych.

A są takie?

Lokalny *crowdfunding* jest potencjalnym źródłem pieniędzy, z którego dziś nie korzysta nikt. Dlaczego mogą z niego czerpać start-upy albo coraz więcej twórców, a nie może gmina?

Jak Pan to sobie wyobraża?

Wchodzi gmina na platformę crowdfundingową i mówi: „Chcemy zrobić to i tamto. Mamy 50 proc. środków. Dołóżcie drugie tyle". To przecież rodzaj koprodukcji usług publicznych – wciągnięcie obywateli do tego, by robili coś razem ↦

↦ z władzą lokalną, a jednocześnie dla siebie samych. Inny pomysł to mechanizm 1 proc. lokalnego PIT. Obywatel mógłby go zostawić w swojej gminie. Ale nie musiałby. Jego wybór. I zachęta dla władz lokalnych, by o obywatela dbać.

A podatki?

Najlepszym sposobem finansowania działalności samorządów jest podatek od nieruchomości. Podatek powiązany z jej wartością [czyli tzw. kataster – red.]. Wokół tego podatku narosło wiele mitów.

Najważniejszy jest chyba ten, który głosi, że kataster uderzy w biednych emerytów, dla których dobrze położona nieruchomość jest gwarancją godnego życia w realiach niskiej emerytury.

I dlatego nazywam to mitem, bo podatek katastralny świetnie daje się ukształtować zgodnie z duchem progresji. Można to osiągnąć albo poprzez zwolnienia dla osób najsłabiej zarabiających, albo poprzez wysoko ustawioną kwotę wolną. Tak czy inaczej mam wrażenie, że kataster nas czeka. Lepiej rozmawiać o nim dziś, niż wprowadzać go w pośpiechu jutro.

Ale dlaczego to dobry pomysł dla samorządów?

Po pierwsze, jest to podatek efektywny i trudno od niego uciec do spółki zarejestrowanej gdzieś w raju podatkowym. Po drugie, ubezpiecza samorząd przed niespodziankami, które władza centralna robi im od lat w PIT.

Wyjaśnijmy na koniec ten mechanizm, żeby pokazać, jak niepewne jest dziś finansowe położenie samorządów.

Dziś jest tak, że PIT w połowie trafia do samorządów, a w drugiej połowie do budżetu państwa. Ale to państwo centralnie decyduje o wysokości PIT. Jeśli więc wymyśli, jak ostatnio, zerowy podatek dla młodych, to samorządy mają nagle realny problem. Tak nie da się zapewnić mieszkańcom stabilnego poziomu usług publicznych. Z katastrem ze stawkami ustalanymi lokalnie i centralnie zakotwiczoną progresją mogłoby być inaczej.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Herosi domowego zacisza

LAURA JURGA

Miała pomóc ustawa „Za życiem" i rządowy program wsparcia. Nic z tego: rodzice i opiekunowie osób niepełnosprawnych nadal mogą liczyć głównie na siebie.

Najpierw diagnoza i niedowierzanie: Moje dziecko? Potem oswajanie się, a czasami – to dotyczy głównie ojców – ucieczka. Wtedy wychowanie i rehabilitacja spadają na jedno z rodziców.

Codzienność dokładnie zaplanowana: rehabilitacja, terapia, pielęgnacja. Czas na zakupy, sprzątanie, pranie, gotowanie, wychowanie pozostałych dzieci. Siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Często dłużej niż osiemnaście lat, bo dorosłe dzieci nadal ich potrzebują. Bez wakacji, wolnych weekendów, niektórzy przez lata bez jednego, wieczornego wyjścia do kina i kawiarni. „Więźniowie własnych domów i rodzin" – tak wielu z nich o sobie mówi.

Dezinformacja

– Sporo na przestrzeni dekad zmieniło się na lepsze – przyznaje społeczniczka, matka dorosłej dziś osoby z niepełnosprawnością i babcia dziecka z autyzmem. – Ale pomoc ze strony państwa nadal odbiega od oczekiwań i potrzeb, a Konwencja o prawach osób niepełnosprawnych nie jest w Polsce przestrzegana.

Mimo tego rzeczywiście: zmiana jest wyraźna. Po okresie ustrojowej transformacji osoby niepełnosprawne i ich rodziny wyszły z zamknięcia, na które skazywała je PRL-owska propaganda. Tworzono prawo uznające ich podmiotowość, a do obiegu weszło słowo „integracja".

Ale wciąż nie da się powiedzieć, że wielokrotnie zmieniane przepisy odpowiadają w pełni ich potrzebom. Potwierdziły to protesty środowiska osób niepełnosprawnych w 2014 i 2018 r. O jednej z przyczyn tego stanu rzeczy mówi się od dawna: to brak odpowiednich konsultacji społecznych, a w konsekwencji – złe prawo.

Trafnym przykładem są przepisy ustawy „Za życiem", którą w czerwcu 2017 r. podpisał prezydent Andrzej Duda. Na jej bazie realizowany miał być Program Wsparcia dla Rodzin. Niemal dwa lata później, w lutym 2019 r., Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej ogłosiło wytyczne do Programu „Opieka wytchnieniowa". Chodziło o to, by wesprzeć przede wszystkim rodziców i opiekunów, którzy niemal bez przerwy opiekują się i pielęgnują swoje dzieci. Zgodnie z założeniami mogą oni w 2019 r. – bez względu na dochody – liczyć na 14 dni pobytu swoich podopiecznych w placówce, a także pakiet 240 godzin opieki dziennej lub specjalistycznego poradnictwa.

Opinię o złych zapisach prawnych i braku konsultacji podzielają opiekunowie. Marta Wieczorek, mama chłopca, u którego stwierdzono autyzm, a gdy skończył siedem lat, okazało się, że jest nieuleczalnie chory, mówi: w jej mieście ten rodzaj opieki nie istnieje. Podobnie wypowiadają się pracownicy socjalni ośrodków pomocy społecznej w województwie mazowieckim. O problemach mówią rodzice z łódzkiego i małopolskiego. Także eksperci.

W ich opowieściach słowa klucze to „chaos" i „brak informacji": – Ten program po prostu nie funkcjonuje na poziomie, jak to określam, Rzeczpospolitej gminnej – mówi chcąca zachować anonimowość matka dziecka z autyzmem, wspierająca też innych rodziców dzieci niepełnosprawnych. – Ogromną rolę ma do odegrania urzędnik, wiele spraw rozstrzyga się uznaniowo. Prawo jest nieprecyzyjne i daje urzędnikowi władzę, możliwość decydowania o przyznaniu lub

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

Protest pod Małopolskim Urzędem Wojewódzkim, Kraków, 2018 r.

nieprzyznaniu pomocy. Sytuację pogarsza fakt, że wiele OPS-ów jeszcze do programu nie przystąpiło.

To, że program wygląda dobrze na papierze, przyznawał już kilka tygodni temu na łamach „Tygodnika" prof. Paweł Kubicki, ekonomista, specjalista ds. polityki publicznej wobec niepełnosprawności. „Po pierwsze, program ten traktuję jako pilotaż, bo na razie są gwarancje środków na rok. Po drugie, nie każda gmina przystąpi do programu, bo zakłada on finansowanie w 50 do 80 procent, pozostałe zaś koszty ponoszą samorządy. Niektóre nie będą skore do zaangażowania z jeszcze innych powodów, na przykład braku infrastruktury" – punktował ekspert, a portal niepelnosprawni.pl podawał, że program chce realizować jedynie co siódma polska gmina.

Wszyscy w jednym worku

Rodzice i specjaliści zwracają uwagę, że najcięższe przypadki niepełnosprawności, w tym osoby chore terminalnie, należy wyodrębnić. Bo to właśnie opiekunowie niepełnosprawnych z tej grupy w polskich realiach nie mogą sobie zwykle pozwolić na pracę zarobkową.

– Chciałam usamodzielnić syna, który chodził do przedszkola integracyjnego – opowiada Marta Wieczorek. – Gdy poszedł do szkoły, ja kończyłam studia. Pobierałam świadczenie pielęgnacyjne, przeznaczone dla osób, które rezygnują z pracy na rzecz opieki nad niepełnosprawnym. Miałam wrócić do pracy, sądząc, że świadczenie nie będzie mi już potrzebne. Ale okazało się, że mam w domu dziecko leżące, praktycznie bez kontaktu, przy którym muszę zrobić wszystko. Jego egzystencja całkowicie zależy ode mnie. A ja mam nadal to samo świadczenie, wynoszące nieco ponad 1500 złotych. To pomoc nieskuteczna, systemowa wydmuszka i umieszczanie wszystkich w jednym worku. Tymczasem, by zapewnić synowi opiekę i niezbędne leki, potrzebuję 8 tysięcy złotych miesięcznie.

Problem kolejny: kryterium dochodowe warunkujące prawo do opieki wytchnieniowej. By skorzystać z proponowanego przez rząd programu wsparcia w wymiarze większym niż minimalny, trzeba m.in. zrezygnować ze świadczenia pielęgnacyjnego.

Na dodatek system nie traktuje opiekuna lub rodzica jak posiadającego prawo do ubezpieczenia i urlopu pracownika. – Ma prawo do tego, by odpocząć, wyjechać, ale powinien być traktowany jak każdy pracownik na etacie – mówi jedna z matek. – Tyle że wymiar opieki wytchnieniowej nie jest równy wymiarowi urlopu wypoczynkowego dla pracownika. A zastąpienie opiekuna w nagłym wypadku, na przykład jego choroby czy hospitalizacji, powinno być kolejną formą wsparcia.

Nie jest. System nie przewiduje także formalnego zatrudnienia rodzica lub innych znających potrzeby dziecka osób w charakterze opiekuna, co zmniejszałoby koszty szkoleń i ryzyko zatrudniania obcych, zmniejszając jednocześnie bezrobocie i obawę rodzica o dziecko.

Marta Wieczorek zwraca uwagę na jeszcze jeden problem: stawki dla specjalistów, którzy mają zastąpić odpoczywającego rodzica. 30 złotych brutto za godzinę pracy w domu, 20 za godzinę pracy specjalisty w ramach pobytu dziennego – to kwoty, które nie dają gwarancji, że zastępcza opieka spełni oczekiwania rodzica, często po raz pierwszy od lat opuszczającego swoje dziecko. – Gotowość rodziców do pozostawienia dziecka jest najistotniejsza – ocenia Krystyna Firlej, również matka dorosłego i samodzielnego dziś dziecka. I dodaje bez ogródek: – Ja bym nie zostawiła.

„Popierać. Nie przeszkadzać?"

„Program kierowany jest do dzieci z orzeczeniem o niepełnosprawności oraz osób ze znacznym stopniem niepełnosprawności, których członkowie rodzin lub opiekunowie sprawujący bezpośrednią opiekę wymagają wsparcia w postaci doraźnej, krótkotrwałej przerwy w sprawowaniu opieki oraz podniesienia swoich umiejętności i wiedzy w zakresie opieki na tym osobami" – ogłasza na swojej stronie Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. A specjaliści i opiekunowie mówią: znaczny stopień niepełnosprawności wspomniany w tym dokumencie oznacza, że program jest kierowany do osób niepełnosprawnych, które mają orzeczoną niezdolność do samodzielnej egzystencji. Jest to grupa niejednorodna. ↦

Jedni leżą i nie są w stanie samodzielnie jeść oraz pójść do toalety lub decydować o sobie. Inni – w odpowiednich warunkach i przy wsparciu – funkcjonują. Część idzie do pracy, mając wydane przez ZUS „orzeczenie o całkowitej niezdolności do pracy i samodzielnej egzystencji". Dla niepełnosprawności powstałej w dzieciństwie w systemie nie ma innego zapisu. Bo w Polsce funkcjonują orzeczenia wydane do różnych celów. Ich zapisy wzajemnie się wykluczają. Orzeczenie o całkowitej niezdolności do pracy i samodzielnej egzystencji pozwala pracować. Jest informacją dla pracodawcy o wymogu zastosowania odpowiednich przepisów. Decyzja o rozpoczęciu pracy należy do osoby posiadającej ów dokument.

Niejasność programu polega także na tym, że do opieki wytchnieniowej mają prawo zarówno ci wymagający całodobowej opieki, jak i ci potrzebujący jedynie wsparcia w funkcjonowaniu. Chcą odciążyć starzejących się rodziców, a również mają orzeczony znaczny stopień niepełnosprawności.

Godne życie jest droższe

Rozwiązania legislacyjne wprowadzone przez obecny rząd generują chaos. Gdyby chodziło jedynie o synonimy czy składnię i semantykę, sprawę można by przemilczeć. Ale ponownie protestujące 23 maja osoby niepełnosprawne zwracają uwagę, że te zapisy mogą generować konieczność stawania na kolejnych komisjach do spraw orzekania o niepełnosprawności. Sytuacji nie poprawił premier Morawiecki, proponując „500 plus" tylko dla grupy „niezdolnych do samodzielnej egzystencji", którzy faktycznie nie mogą podjąć pracy. Nie podał jednak konkretnego terminu wypłaty świadczenia, a Jakub Hartwich mówi wprost: propozycja jest nieprecyzyjna. Źródło finansowania – „fundusz solidarnościowy" – również budzi wątpliwości.

Środowisko osób niepełnosprawnych nie od dziś jest podzielone. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że decyzja premiera Morawieckiego ten podział pogłębia. Trudno też przemilczeć fakt, że premier dyskredytuje zawodowy aspekt rehabilitacji i konstytucyjne prawo każdego obywatela do pracy. To kolejne rozdawnictwo i droga do wykluczenia. A chodzi o godne życie, które dla osób niepełnosprawnych często jest po prostu droższe. Wciąż istnieje też pułap zarobków, jakie z tytułu pracy może osiągnąć osoba „niezdolna do samodzielnej egzystencji" pobierająca rentę socjalną. By jej nie zawieszać, nie może osiągnąć dochodu, przekraczającego 70 proc. średniej krajowej.

– Wykluczenie, choć jest mniej widoczne niż przed laty, nadal istnieje – mówi jedna z matek zaangażowana w prace Komitetu Pomocy Dzieciom o Niepełnej Sprawności Ruchowej. – Niektórym wydaje się, że niskopodłogowy tramwaj i wizyta pracownika socjalnego z decyzją o zasiłku załatwią wszystko. Nie załatwią. Kiedy młody niepełnosprawny kończy osiemnaście lat, nagle jakby go nie było. Wychowaliśmy, usprawniliśmy i wykształciliśmy nasze niepełnosprawne dziecko. Dziś dorosłe, funkcjonuje samodzielnie. Ale bez naszego wsparcia, także finansowego, nie mogłoby żyć tak, jak o tym marzyliśmy. Ma zawód, doświadczenie i nikt nie chce z tego korzystać, więc realizuje „założenia" rządu: siedzi w domu na zasiłku socjalnym.

O podobnych dylematach mówi Adam Miks, archiwista z duszą poety – osoba niepełnosprawna ruchowo, z mózgowym porażeniem dziecięcym. Warszawa jest dla niego miejscem ciekawym architektonicznie, urbanistycznie i historycznie. I choć czasem bywa w mieście, to świat widzi głównie z perspektywy osiedla na warszawskim Służewcu. Orzeczenie o umiarkowanym stopniu niepełnosprawności, mimo znacznych ograniczeń ruchowych, nie pozwala korzystać z opieki wytchnieniowej. Ogranicza samodzielność, skazuje dorosłego człowieka na egzystencję ze starzejącym się rodzicem. Tymczasem godność i niezależność człowieka nie mogą umierać wraz z odchodzącym rodzicem.

Rozwiązania muszą być radykalne: bez zmiany systemu orzekania o niepełnosprawności i dostosowania do indywidualnych potrzeb niepełnosprawni i ich opiekunowie nadal będą mieli poczucie, że zostali sami.

© LAURA JURGA

Ta ławka jest wspólna

PIOTR ŻYŁKA, PREZES FUNDACJI ZUPA:

Przed laty pomyślałbym o tym śpiącym panu: „Dlaczego akurat tu? W publicznym miejscu?". Dziś czuję frustrację: nie zapewniliśmy mu jako społeczeństwo minimum komfortu i intymności.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Co znaczy dla Ciebie ta przestrzeń?

PIOTR ŻYŁKA: Siedzimy na jednej z ławeczek w tzw. kółku na krakowskich Plantach, od niedawna noszącym nazwę skweru im. Andrzeja Wajdy. Za nami Teatr Słowackiego, przed nami przejście podziemne z dworca.

„Kółko" od dawna jest znane osobom znajdującym się w kryzysie bezdomności. Byli tu długo przed nami. Od trzech lat to miejsce naszych coniedzielnych spotkań – „Zupy na Plantach".

Gdzie rozlewacie zupę?

Naprzeciwko nas, mniej więcej na wysokości ławeczki, na której śpi teraz pan – prawdopodobnie w kryzysie bezdomności. Do niedawna zresztą stawialiśmy zupę na tej właśnie ławeczce, ale niecały rok temu odwiedził nas papieski jałmużnik kard. Konrad Krajewski i zasugerował, żebyśmy kupili stoły i stawiali na nich termosy. Mała rzecz, a ważna. Stół to nie tylko miejsce spotkania. Chodzi też o pokazanie, że ich szanujemy, że nie zapominamy o ich godności.

Jest środa, zbliża się 9 rano. Pan z naprzeciwka śpi, a Kraków już tętni życiem. Na „kółku" ktoś czyta książkę, ktoś inny rozmawia. A od dworca sunie tłum.

Turyści ciągną walizki, inni śpieszą się do pracy. Wśród nich są tutejsi, studenci, przyjezdni. Także Ukraińcy, których jest coraz więcej i zostaną na dłużej.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

„Zupa na Plantach", Kraków, 2017 r.

Wizytówka, miejsce reprezentacyjne, które „psują bezdomni". Tak uważa radny Łukasz Wantuch, który nazwał osoby bezdomne „żulami", a „Zupę" uznał za szkodliwą, bo „darmowe jedzenie" przyciąga tłum. Jego uchwała, by wyrzucić tych ludzi i „Zupę" z Plant, przepadła. Niesmak został.

To dość charakterystyczne, może zwłaszcza dla Krakowa myślenie, w którym nietrudno odnaleźć ślady dulszczyzny: Kraków jako „wizytówka dla świata", Planty jako najważniejsza jej część. Mają ładnie wyglądać, schowajmy więc to, co brzydkie. Wtedy turyści zostawią u nas więcej pieniędzy. W tej narracji nie ma miasta-wspólnoty. Jest przestrzeń dla wybranych: pachnących, dobrze ubranych, z pełnymi portfelami.

Ta wizja dzieli nie tylko ludzi, ale też miasto – na lepsze i gorsze strefy. A ja odpowiadam: Planty są wspólne. Należą również do tego śpiącego pana.

Co czujesz, gdy na niego patrzysz?

Pewnie pięć lat temu odpowiedziałbym ci, że mi trochę przeszkadza. Czemu musi leżeć akurat tutaj? W publicznym miejscu? Przecież jest tyle innych, bardziej stosownych. To pewnie pijaczek, który znowu się schlał. Nie potrafi się ogarnąć. Sam sobie jest winien.

A dzisiaj?

Dominuje u mnie frustracja i smutek. Że ten człowiek – albo jakikolwiek inny – musi tutaj leżeć.

Że najpierw, prawdopodobnie przez życiową tragedię, musiał się tu znaleźć. Że następnie system pomocy okazał się niedostatecznie skuteczny, by go stąd wyrwać.

I że jako społeczeństwo nie zapewniliśmy mu minimum komfortu, poczucia bezpieczeństwa, intymności. Gdybyśmy teraz do niego podeszli, w pierwszym odruchu powiedziałby pewnie, żeby dać mu święty spokój. Ale jeśli poświęcimy mu trochę więcej czasu, zbudujemy namiastkę relacji, nić zaufania, odpowiedziałby już coś innego. Nikt nie chce sam z siebie spać na ławce pod gołym niebem.

I być budzonym – jak ten pan przed momentem – przez straż miejską, a potem przez policję.

Na szczęście zrobili to delikatnie, bez agresji, nie wyrzucając tego pana z ławki.

Zupę rozlewacie od trzech lat. Wedle krytyków to „rozdawnictwo".

Gdyby zainteresowali się naszą inicjatywą, wiedzieliby, że zupa to tylko pretekst do spotkania. Najpierw spotkania wolontariuszy w „ŻyWej Pracowni", gdzie gotujemy już od godz. 15. A potem wszystkich chętnych tutaj. Jemy, rozmawiamy, jesteśmy ze sobą, nawiązujemy relacje.

Zostaliście wpisani w rytualny spór: „Ryba czy wędka?". Po stronie tych, którzy oferują tylko „rybę".

Nie lubię podobnych etykiet, bo ten podział zakłada traktowanie człowieka tylko jako elementu rynku pracy. Liczy się „przydatność".

Niekoniecznie: „wędka" to może być rozmowa, zainteresowanie, wsparcie, w efekcie którego ktoś odbuduje relacje z rodziną, pójdzie na odwyk, uwierzy w siebie.

Traktujemy ludzi, którzy przychodzą się z nami spotkać, co najmniej jak dobrych znajomych, z niektórymi jest to wręcz więź przyjaźni. A gdy przychodzę do znajomego czy przyjaciela, nie zastanawiam się, czy dam mu „wędkę" i co on z nią zrobi. Po prostu chcę z nim być. ↦

↦ Choć przy okazji spotkań na Plantach mam z tyłu głowy pytanie: jak skutecznie tych ludzi wesprzeć?

Jak?

Wystarczy znać trochę życie na ulicy, by wiedzieć, że nie ma jednej odpowiedzi. Że istnieje pewnie jakaś – raczej wąska – grupa osób, którym wystarczy zaproponować pracę. Tyle że pozostali, stanowiący większość, to ludzie po traumach, zniszczeni przez nałogi, z rozsypanymi relacjami, chorzy. Nie da się im powiedzieć: „Ogarnij się, idź do pracy!". Trzeba przejść najpierw ileś kroków, pokonać ileś etapów wsparcia, pomóc znaleźć dach nad głową, by można było myśleć o podobnej propozycji.

Wszystko to robi Fundacja Zupa.

Staramy się. Samo niedzielne spotkanie to też współpraca z lekarzami z Przystani Medycznej, wspierającej osoby w kryzysie bezdomności. Są tu z nami co tydzień, wolontaryjnie. W tygodniu organizujemy dwa, czasem trzy wieczorne wyjazdy streetworkerów. Odwiedzamy pustostany, działki, obozowiska namiotowe. Sprawdzamy, w jakim stanie są ludzie, którzy są jakoś ukryci, część z nich wstydzi się swojego stanu, albo z powodu problemów zdrowotnych nie są w stanie dotrzeć do centrum. Próbujemy pomagać.

Często skutecznie, jak w przypadku pewnej pary.

Byli po trzydziestce, mieszkali – dosłownie – pod mostem. Wcześniej już się znaliśmy, dlatego nam zaufali. Michał zadzwonił do nas alarmując, że Jola [imiona zmienione – red.] jest w bardzo złym stanie. Pod ten most w środku nocy przyjechała dwójka wolontariuszy: Adam i Kasia, młoda lekarka. Wstępna diagnoza, dokonana w prowizorycznych warunkach, była taka, że albo to jest zaawansowana ciąża, albo jakieś zmiany nowotworowe. W szpitalu po mniej więcej dobie na świat przyszło dziecko, wcześniak. Lekarze nam powiedzieli, że gdyby ona nie trafiła wtedy do szpitala, dziecko prawie na pewno by umarło, a jej życie też byłoby zagrożone.

Ten przykład pokazuje, jak ważna jest relacja. Bez jej budowania sytuacja mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej. Potem też ich nie zostawiliśmy. Wsparliśmy ich w poszukiwaniu mieszkania, zorganizowaliśmy niewielkie wsparcie finansowe. I pomoc prawnika, bo sąd chciał zabrać im prawa rodzicielskie.

Dziś oboje mają dom. Pracują. Wychowują dziecko.

> Planty mają ładnie wyglądać, schowajmy więc to, co brzydkie. Wtedy turyści zostawią więcej pieniędzy. **W tej narracji nie ma miasta-wspólnoty**.

„Zupa" to już nie tylko Kraków.

Głównie dzięki mediom społecznościowym dowiedziało się o nas wiele osób. Nie tylko dostrzegli problem, ale poczuli, że też chcą działać. Sopot, Rzeszów, Wrocław, potem inne miasta zaczęły organizować się według tej samej idei. Gdy „Zupa" ruszała w Katowicach albo w Szczecinie, pojechaliśmy spotkać się z pierwszymi wolontariuszami. Podzieliliśmy się swoim *know-how*, porozmawialiśmy. Warto jednak dodać, że „Zupa" nie ma jednego centrum dowodzenia, struktury, relacji podległości. Inspirujemy się nawzajem i dzielimy doświadczeniami.

Porozmawiajmy jeszcze o języku. „Osoby doświadczające kryzysu bezdomności" – mówisz konsekwentnie. To nie przesada?

Nie! Bo bezdomność to nie jest coś, co definiuje człowieka. Mówiąc o kimś „bezdomny", stygmatyzujemy go. Gdy używamy sformułowania w rodzaju „doświadczający bezdomności" bądź „będący w kryzysie", zwracamy uwagę na to, że to jest tylko sytuacja życiowa, w której ktoś się znalazł, i ona może się w każdej chwili zmienić.

MATEUSZ SKWARCZEK / AG

PIOTR ŻYŁKA (ur. 1986) jest redaktorem naczelnym Deon.pl, jednym z inicjatorów ruchu społecznego „Zupa na Plantach" i prezesem Fundacji Zupa.

Wspomniany radny mówi o „żulach".

To wulgarny, niedopuszczalny język. I niestety używa go więcej ludzi. Piszą np. w internecie, by wyrzucać „śmierdzących żuli" z tramwajów.

Gdyby radny siedział tu z nami, mógłby nagrać jeden ze swoich filmików, mających dowodzić słuszności jego postulatów: pan z ławki naprzeciwko poszedł przed chwilą na trawę – za potrzebą.

A gdzie miał to zrobić? Widzisz w promieniu kilkuset metrów publiczną toaletę, z której mógłby skorzystać? Ja czy ty w podobnej sytuacji – a każdy z nas w swoim bądź obcym mieście w takiej sytuacji się znalazł – pójdziemy do McDonalda albo innego lokalu. Jego w takie miejsce prawdopodobnie nie wpuszczą.

Po drugie: nigdy nie twierdziliśmy, że wszystkie osoby znajdujące się w kryzysie bezdomności są święte i pięknie pachną. To różni ludzie, tak jak różni są studenci czy turyści i mieszkańcy Krakowa. W każdej z tych grup znajdziesz cały przekrój wrażliwości, zachowań i problemów.

Gdybyśmy usiedli na tej samej ławeczce w piątek o 22.00, bohaterem podobnej scenki mógłby być ktoś zupełnie inny...

Ale o nim nie usłyszelibyśmy w mediach, bo „przywozi do Krakowa pieniądze".

Rozmawiajmy o problemach, bo w Krakowie i innych miastach brakuje nie tylko toalet: także schronisk, miejsc noclegowych, mieszkań treningowych. A etykiety zostawmy.

Tak jak są bardziej i mniej sensowni księża, lepsi lub gorsi ojcowie, bardziej lub mniej grzeczni turyści z Anglii, tak różne są osoby w kryzysie bezdomności. Spójrzmy na nich jak na konkretnych ludzi: Kasię, Gosię, Pawła. Z najróżniejszymi problemami i historiami. A nie jak na jednorodną grupę intruzów – problem, którego trzeba się „pozbyć".

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller:
Kres

A zatem stało się i krów już za płotem nie ma. Sąsiad szwagra sprzedał w końcu wszystkie swoje zwierzęta, duże stado, poczciwe Maliny i Krasule, w biało-czarne łaty, które obserwowaliśmy zza płotu, gdy patrząc na nas łagodnym wzrokiem, gryzły trawę (kręcąc mordą). Dzień przed sprzedażą szwagier wpadł do niego na plotki, a sąsiad wskazał głową krowy idące do obory i powiedział: „Dziś jest ostatni dzień tego wszystkiego". Brzmiało to na tyle poważnie, że szwagier nieco struchlał, bojąc się o dobrostan psychiczny sąsiada, ale okazało się, że nie o samobójstwo szło, ale o coś przeciwnego – o odzyskanie życia na powrót.

Od 30 lat każdy dzień sąsiada i jego żony wyglądał dokładnie tak samo. Wstawali bladym świtem (bladym wyłącznie latem, bo zimą rzecz jasna czarnym jak smoła) i szli oporządzać krowy. Gdy wracali do domu, nikogo w nim już nie było, bo dzieci się porozchodziły do okolicznych szkół, szli więc spać na chwilę, by jako tako poczuć się w formie, potem znów wracali do krów: dojenie, skup, kolejne prace gospodarcze; w końcu wieczór, a potem sen, przed wszystkimi, bo przecież rano już o 4.00 znowu trzeba wstać do zwierząt.

Krowy, jak wiadomo, nie patrzą specjalnie w kalendarz, nie chcą przyjąć do wiadomości, że Boże Narodzenie, niehandlowa niedziela, 1 maja albo 15 sierpnia i wolne od pracy – każdego dnia tak samo wytrwale domagają się opieki, łąki, paszy, dojenia. Życie sąsiada szwagra i jego żony przez ostatnich 30 lat trąciło wobec tego pewną monotonią – na wszelkich ślubach, pogrzebach, chrzcinach bywali najwyżej godzinkę, góra dwie, bo: wybaczcie kochani jubilaci, nowożeńcy, żałobnicy, ale wiecie, jak to jest, trzeba nam do krów wracać, same się nie wydoją, same się do obory nie zagonią, wiadomo. Urlopy również w grę za bardzo nie wchodziły, chyba że każde jechało osobno, tak by z krowami zawsze mógł zostać ktoś odpowiedzialny.

Bo jak wynika z opowieści sąsiada szwagra, a także z raportu „Portret polskiego rolnika. Analiza rynku" przygotowanego przez Agrotime, podstawowym problemem na wsi jest pozyskanie jakichkolwiek chętnych, lecz jednak wykwalifikowanych rąk do pracy. Tak powiada aż 60 proc. ankietowanych rolników, którzy prowadzą gospodarstwa o powierzchni powyżej 50 ha, specjalizujące się w produkcji polowej.

Nie inaczej zresztą mówili kolejni znajomi, ci z kolei hodujący stado owiec i produkujący ser: – Znalezienie odpowiednich ludzi do pracy jest naszą podstawową bolączką i mamy tego serdecznie dość. Bo cóż z tego, że w końcu znajdziemy strzygacza, skoro ten, gdy go zostawić samego ze zwierzętami na trzy godziny, wypija w tym czasie 12 piw i strzygąc owce na kompletnej bani rani je do krwi, a jednej odcina nogę? Cóż z tego, że zjawiają się jacyś chętni, którzy po pierwszej pobranej pensji ulatniają się jak kamfora?

Dziennikarz „Gazety Pomorskiej" analizując problemy polskiego rolnika zajrzał na portale z ogłoszeniami o pracy w rolnictwie: „W lubelskim gospodarstwie (uprawa tytoniu, konopi, hodowla kóz, owiec) poszukiwane jest małżeństwo do pracy na okres od 3 do 12 miesięcy. Wymagania pracodawcy? Konieczne prawo jazdy kategorii B, a wykształcenie średnie (matura). Wynagrodzenie dla pary, która może dodatkowo liczyć na zakwaterowanie – 8,4 tys. zł brutto".

W Bieszczadach za to, w miejscu podobnym nieco do tego, którego właściciele myślą o sprzedaży stada owiec, potrzebny jest pracownik z prawem jazdy i znajomością obsługi maszyn. Oferowana jest posada „w pięknej okolicy z zakwaterowaniem. Wynagrodzenie – 3 tys. zł brutto". Chętnych do ciężkiej pracy jednak brak.

Sąsiad szwagra pożegnał więc rolniczy stan, w końcu latka lecą, życie ma się jedno, sił coraz bardziej brak. A potem swoje pastwiska posprzedawał letnikom pod działki i siedliska, inne wydzierżawił tym, co postanowili jeszcze się trochę pomęczyć. Nie jest już polskim rolnikiem, tylko rentierem.

Jego żona – rozkwitła nagle jak pąk dorodnej piwonii – mówi szwagrowi: – Wraz z odejściem krów na powrót odzyskaliśmy życie. Wstajemy rano dopiero wtedy, gdy się w końcu wyśpimy, jemy śniadanie i myślimy, co by tu dziś sobie zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem. Nasz trwający 30 lat lęk przed tym, że jeden z elementów tej układanki zawiedzie – spadnie cena mleka w skupie, tak że nie wystarczy na paszę, że krowy zachorują albo my obydwoje naraz, że urzędy zasypią nas nową porcją biurokracji, będzie susza, będzie powódź, pracownicy kolejny raz okażą się niegodni zaufania, zdarzy się jakiś niefortunny splot wydarzeń, układ gwiazd na niebie, który nie sprzyja rolnikom – ten lęk w końcu nie jest już nasz.

Czyj jednak powinien być ten lęk przed takimi zmianami? Może nasz wspólny? ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie, II Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt II Ns 667/18, toczy się postępowanie spadkowe z wniosku Jacka Jarkowskiego i Jolanty Szczęsnej o stwierdzenie nabycia spadku po Sylwestrze Jarkowskiej z domu Zawadzkiej, c. Tadeusza i Marianny, zm. 30 lipca 2018 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Blacharskiej 1, m. 626.

Wzywa sie, by spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA

NIE MA SPRAWY

Kościół deklaruje pomoc ofiarom księży-pedofilów. Pod warunkiem, że sprawca żyje.

TEKST **ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**
ILUSTRACJA **JOANNA RUSINEK**

ON: – Poniedziałek, początek października. Zaczynałaś pracę o trzynastej. Tuż przed dwunastą staliśmy w kuchni, ja przy oknie, ty przy kuchence. Powiedziałaś: „Byłam molestowana przez księdza Dmocha". Pochodzimy z tej samej miejscowości, od razu skojarzyłem nazwisko.

Ona: – Powiedziałeś: „Musisz to zgłosić. Musisz".

On: – Poczułaś, że cię zostawiam.

Ona: – Znowu samą. Zareagowałam jak ośmiolatka, bo w tej sprawie zostałam ośmiolatką. Spytałam: „Muszę?", a ty: „Nie, musimy!". Tym „Musimy!" wyciągnąłeś mnie z otchłani.

On: – Pojechałaś do pracy, ja wyszedłem z psem. Przeszliśmy może 20 metrów. Pomyślałem: ja tu spaceruję, a on może krzywdzi teraz inną dziewczynkę. Wróciłem, wpisałem w wyszukiwarkę: „ks. Stefan Dmoch". Okazało się, że nie żyje.

Andrzej zadzwonił do redakcji niedługo po rozmowie z Anną (imiona zmienione). – Żona milczała 40 lat. To się wydarzyło przed pierwszą komunią – mówił głosem drżącym, ale zdecydowanym. – Nie zauważyłem... przez tyle lat... przepraszam, że się unoszę... czy nie powinniśmy działać? Co ja właściwie mogę zrobić?

Od tamtej pory próbował wyjaśnić sprawę. Do przewodniczącego Episkopatu, do biskupów, do księży delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży (zostali oni powołani w każdej diecezji i w każdym zgromadzeniu zakonnym, by przyjmować zgłoszenia ofiar i udzielać im pomocy) – skierował kilka próśb.

Prośba pierwsza

O przyjęcie zawiadomienia: „Zgłaszam fakt wielokrotnego molestowania seksualnego mojej żony jako dziecka (...) przez ks. Dmocha w latach 70. lub na początku lat 80. w Zambrowie, gdzie sprawca pracował w parafii św. Trójcy [ks. Stefan Dmoch w Zambrowie przebywał w latach 1976-80 – red.]" – pisał 11 października 2018 r. delegatom z diecezji warszawskiej (tej, do której dziś należą) i łomżyńskiej (tej, do której należeli, będąc dziećmi), prosząc o spotkanie. Nazajutrz odpowiedział ks. Robert Bączek, łomżyński delegat.

Anna zapamięta ze spotkania kilka szczegółów. Po pierwsze: westchnienie ulgi delegatów (łomżyńskiego i warszawskiego – spotkanie odbyło się w stołecznej kurii), gdy dowiedzieli się, że sprawca nie żyje. Po drugie: napomnienie, że do księdza delegata nie powinna się zwracać „proszę pana". Po trzecie: że rodzina ks. Dmocha może wytoczyć jej proces. Po czwarte: że opowiadając swoją historię, musiała wytłumaczyć księżom, co to jest stosunek udowy.

MAMA ZAPAMIĘTAŁA PŁACZ

On: – Codziennie myślę, jak przetrwałaś te kilkanaście godzin. Odkąd wszedł do twojego łóżka do momentu, gdy wróciłaś do domu. Obce miejsce, ośmioletnia dziewczynka...

Ona: – Ja tego nie pamiętam, nie potrafię nazwać uczuć.

On: – Rano musiałaś wstać. Musiało być śniadanie. Potem musiał cię wieźć do domu.

Ona: – Nie wiem, jak się tam znalazłam. Nie wiem, jak wróciłam.

Do Pierwszej Komunii rocznik Anny przygotowuje inny duchowny. Ks. Dmoch jest wikarym. Salki katechetyczne znajdują się w budynku plebanii, na dole. Na górze są pokoje księży, do których prowadzą kręte schody.

Anna: – Nie wiem, jak to się stało, że zabrał mnie do siebie. Pamiętam, że było tam biurko i wersalka. Niedawno wrócił też do mnie zapach z jego pokoju. Poczułam go nagle, siedząc w kościele, ale nie potrafię go opisać. Wciskał mi język w usta, całował, kładł mnie na sobie. Nie wiem, ile razy zabierał mnie do siebie, ale nie raz.

Najbardziej zapamiętała jednak inne zdarzenie: z oddalonego od Zambrowa o 40 kilometrów Sulęcina Szlacheckiego. Dziś to dwadzieścia kilka minut jazdy drogą S8. Ile ta trasa – przez zielony, urokliwy, równy jak od linijki krajobraz – zajęła im 40 lat temu?

Anna: – To był dom jego matki. Zapamiętałam starszą kobietę. Nie zdziwiło jej, że przywiózł na noc ośmiolatkę. Ze strychu, na który mnie zaprowadził, pamiętam okrągłe okienko. Widać było przez nie drogę, domy za tą drogą i człowieka, który kręcił się po obejściu. Na tym strychu mnie całował. A potem zostałam w tym domu na noc.

Jak to się stało, że spędziła noc w domu księdza? Bez wiedzy i zgody rodziców? Ks. Dmoch zabrał małą Anię pod pretekstem wręczania biskupowi kwiatów z okazji imienin. Nazajutrz do matki Anny zadzwoniła matka księdza i powiedziała: w Sulęcinie, już po imieninach, księża „trochę popili", dziewczynki nie miał kto odwieźć.

Anna: – Przyszedł do mojego łóżka. Odbył stosunek udowy, każąc mi zaciskać nogi. Nic więcej nie pamiętam.

Andrzej: – Gdy pojechałaś kilka miesięcy temu do mamy, by o wszystkim jej opowiedzieć, pamiętała, o jaką noc chodziło.

Anna: – Zapamiętała płacz, ale nie wiedziała czyj. Na pewno mój albo jej, po moim powrocie do domu.

Prośba druga

O odczytanie ogłoszenia w parafiach, gdzie działał kapłan: „Ponieważ w stosunku do księdza pracującego w przeszłości w tej parafii wpłynęło oskarżenie o molestowanie seksualne dziecka, zwracamy się z prośbą o kontakt osób wiedzących o podobnych sytuacjach". Anna i Andrzej chcieli, by dzięki takiemu ogłoszeniu ewentualne inne ofiary dowiedziały się, że nie są same. – Chcieliśmy też wpuścić światło do Kościoła, w którym nadal jesteśmy – mówią. – Bez tego światła, bez stanięcia po stronie ofiar, Kościół nie odzyska wiarygodności.

Zanim poprosili (po raz pierwszy już 22 października, pisząc do diecezji łomżyńskiej i ełckiej) o odczytanie ogłoszenia, domagali się prostej informacji: gdzie i kiedy pracował ks. Dmoch. Łomżyński delegat odpisał: o szczegółowe dane proszę zwracać się do kurii ełckiej, gdzie są akta podejrzanego. „Czy w sprawie dat Ksiądz jako prowadzący naszą sprawę może się zwrócić do diecezji ełckiej?" – nalegało małżeństwo.

Informacja nadeszła. Ks. Dmoch był w ośmiu parafiach: w Dobrzyjałowie, Śniadowie i Rajgrodzie (lata 60.), Wąsoszu i Zambrowie (lata 70.), a także w Suwałkach (lata 1980-84), Berżnikach (dwie kolejne dekady) i Żarnowie (2004-11).

Na odpowiedź w sprawie ogłoszenia Anna i Andrzej czekali pięć miesięcy. W międzyczasie, pod koniec lutego 2019 r., pisali (znowu do obu diecezji): „Szczyt w Watykanie na temat pedofilii w Kościele przyniósł szereg zaleceń (...) M.in. bardzo często podkreślany był postulat jawności i braku aprobaty dla próby ukrywania pedofilii w Kościele. Wnioski ze szczytu utwierdziły nas w słuszności naszego postulatu (...),

dlatego też ponownie prosimy, aby w parafiach, w których pracował ks. Stefan Dmoch, ukazało się ogłoszenie o wpłynięciu do diecezji łomżyńskiej oskarżenia (...) Uważamy, że parafianie mają prawo wiedzieć, jakiego »księdza« mieli u siebie. Inne ofiary, o ile istnieją, powinny wyraźnie usłyszeć, że Kościół kategorycznie odcina się od przestępców-pedofili, stoi po stronie pokrzywdzonych i chce im nieść pomoc".

„Pragnę poinformować, że w dniu 8 marca br. we wszystkich polskich diecezjach (...) obchodzony był Dzień Modlitwy i Pokuty za grzechy wykorzystywania seksualnego małoletnich – informuje 13 marca łomżyńska kuria. – (...) Z tej racji – zgodnie z wolą Biskupa Łomżyńskiego – w parafiach, w których posługiwał śp. ks. Stefan Dmoch (tych, które znajdują się w aktualnych granicach diecezji łomżyńskiej), podano do wiadomości wiernym apel, aby ujawniano wiedzę o ewentualnych czynach osób duchownych, które stanowiły naruszenie szóstego przykazania w relacjach z osobami nieletnimi" – odpisał łomżyński delegat (ełcki milczał).

Gdy jednak ponad dwa miesiące później odwiedzamy proboszcza parafii pw. Świętej Trójcy w Zambrowie – tej samej, w której cztery dekady temu pracował ks. Dmoch – ten nic o sprawie nie wie. Nazwiska nie kojarzy, nie wie o wpłynięciu zgłoszenia. Odsyła nas do kurii.

Z księdzem delegatem Robertem Bączkiem rozmawiamy dwa dni później. Gdy mówimy mu, że zambrowski proboszcz nie wie nic o zgłoszeniu, jest zaskoczony. Zapewnia, że pismo z kurii – wraz z treścią apelu – zostało wysłane, i że sprawę wyjaśni. Nazajutrz informuje, że proboszcz mógł nie znać sprawy, gdyż dostał pismo z zaleceniem odczytania kurialnej informacji, ale bez wiadomości o konkretnym zgłoszeniu na temat molestowania.

– Kościół się swoim zwyczajem wykpił – mówi Anna. – W dodatku byliśmy tydzień temu na mszy w innej zambrowskiej parafii. Tam proboszcz mówił na kazaniu, że może „jeden na iluś księży się czasem potknie", ale to nie powód, żeby „kąsać Kościół". Miałam ochotę podejść do mikrofonu. Nie zrobiłam tego, ale czuję, że coś we mnie wzbiera.

Co z pozostałymi parafiami, w których pracował ks. Dmoch? Ks. Bączek stawia sprawę jasno: kuria może wpływać na działania obecnych proboszczów parafii, w których posługiwał ks. Dmoch, ale tylko tych, które są na terenie diecezji łomżyńskiej.

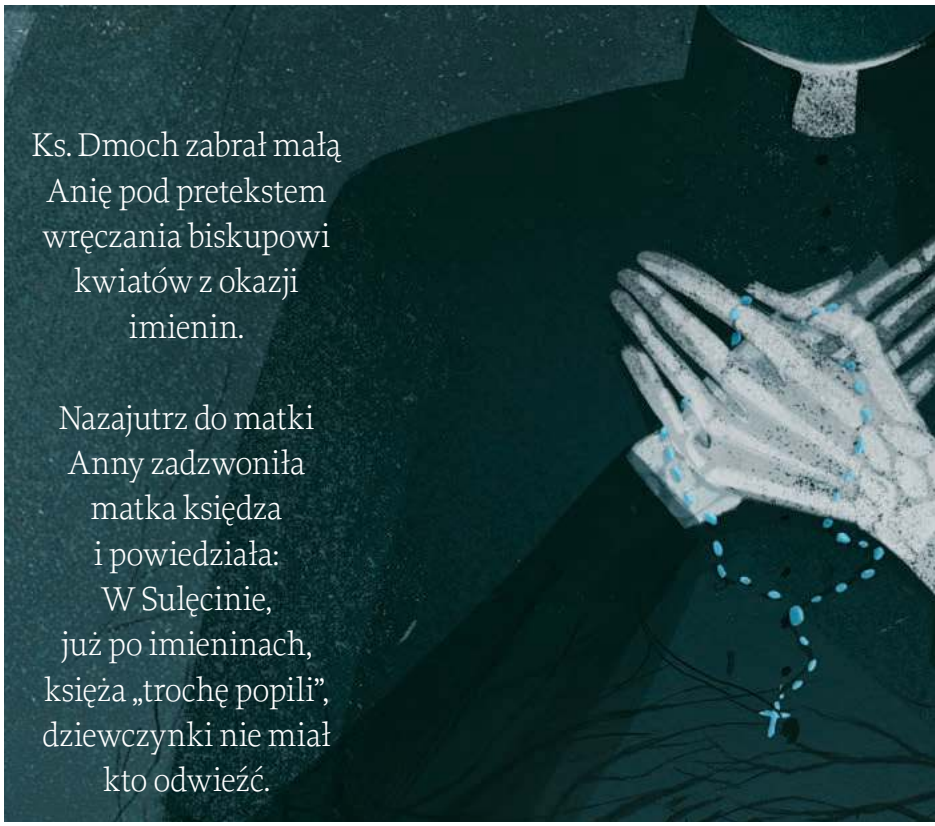

Ks. Dmoch zabrał małą Anię pod pretekstem wręczania biskupowi kwiatów z okazji imienin.

Nazajutrz do matki Anny zadzwoniła matka księdza i powiedziała: W Sulęcinie, już po imieninach, księża „trochę popili", dziewczynki nie miał kto odwieźć.

Pozostałe (Rajgród, Suwałki, Berżniki, Żarnowo) to już diecezja ełcka. Tu delegatem jest ks. Marcin Maczan, równocześnie kurialny kanclerz i rzecznik prasowy (to osobne pytanie: czy ktoś dbający z natury swej funkcji o wizerunek kurii powinien równocześnie pełnić funkcję delegata dbającego o dobro ofiar księży). Ksiądz rzecznik na wstępie oświadcza, że nie życzy sobie nagrywania rozmowy. „Mając świadomość, że problem jest globalny, we wszystkich parafiach Diecezji Ełckiej kilkakrotnie wystosowywane były informacje i apele Biskupa Ełckiego oraz Konferencji Episkopatu Polski, aby wszyscy, którzy zostali skrzywdzeni przez jakiegokolwiek kapłana, (...) zgłosili się do delegata diecezjalnego" – pisze w mailu, dopytywany zaś, co stoi na przeszkodzie, by w czterech parafiach poinformowano wiernych o zgłoszeniu, powtarza: zgłoszenie molestowania dotyczyło diecezji łomżyńskiej.

– Czułam się upokorzona, próbując dobić się do człowieka, którego biskup ełcki powołał do udzielania pomocy ofiarom – Anna powtórzy to wiele razy. – Zainteresowanie nami pojawia się wtedy, gdy w grę wchodzi wizerunek instytucji.

Jak sprawę komentują dzisiejsi proboszczowie parafii, w których pracował ks. Dmoch?

W parafii św. Aleksandra w Suwałkach nie dowiemy się nawet, że ks. Dmoch tu pracował. Nie ma o nim słowa na parafialnej stronie, mimo że są nazwiska innych dotychczasowych proboszczów i wikariuszy. Od proboszcza słyszymy, że nie dotarła do niego żadna informacja o zgłoszeniu.

Proboszcz parafii w Berżnikach tłumaczy, że jest tu od ośmiu miesięcy. Mówi, że o zarzutach nic nie wiedział, że nie wpłynęła do niego żadna informacja z diecezji, ani tym bardziej prośba o odczytanie ogłoszenia. Sam z siebie niczego nie odczyta: „we wsi byłaby afera", bo parafianie ks. Dmocha szanowali.

Podobną reakcję napotykamy w Żarnowie.

Wniosek? Po dziewięciu miesiącach od zgłoszenia drastycznej historii wykorzystania o fakcie tym nie mają pojęcia ani dzisiejsi proboszczowie parafii, w której pracował sprawca, ani wierni, wśród ↦

↦ których mogą się znajdować potencjalne ofiary.

Prośba trzecia

O pomoc psychologiczną. „Proszę wybaczyć, że dotychczasową korespondencją zajmował się mój Mąż. Poruszane w niej sprawy są dla mnie bardzo bolesne. Od czasu naszego spotkania cały czas jestem zagłębiona w przeszłości i dostrzegam coraz więcej zależności między faktem molestowania mnie w dzieciństwie a moim dalszym życiem (...) PROSZĘ O POMOC PSYCHOLOGICZNĄ" – napisała Anna w połowie listopada do delegata diecezji łomżyńskiej, który wszystkim ofiarom księży ma zapewniać pomoc psychologiczną, prawną i duchową.

W odpowiedzi przyszła oferta pomocy („w duchu współczucia" i bez „przesądzania odpowiedzialności prawnej") – ze strony psychologa, a zarazem... kapłana diecezji łomżyńskiej, w dodatku mieszkającego 200 km od obecnego miejsca zamieszkania Anny.

„Proszę wybaczyć, ale to, co zrobił ksiądz oferując mi – osobie molestowanej przez księdza – terapię u księdza (...) woła o pomstę do nieba i świadczy o wyjątkowym braku wyczucia i wiedzy" – odpisuje kobieta (ostatecznie otrzymała pomoc terapeutyczną za pośrednictwem o. Adama Żaka, koordynatora ds. ochrony dzieci i młodzieży przy Konferencji Episkopatu). A ks. Bączek odpowiada: za propozycję przeprasza, zdaje sobie sprawę z tego, że była ona bardzo niewłaściwa, ale na pomysł tej formy pomocy wpadł inny przedstawiciel kurii.

– Wygląda to jak zabawa w głuchy telefon. Jedynymi osobami, z którymi ofiara może się skontaktować, są delegaci biskupa. Jeśli ofiara trafia na takiego, jak w diecezji ełckiej, jej sprawa się kończy, bo spotyka się z tak dużą niechęcią, że nie ma siły na podejmowanie dalszych prób. Jeśli natrafia na kogoś takiego jak w diecezji łomżyńskiej, musi się liczyć z tym, że mimo dobrej woli delegata, prawdopodobieństwo skrzywdzenia wynikającego z braku wiedzy i doświadczenia jest ogromne. A biskupi pozostają dla ofiary nieosiągalni – mówi Anna.

Andrzej dodaje: – Może zabrzmi to absurdalnie. Ale gdybym był biskupem i miałbym przed sobą osobę skrzywdzoną przez księdza, jeździłbym od parafii do parafii i próbował ustalić prawdę.

SKĄD TA CISZA

Na portalu zambrow.org, pod filmem, w którym Anna opowiedziała o zdarzeniach sprzed czterech dekad (dokument „Pod skorupą milczenia" Elizy Matejkowskiej został wyemitowany 18 maja), pojawiają się komentarze. Wiele wspiera ofiary. Ale są też takie wpisy:

„Śmiech na sali. Jeśli została skrzywdzona, to chyba się o tym od razu mówi, a nie po 40 latach. Co, nagle odwagi nabrała ta Pani?". „Szkoda, że po 40 latach. Teraz to tylko słowo za słowo (...) Dlaczego nie wcześniej? Hmm". „Dlaczego o tym nikomu z dorosłych nie mówiłyście?".

Delegat łomżyńskiej kurii, ks. Bączek, w kolejnych mailach wyraża współczucie. Zapewnia, że rozumie mechanizmy rządzące traumą, wyparciem. Ale i w jego wypowiedziach wątek czasu się przewija.

– Wszystkie osoby, które miały kontakt z tym księdzem, w tej chwili mają ponad 40 lat – to zdanie powtórzy kilka razy (napisze je też w mailach do Anny). A na pytanie, czemu ta informacja ma służyć, odpowie: – Kto potrzebuje najbardziej wsparcia? Dziecko, nastolatek czy nastolatka, bo nie są w stanie same poprosić o pomoc.

Dlaczego ofiara zgłasza molestowanie po 40 latach? „Skąd ta cisza?". I czy rzeczywiście da się rozstrzygnąć, kto potrzebuje pomocy bardziej?

Anna: – Niczego mamie nie powiedziałam. Może jako dziecko czułam, że to nie ma sensu, bo ona sama potrzebuje wsparcia? W domu był koszmar. Ojciec wracał pijany, wyciągał nóż, ustawiał nas pod ścianą, groził, że zabije. „Ojciec" był tematem zakazanym. Najpierw dlatego, że pił, potem – bo odszedł z inną kobietą. Kiedy Dmoch zabrał mnie do domu swojej matki, rodzice byli przed rozwodem. Byłam sama.

Andrzej: – Psychika twojej mamy zadziałała wyparciem. „Na pewno nic się nie stało" – pomyślała pewnie, i w tę wersję uwierzyła, żeby jakoś wytrzymać.

Anna: – Ośmioletnia dziewczynka nie może żyć z czymś takim sama. Więc, żeby przeżyć, ja też „zapomniałam".

Pytamy o te 40 lat: jaki wpływ na jej życie miała krzywda? Ofiary bywają przecież przygniecione upokorzeniem do końca. Sypią im się związki. Tkwią w związkach-fikcjach („Nie współżyjemy od czterech lat. W ogóle nie pamiętam, bym kiedykolwiek chciała seksu" – opowiadała w „TP" dawna ofiara pedofila). Krzywdzą innych. Siebie. Popełniają samobójstwa.

– Miałam szczęście, że spotkałam Andrzeja – mówi Anna. – Ale i tak wpływ był kolosalny. O szczegółach nie mam sił jeszcze mówić. Mogę powiedzieć o dwóch rzeczach. Po pierwsze, przekroczenie granicy małego dziecka sprawia, że potem tę granicę bardzo trudno ustalić. Przez lata nie rozumiałam, dlaczego nie potrafię odmawiać...

– Że można zrobić z panią wszystko?

– Że to ja ze sobą mogę zrobić wszystko. Mąż mówił: nie rób tego, zostaw to, zostań w domu. A ja? Pracoholizm, ciągły ruch. Zresztą kto wie: może ten ruch mnie uratował? Dzisiaj to widzę: uciekałam w taniec, sztukę, we wszystko, co odciągało moją uwagę. W efekcie do dziś mam kłopot z odpowiedzią na pytanie: „Co czujesz?". Kłopot mam też z wyznaczaniem granicy między dobrem a złem. Nad tym też się zawsze zastanawiałam: skąd u mnie to zatarcie, dlaczego wszystko tłumaczę, usprawiedliwiam? Teraz widzę: musiałam sobie kiedyś powiedzieć: „To nic takiego"...

Wielki Piątek, marzec 2018 r. Anna siedzi przy stole z rodziną. Luźna atmosfera, wszyscy uśmiechnięci. Zaczyna płakać.

Anna: – Poczułam potworny ból. I żal. Zobaczyłam tę ośmioletnią dziewczynkę. Jej samotność. Jak w ciemnym lesie, z którego nie ma ucieczki.

Andrzej: – Wyczytałem to w książce na temat traumy: ofiara zaczyna mówić, gdy nie ma już siły wypierać. Choć powiedziałaś mi o wszystkim dopiero po kilku miesiącach od tego płaczu.

Prośba czwarta

O sprawdzenie, czy są inne ofiary ks. Dmocha i czy potrzebują pomocy. Szybko, bo już 5 listopada, niecały miesiąc od zgłoszenia przez Annę i Andrzeja faktu molestowania, biskup łomżyński postanowił nie wszczynać postępowania wyjaśniającego. Argumenty? Po pierwsze: podejrzany nie żyje. Po drugie: brak innych zgłoszeń.

8 listopada Andrzej dopytywał: „Proszę jeszcze raz o wyraźną odpowiedź (TAK lub NIE) na pytanie: Czy będą próby szukania innych, potencjalnych ofiar ks. Dmocha? Jeśli TAK, to proszę o szczegóły, w jaki sposób. Jeśli NIE, to proszę o wyjaśnienie, dlaczego".

„Wyraźna odpowiedź” nie nadeszła. Mimo że Anna i Andrzej sami – jeżdżąc po parafiach, w których pracował ks. Dmoch i rozmawiając z ludźmi – zebrali poszlakowe dowody o innych ofiarach. I mimo że do portalu zambrow.org zgłosiły się trzy inne kobiety. Jedna odmówiła udziału w filmie, potwierdzając jedynie słuszność zarzutów. Druga nie chciała wystąpić przed kamerą, ale w rozmowie z twórczynią dokumentu powiedziała: „Ks. D. zapraszał dziewczynki do swojego pokoju. Mówił, że ma cukierki (...) Byłam świadkiem, jak (...) włożył jednej rękę pod bluzkę. (...) Wybrał dziewczynkę, która miała już lekko zarysowujące się piersi. Pamiętam nasze osłupienie. Potem ksiądz skwitował, że chciał sprawdzić, czy [dziewczynka – red.] nosi medalik”.

Trzecia z kobiet, występująca w filmie, opowiedziała swoją historię bardziej szczegółowo. Znowu: lekcje religii, salka katechetyczna, mieszkanie kapłana. „To, co mi zapadło w pamięć, mimo wielu lat, to zachowania, które były dla mnie już wtedy – jako dziecka – dziwne, niepokojące, w których nie umiałam się odnaleźć – mówiła. – Dwie, trzy osoby, nigdy w tym gronie nie było chłopców, zawsze same dziewczynki (...) Rzadko znajdowałam się tam na osobności z księdzem (...) Chyba tylko jeden taki moment utkwił mi w pamięci. Pamiętam, że ksiądz zaczął ze mną rozmowę, siedząc przy stole na krześle. Ja stałam naprzeciwko niego. Wziął mnie za rękę, przyciągnął do siebie, i takim jak gdyby uściskiem ręki kierował mnie aż do momentu, gdy usiadłam mu na kolanie (...) Natychmiast uwolniłam się (...) Ksiądz próbował wtedy zaprosić mnie ponownie, ale to już nie nastąpiło”.

Ofiar ks. Dmocha, a także świadków jego nadużyć jest – jak ustaliliśmy – więcej.

DZIECI SIĘ DZIŚ SZYBKO ROZWIJAJĄ

O tym, że ofiarą duchownego padła też jej siostra, Anna nie dowiedziałaby się nigdy, gdyby nie zwierzyła się rodzinie.

Wanda (dziś mieszka za granicą) zapamiętała: stojący w pokoju księdza stół, kredens pełen kryształów; kotarę z białego materiału, która oddzielała kącik z naczyniami i czajnikiem. – Uczył mnie religii, miałam 12-14 lat – opowiada Wanda. – Wziął mnie i trzy inne dziewczynki do wypisania świadectw na koniec roku. „Zaszczyt” – myślałyśmy. Zaprowadził do swojego pokoju, każdej po kolei kazał siadać na swoich kolanach, tłumacząc, że stół jest wysoki i niewygodnie będzie pisać. Kiedy usiadłam, zaczął mnie dziwnie głaskać. Innym razem byłam u niego z mamą. Poprosił, bym pomogła mu przynieść kawę. Za kotarą znowu poczułam to dziwne głaskanie. Gdy wróciłam z filiżanką dla mamy, on usiadł pomiędzy nami i swoją nogą zaczął dotykać mojej nóżki. Ruchami „głaskania” kierował stopę w górę. Kiedy wyszłyśmy, powiedziałam mamie o tym, co zaszło. Odebrała to jako dziecięce imaginacje.

– Dziś nie pamiętam wiele z dzieciństwa, ale Dmoch jest ciągle w mojej podświadomości – kontynuuje Wanda. – Czułam do niego obrzydzenie, ale nie do końca wiedziałam, dlaczego. Nie zrobił mi takiej krzywdy jak Ani, młodsze dzieci były łatwiejszym „łupem”. Kiedy siostra opowiedziała mi o swojej tragedii, zrozumiałam wszystko.

Tropy nadużyć duchownego prowadzą też do innych miejsc.

Dom, do którego ks. Dmoch zabrał Annę, pokazuje nam starszy mieszkaniec Sulęcina Szlacheckiego. Zatrzymujemy się przed bramą. Budynek jest opuszczony, na bramie kłódka, łąka nieskoszona.

W Sulęcinie mieszka 265 osób. Gdy przed którymś z domów zatrzymuje się nieznajomy samochód, chwilę później na ulicy pojawiają się ciekawi mieszkańcy. Po chwili dołącza do nas jedna z sąsiadek. Oglądała film na portalu zambrow.org, mówi, że wierzy w to, o czym mówiły występujące w nim kobiety. – Przychodziła do mnie czasem matka Dmocha. Mówiła, że jest „babiarz i tyle” – przyznaje. Sama widziała, jak po ogrodzie chodził z młodymi kobietami w szlafrokach.

– A dzieci? Też się pojawiały? – pytamy.

Sąsiad: – Dziewczynka? To ktoś tak upieprzył, ja przepraszam, ale nie mogę tego słuchać.

Sąsiadka: – To skąd by ona [Anna – red.] wiedziała, że jego dom był w Sulęcinie? Że matkę tu ma?

Sąsiadka, po chwili: – Moje bratanice, mogły mieć wtedy 13-14 lat, chciały jechać do Zambrowa. Mówię im, żeby poszły do księdza i spytały, czy ich nie zabierze. Zabrał. Ale potem przewrócił na wersalkę i do całowania! Od razu. Dziewczyny uciekły. ↦

↦ Sąsiad (o sąsiadce): – Ta pani za dużo dała informacji.
Sąsiadka: – To o moich bratanicach to święta prawda.
Sąsiad: – Ode mnie byście czegoś takiego nie usłyszeli. Może widziała dużo jako sąsiadka, ale za bardzo się odkryła.
Sąsiadka: – Co ja powiedziałam?
Sąsiad: – Marysiu [imię zmienione – red.], niedobrze to powiedziałaś. Niedobrze.
Sąsiadka: – Że kobiety przywoził? To każdy widział.
Sąsiad: – Za bardzo się ta pani odkryła. Gdyby były dzieci, można mówić.
– Dziewczynki z sąsiedztwa miały 13 lat – zauważamy.
Sąsiad: – Dzieci się dziś szybko rozwijają.

Dopytujemy, jak daleko są Jelonki, miejscowość, w której jest grób ks. Dmocha. Sąsiad rysuje na ziemi plan dojazdu i cmentarza.

Na grobie ks. Dmocha duży, złoty napis: „V-ce dziekan Komendy Głównej SG V-ce dziekan Dekanatu Sejny. Uhonorowany w 2008 r. certyfikatem dobroczynności za ratowanie zdrowia i życia chorych dzieci. Ave Maryja".

ODPUST ZA POCAŁUNEK

W Żarnowie, gdzie ks. Dmoch spędził siedem lat (2004-11), rozmawiamy z proboszczem parafii pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Tematem jest zaskoczony, nic o zarzutach nie słyszał. – Był zakochany w wojsku. Wiersze pisał, podobno nawet malował – mówi.

I opowiada, że niektórzy ludzie go tu nie lubili, bo Dmoch wolał wojsko, a parafianie chcieli „księdza w sutannie".

„Śp. ks. płk SG Stefan Dmoch pozostanie w naszej pamięci jako człowiek wielkiego serca, pełniący dzieła miłosierdzia, gościnny i przyjacielski, zapraszający pod swój dach wszystkich mundurowych, którzy pragnęli znaleźć sposobność do zadumy i refleksji nad swoim życiem" – pisał po jego śmierci biskup polowy Józef Guzdek.

Do tej części działalności ks. Dmocha nawiązują też parafianie z Berżnik i Żarnowa, w których spędził łącznie blisko 30 lat. Wspominają, że często odwiedzał go abp Sławoj Leszek Głódź (to on mianował ks. Dmocha kapelanem Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej).

– Jak przylatywał do niego apb Głódź, to i tydzień potrafił zostać. A przylatywał helikopterem, tu, niedaleko, lądował. Moje dzieci go lubiły, nawet przyniosły raz ze szkoły rymowankę „Kto nie kocha księdza Dmocha, tego spotka przykra focha". Podobno sam ksiądz ją wymyślił – słyszymy od kobiety z Berżnik.

A mieszkanka Żarnowa opowiada nam, że ludzie ze wsi szemrali po kątach (raz ks. Dmoch nazwał ich nawet „hołotą"), bo nie rozumieli jednej rzeczy: takiemu uczonemu, wykształconemu duchownemu należy się szacunek. Taki właśnie szacunek wpajała córkom, które przygotowywał do pierwszej komunii.

Czy we wsi plotkowali o nieobyczajnym zachowaniu proboszcza? Plotkowali, nawet ktoś powiedział mu, żeby trzymał się od jego dzieci z daleka. Nie bała się o córki? Nie bała, bo przecież dziecko, które doznaje czegoś złego od dorosłego, już do niego nie wraca. A jej córki wracały. Tak, oglądała film braci Sekielskich, i uważa, że to nagonka na Kościół. – Nie wiadomo, może Sekielscy zapłacili tym osobom – mówi, ale na odchodne daje nam nazwisko mieszkanki wsi, której córka miała paść ofiarą ks. Dmocha.

Z K. i jej mężem połączyliśmy się telefonicznie.

– Nie chce mi się mówić źle o ludziach, którzy nie żyją – przyznaje kobieta. – Ale ksiądz w trakcie kolędy wysuwał do moich córek sugestie: „Pocałuj księdza w usta, to dostaniesz odpust". Opowiadał nawet, ile dni odpustu. Mówił: „Usiądź na kolana do księdza". Według mnie to nie były zachowania normalne dla księdza.

– Powiedzieliście wtedy coś państwo?

– Nie, ja byłam zszokowana, a męża nie było – odpowiada żarnowianka. – Moje córki powiedziały potem: „Całe szczęście, że taty nie było, bo źle by się to mogło skończyć".

– Na pewno cały by nie wyszedł – włącza się do rozmowy mąż kobiety.

– We wsi krążyły o nim legendy, jeszcze z czasów Berżnik – dodaje żona. – Sam ksiądz podczas tamtej kolędy mówił, że tam przychodziły do niego dziewczyny i dobrze witały, siadały na kolanach. A tutaj czuje się niedoceniony, nikt go nie adoruje.

Pytamy, czy zgłosili gdziekolwiek zachowania ks. Dmocha, i czy ograniczyli z nim kontakty. – Kontaktu wielkiego nie było nigdy – słyszymy. – Nie unikaliśmy go specjalnie, ale też nie dążyliśmy do spotkań. A tamtego zdarzenia nie mogliśmy przetrawić. Opowiadaliśmy innemu księdzu, że jesteśmy w szoku. Zbytnio tego nie komentował, ale widać było, że jest zniesmaczony.

Prośba piąta

O możliwość wzięcia udziału w spotkaniu z ofiarami, które przed watykańskim szczytem o pedofilii miał obowiązek zorganizować każdy przewodniczący Episkopatu. I tym samym: o uznanie przez Kościół, że Anna padła ofiarą księdza.

Anna dowiaduje się, że nie będzie mogła wziąć udziału w spotkaniu, bo jeśli ks. Dmoch nie został uznany przez Kościół sprawcą, to ona nie jest ofiarą. Nie odpuszcza. Przyjeżdża do Warszawy.

„Nie będziemy wracać do tematu molestowania, bo to zostało zgłoszone" – słyszą od abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego KEP, po wejściu do sali.

W jednym z maili mąż Anny pyta delegata kurii łomżyńskiej: „Czy Ksiądz tak prywatnie (jako człowiek), nie jako delegat (...) wierzy relacji mojej żony? Czy na pewno Ksiądz chroni pokrzywdzonych, bo z Księdza słów raczej wynika, że Ksiądz broni wizerunku Kościoła instytucjonalnego. Celowo użyłem sformułowania »Kościół instytucjonalny«, a nie Kościół – dla mnie Kościołem teraz są wszyscy pokrzywdzeni".

Delegat odpisuje. Nie ma powodów, by nie wierzyć pani Annie, ale jeśli podejrzany o wykorzystywanie duchowny żyje, Kościół wie, co robić – i z podejrzanym, i z pokrzywdzonymi. „Wszystko jednak radykalnie się zmienia, gdy podejrzany nie żyje...".

Nam ks. Bączek mówi: – Państwo używacie pojęcia „ofiara". No i tu jest właśnie problem. Bo jeśli mówimy o ofiarach, to stwierdzamy, że ten ksiądz jest sprawcą.

Tyle że pod koniec maja już wiadomo, że ofiar mniej lub bardziej drastycznych nadużyć ks. Dmocha było co najmniej sześć. Co zrobił lokalny Kościół, by odkryć prawdę, zanim zrobili to dziennikarze?

Ks. Bączek wymienia: zadzwonił do kurii ełckiej i poprosił o sprawdzenie akt personalnych księdza – czysto; spytał organistę, który pracuje w Zambrowie i który pamięta ks. Dmocha, czy kiedykolwiek widział albo słyszał, by duchowny wykorzystywał dzieci. Nie widział i nie słyszał. Dodatkowo kanclerz kurii potwierdził brak zarzutów w tej kwestii u jego kolegów z seminaryjnego rocznika.

Czy zrobiono wszystko, co możliwe? – Codziennie się zastanawiam, co więcej mógłbym uczynić – powtarza ks. Bączek.

Powtarza też przeprosiny. Za to, że kuria skierowała Annę do psychologa-księdza. Przyznaje też, że do parafii, w których pracował Dmoch, mógł zadzwonić osobiście, ale tego nie zrobił. A ogłoszenia w parafiach mogły zostać odczytane, ale nie były. – Dziś postąpiłbym inaczej – mówi ks. Bączek.

CZY TYLAWA JEST W POLSCE?

– A tak po ludzku: widział ksiądz film Sekielskich? – pytamy.

– Zacząłem o 11, skończyłem o 1 i nie mogłem spać. Byłem wstrząśnięty i zły. Jestem księdzem od 17 lat. Kiedy zaczynałem pełnić posługę kapłańską, to były najpiękniejsze chwile... A kiedy byłem w seminarium, czym my żyliśmy wtedy... Zagadnieniami teologicznymi, liturgią, zdobywaniem wiedzy, braterstwem – to były cudowne lata. Kiedy wchodziłem w kapłaństwo, nigdy nie myślałem, że będę się zajmował takimi sprawami. A kiedy w 2014 r. powoływano delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży, sam zaproponowałem księdzu biskupowi swoją osobę. Byłem przekonany, że to tylko formalny urząd, naprawdę, wierzcie mi. A po kilku miesiącach, może po roku, pierwsze zgłoszenie, dramatyczne dla mnie.

– Ale skąd ten wstrząs? Było wiele podobnych spraw, począwszy od Tylawy...

– Ja nawet nie wiem, o czym państwo mówicie teraz. O Tylawie? Ja kompletnie nie wiem, o czym mówicie.

– To była pierwsza głośna sprawa. Od Tylawy zaczęła się rozmowa o molestowaniu w Kościele.

– Ale chodzi o Polskę?! Gdzie jest ta miejscowość?

Andrzej: – Ks. Bączek popełniał błędy, delegaci nie mają wystarczającej wiedzy. Ale chcielibyśmy podkreślić: łomżyński delegat i o. Żak to jedyne osoby, które wykazały dobrą wolę, by nam pomóc. Za brak wsparcia, blokadę informacji, bezczynność odpowiadają biskupi: łomżyński i ełcki.

DLA DOBRA KOŚCIOŁA

Ks. Bączka pytamy, czy czuje się przygotowany na prowadzenie spraw, w których podejrzany duchowny nie żyje. – Próbuję sobie przypomnieć, czy na spotkaniach delegatów ktokolwiek o podobnych przypadkach mówił. Wydaje mi się, że nie – przyznaje.

O procedury w takich przypadkach pytamy o. Adama Żaka. Zakonnik przywołuje jeden z punktów wytycznych KEP, zgodnie z którym w przypadku oskarżenia pod adresem zmarłego „nie należy wszczynać dochodzenia kanonicznego, chyba że zasadnym wydałoby się wyjaśnienie sprawy dla dobra Kościoła".

– Chodzi o zdobycie wiedzy historycznej, żeby np. nie doszło do jakiejś formy czczenia zasług tego zmarłego księdza, co wiązałoby się ze zgorszeniem i ranieniem pokrzywdzonych – wyjaśnia o. Żak. – Ale nawet w takim przypadku nie chodzi o dochodzenie zakończone sentencją wyroku, bo ani prawo państwowe, ani kościelne takiej możliwości nie przewiduje. Można jedynie przeprowadzić dochodzenie o wartości historycznej, zbierając świadectwa pokrzywdzonych. Jedno jest pewne: pokrzywdzonym należy się uczciwe potraktowanie ich skargi i pomoc.

Tyle że Anna tej pomocy nie dostała.

©℗ ANNA GOC, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Świętuj z nami wolność!

Wydanie specjalne na 30-lecie nowej Polski

„Smak wolności" to zbiór najlepszych reportaży, rozmów i opowieści o wolnej Polsce i o ludziach, którzy tę wolność kształtowali.

Wśród autorów i rozmówców: s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Bogdan de Barbaro, Olga Drenda, Szymon Hołownia, Joanna Kulig, Karol Modzelewski, Jerzy Pilch, Dawid Podsiadło, abp Grzegorz Ryś, Filip Springer, Andrzej Stasiuk, Danuta Wałęsa, Adam Wajrak.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności" dostępne w salonach prasowych i w punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

Skarby chrześcijan Wschodu

O. SAMER SORESHOW YOHANNA, TEOLOG:

W Iraku zburzono nasze domy, całe wsie. Jeśli nasze najcenniejsze skarby – jak starożytne manuskrypty – znikną z naszej ziemi, co nam pozostanie?

PIOTR SIKORA: Jest Ojciec opatem zakonu z Kościoła chaldejskiego. Dla wielu Polaków brzmi to intrygująco, ale niewiele im mówi. Kim jesteście?

O. SAMER SORESHOW YOHANNA: Chrześcijaństwo w Iraku rozkwitało od I wieku, od misji ewangelizacyjnej apostoła Tomasza. Jego uczniowie tu pozostali. Tu właśnie została ułożona najstarsza znana anafora mszalna. Misjonarze Kościoła Wschodu, jak nazywamy nasz Kościół, dotarli w późniejszych wiekach aż do Indii i Chin. Swoją zaś główną siedzibę mieli w południowym Iraku.

Skąd wiadomo, że dotarli aż do Chin?

Odnaleziono tam stelle, kamienne słupy, z chrześcijańskimi tekstami po chińsku i aramejsku – czyli w języku, jakim posługiwali się chrześcijanie Wschodu.

Języku Jezusa?

Niemal – we wschodnim dialekcie aramejskiego. Ten dialekt był *lingua franca* całego tego obszaru. Jak dziś angielski. Było tak aż do VII wieku, do powstania i rozwoju islamu. Muzułmanie podbili te tereny, przychodząc z Półwyspu Arabskiego. Niestety, na skutek tej inwazji chrześcijaństwo z biegiem czasu stawało się coraz mniej liczne. Szczytowym okresem islamu było ustanowienie kalifatu w Bagdadzie. Ale chrześcijaństwo trwało tam aż do czasów współczesnych.

A jakie były relacje chrześcijan Wschodu z chrześcijanami żyjącymi wokół Morza Śródziemnego, z Kościołem greckim i łacińskim?

Uczestniczyliśmy w pierwszych Soborach Powszechnych, np. w Nicei. Ale od V wieku, z powodów politycznych – staliśmy się poddanymi Imperium Perskiego – stało się to niemożliwe. Z tego powodu nie przyjęliśmy ustaleń np. Soborów Efeskiego i Chalcedońskiego i zostaliśmy uznani za nestorian (czyli zwolenników potępionego wówczas patriarchy Nestoriusza). Odtąd kontakty z chrześcijańskim Zachodem były niewielkie. Aż do XVI wieku, gdy opat głównego klasztoru, znajdującego się w Alkusz niedaleko ruin biblijnej Niniwy w północnym Iraku (gdzie teraz mieszkam), przybył do Rzymu, nawiązał dialog ze Stolicą Apostolską i został pierwszym patriarchą Kościoła Wschodu zjednoczonego z Rzymem.

Czy wszyscy członkowie Waszego Kościoła przyjęli tę unię?

Nie, nastąpił podział – na Kościół chaldejski zjednoczony z Rzymem i Asyryjski Kościół Wschodu, który pozostał oddzielony. Kościół zjednoczony z Rzymem był też politycznie niewygodny dla ówczesnych władców. Nastąpiły prześladowania. Patriarcha został zabity. Ponowne odnowienie unii części chrześcijan Wschodu z Rzymem nastąpiło w XIX wieku. Ale sytuacja głębokiego podziału trwała aż do końca XX wieku. W 1994 r. zostało podpisane porozumienie doktrynalne pomiędzy Rzymem a Asyryjskim Kościołem Wschodu, w którym uznano, że mamy tę samą wiarę. Od tego czasu relacje pomiędzy wschodnimi Kościołami znacznie się poprawiły, został nawiązany dialog ekumeniczny.

Jak wygląda teraz sytuacja Kościoła Wschodu?

Obecnie większość chrześcijan Wschodu należy do Kościoła chaldejskiego – nazwa ta pochodzi od historycznej krainy będącej częścią państwa babilońskiego. Nasz siostrzany Kościół nazywany jest Asyryjskim – też od starożytnego imperium asyryjskiego, które współistniało z państwem babilońskim. Używamy nazw nawiązujących do naszych starożytnych przodków.

Ilu członków liczy Wasz Kościół?

Trudno to dokładnie stwierdzić. Przed upadkiem Saddama Husajna w 2003 r. było nas około półtora miliona chrześcijan, w większości z Kościoła chaldejskiego. Dziś, po powstaniu tzw. Państwa Islamskiego i tych wszystkich wojnach, pozostało nie więcej niż 300 tysięcy.

W Iraku?

Tak.

Gdzie się podziała reszta?

Część została zabita, ale większość wyemigrowała. Albo do krajów sąsiednich, duża część dotarła do Europy, Ameryki Północnej czy Australii. Niektóre diecezje w diasporze mają więcej członków, niż pozostało nas w Iraku. Np. diecezja w Detroit, która liczy pół miliona ludzi.

Macie więc kościelne struktury – diecezje, klasztory – także poza Irakiem?

Diecezje tak, klasztory nie. Poza jednym, małym – w Rzymie.

Sytuacja w Iraku wygląda więc dramatycznie. Z tego jednak, co wiem, Ojciec rozwija bardzo śmiały projekt, który wskazuje, że chrześcijanie Wschodu nie tylko potrzebują pomocy zachodnich sióstr i braci, ale mają nam wiele do zaoferowania.

Muszę wyjaśnić pewną rzecz. Od VII wieku nasz Kościół był właściwie Kościołem monastycznym – jego głównymi centrami były klasztory, patriarchowie i biskupi byli powoływani spośród mnichów. Właśnie klasztor w Alkusz stał się siedzibą patriarchy. W klasztorach zostało więc zgromadzone teologiczne i kulturowe dziedzictwo naszego Kościoła – m.in. ogromne zbiory manuskryptów.

Uważa je Ojciec za cenne dla całego Kościoła?

Gdy pisałem w Rzymie doktorat z biblistyki, badałem jeden z takich manuskryptów z naszej biblioteki i odkryłem, że może on przyczynić się do lepszego poznania pierwotnego, greckiego tekstu ewangelii.

JACEK TARAN DLA „TP"

Opat Samer Soreshow Yohanna, Kraków, czerwiec 2019 r.

To są greckie teksty?

Nie, głównie syryjskie, aramejskie. Ale grecki tekst ewangelii znamy przecież nie z oryginalnego rękopisu, tylko z rozmaitych późniejszych kopii, które zawierają różne zmiany, błędy. A syryjski rękopis, który badałem, bardzo stary, pochodzący najprawdopodobniej z VIII wieku, jest bardzo dokładnym tłumaczeniem z greki, i to z porównanych przez tłumacza trzech najlepszych wówczas wersji greckich. Jest to przekład na tyle dokładny, że po syryjsku brzmi dziwnie – ale przetłumaczony z powrotem na grecki ujawnia jedną z wczesnych greckich wersji Nowego Testamentu. Nie miejsce tu, by wchodzić w szczegóły, ale okazało się, że zbadany przeze mnie syryjski manuskrypt stawia pod znakiem zapytania pewne ustalenia w najnowszej krytycznej edycji tekstu Nowego Testamentu (tzw. Nestle-Aland 28). W zbiorach mamy też chyba najstarszy istniejący zbiór tekstów pierwszych soborów zapisany w języku syryjskim – „Synodicum orientale" – jego zbadanie może rzucić ciekawe światło na to, jak te sobory były rozumiane na chrześcijańskim Wschodzie. Do tej pory badania nad „Synodicum orientale" prowadzone były głównie w oparciu o manuskrypt przechowywany w Paryżu i manuskrypt Borgiów, który jest we Włoszech. Manuskrypt paryski jest kopią manuskryptu Borgiów, ale manuskrypt Borgiów jest kopią manuskryptu chaldejskiego, którego badacze przez wiele lat poszukiwali, a który – jak się okazuje – jest w moim klasztorze...

Docieranie do pierwotnego brzmienia starożytnych dzieł, w tym ksiąg biblijnych, jest fascynującym procesem, przypomina niemal sensacyjną intrygę kryminalną.

Podobnie jak historia uratowania naszych manuskryptów.

W jakim sensie?

Gdy wróciłem ze studiów w Rzymie, powstawało właśnie Państwo Islamskie. Nasze klasztory zostały zburzone, ludzie uciekali. Ale mnisi zabrali ze sobą manuskrypty, przewozili je w ukryciu z miejsca na miejsce – do Bagdadu, z Bagdadu do Mosulu, potem do Irbilu – i zdołali bezpiecznie zachować.

Co z nimi się dzieje teraz?

Zachodni świat naukowy chciałby mieć do nich dostęp. Na Zachodzie taki dostęp jest bardzo drogi. Ja sam – Irakijczyk – musiałem dużo zapłacić za dostęp do jednego z tekstów, który został sporządzony dawno temu w Iraku, ale teraz jest przechowywany na Zachodzie. Mamy wiele propozycji z zachodnich ośrodków, że mogą kupić nasze manuskrypty, nawet za duże pieniądze, i pomóc nam w ten sposób finansowo. Ale ja się na to nie godzę.

Dlaczego?

Bo jeśli nasze najcenniejsze skarby znikną z naszej ziemi, co nam pozostanie? Zburzono nasze domy, całe wioski. Zostało nam tak niewiele. Coś bardzo cennego, ale niewielkiego. Jeśli i to zostanie stąd zabrane – jaki jeszcze będziemy mieli powód, by sami zostać w miejscach, gdzie jest nasza historia? Dlatego mówię: jeśli chcecie pomóc, proszę bardzo, ale na naszych warunkach – a one są korzystne nie tylko dla nas, ale także dla naukowego świata Zachodu.

W jaki sposób?

Niech nam pomogą odbudować klasztor, w którym moglibyśmy zgromadzić wszystkie te manuskrypty. Przechowywać je w odpowiednich warunkach, by się nie niszczyły. W tym klasztorze byłaby przestrzeń, w której można by mieć ↦

profesjonalny do nich dostęp. Zawsze sercem naszych klasztorów, które były centrami edukacji, było skryptorium. Tak więc sercem tego nowego klasztoru powinno być Sriptorium Syriacum – miejsce badania naszego skarbu, manuskryptów. Każdy miałby możliwość przyjechania, mieszkania przez pewien czas i badania tych starożytnych tekstów. Byłyby sale konferencyjne. A dla tych, którzy nie mogliby przyjechać, istniałaby możliwość darmowego dostępu online – bo chciałbym, by zbiory zostały zdigitalizowane. Dałoby to też możliwość studiowania tych tekstów naszym wiernym, mnichom, księżom, klerykom. Stworzyłoby też ludziom miejsce pracy. Powstałoby centrum naszej kultury.

Czy jest na to przestrzeń w obecnej sytuacji politycznej?

Jest trudno, ale życie pokazuje, że nie jest to niemożliwe. Jako dziekanowi wydziału teologicznego na Uniwersytecie w Irbil udało mi się przekonać kurdyjskie władze, by utworzyć wydział języka aramejskiego i syryjskiego. Nauka trwa już trzeci rok – i mamy już nawet studentów Kurdów muzułmanów. Pozdrawiają mnie po aramejsku! Ucząc tego języka możemy uczyć ich o naszej kulturze, tradycji, by ją docenili. Nie widzę za bardzo możliwości dialogu międzyreligijnego, doktrynalnego. Ale na poziomie kultury taki dialog jest możliwy, już istnieje.

Czy nie boi się jednak Ojciec o bezpieczeństwo takiego miejsca jak Scriptorium Syriacum? Sytuacja polityczna jest cały czas niepewna.

Tak, pojawiają się obawy. Ale nie możemy kierować się lękiem ani tylko płakać i użalać się nad swoim losem. Musimy mieć nadzieję. To prawda, że w naszym świecie nie ma nic pewnego. Musimy jednak działać, jak by taka pewność była. Inaczej nie będziemy w stanie nic zdziałać. Niczego stworzyć. Musimy mieć pewność w sobie i iść naprzód.

©℗ Rozmawiał PIOTR SIKORA

O. SAMER SORESHOW YOHANNA *jest opatem Chaldejskiego Zakonu Ojców Antonianów Św. Hormizda w Iraku.*

Nieogarniony

MACIEJ MÜLLER

Dla naszego życia duchowego ożywcza jest świadomość, że wiara nie została raz na zawsze opisana i zamknięta okładkami katechizmu.

Józef Majewski, stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego", w tomie wydanym przez „Więź" zebrał swoje teologiczne eseje z kilku ostatnich lat (kilka rozdziałów to rozbudowane wersje tekstów znanych z „Tygodnika"). Ich lektura dowodzi, że wbrew pozorom w teologii wrze. To w Polsce mamy zaburzoną perspektywę, bo teologia służy u nas głównie popularyzacji nauczania magisterium Kościoła i od lat nie zadaje istotnych pytań. Nie chce „podejmować badań, wykraczających poza dotychczasowe *status quo* kościelnej świadomości, przynoszących nowe spojrzenia", jak diagnozował w „Tygodniku" o. prof. Andrzej Napiórkowski.

Tytuł może mylić o tyle, że Majewski nie napisał poradnika o tym, jak wytrzymać w Kościele, w którym mnożą się doniesienia o przestępstwach pedofilskich duchowieństwa i w którym narasta opozycja niektórych kardynałów wobec papieża. Majewskiego interesuje wiara jako taka: zadaje pytania proste, a przez to najtrudniejsze. Co znaczy słowo „Ojciec" w ustach Chrystusa i czy „abba" to rzeczywiście „tatuś", jak chce popularne duszpasterstwo (i papież Franciszek)? Czym jest kapłaństwo i dlaczego Kongregacja Nauki Wiary sięga do mizoginistycznych cytatów z Ojców Kościoła, żeby dowodzić, iż kobieta nie może go dostąpić? Czy Maryja przeżywała trudności w wierze? Dlaczego Kościół zabronił opisywać Ducha Świętego za pomocą wyobrażeń i metafor kobiecych, skoro hebrajskie „Ruah" jest rodzaju żeńskiego? Czy rozumiemy i bierzemy na serio Jezusowe stwierdzenie, że „ubogim głosi się Dobrą Nowinę?". Czy znany nam kształt Kościoła powinniśmy przyjmować za ostateczny, z obecnym rozdziałem ról między księży i świeckich? Bo św. Paweł, jak pisze autor, „byłby zdumiony, gdyby w jego czasy trafił dzisiejszy kapłan, przekonujący, że w nim jednym i jedynym spotyka się większość posług i funkcji, że on sam i apostołuje, i pasterzuje, i naucza, i ewangelizuje, i rządzi, i kieruje"...

Majewski nie pozostawia złudzeń: każda odpowiedź na teologiczne pytanie, nawet osiągnięta dużym wysiłkiem i z pomocą najtęższych umysłów, to tylko zaślepka – trzeba szukać dalej. Bo to, co jesteśmy w stanie powiedzieć o Bogu, zawsze będzie niepełne, ograniczone kategoriami ludzkiego języka i kultury (a z tej zasady nie wyłamują się ani twórcy ksiąg biblijnych, ani autorzy kościelnej doktryny!). Czy ta niekończąca się podróż nie jest wobec tego bezcelowa? Nie, bo dla życia duchowego ożywcze jest zrozumienie, że wiara nie została raz na zawsze opisana i zamknięta okładkami katechizmu. Nigdy do tego nie dojdzie, bo Bóg jest nie do ogarnięcia – o czym zdają się zapominać obrońcy kościelnej ortodoksji i kustosze depozytu wiary.

Wiara w ujęciu proponowanym przez Majewskiego nie dostarczy rozwiązań codziennych dylematów, ani nawet punktów oparcia. Autor każe czytelnikowi nieustannie dociekać, podważać, dopytywać, szukać nowych interpretacji; nie pozwala przywiązywać się do słów czy sformułowań. Jego rozważania są przy tym czymś więcej niż intelektualną przygodą. Majewski nie pokazuje rejonów Kościoła, w których możemy się skryć przez złem „trudnych czasów". Szuka miejsc, w których możemy się nasycić, napoić i iść dalej – mimo że absolutnie niczego nie możemy być w dalszej drodze pewni. Chyba że kolejnych pytań.

©℗

Józef Majewski **WIARA W TRUDNYCH CZASACH,** *Biblioteka „Więzi", Warszawa 2019*

SZYMON

Hołownia:
Myśli o męczeństwie

Wielu pamięta wstrząsający film, który (najczęściej w okrojonej wersji) obiegł świat cztery lata temu. Morderstwo 21 chrześcijan (głównie Koptów) dokonane w lutym 2015 r. przez fanatyków z tzw. Państwa Islamskiego (IS) na śródziemnomorskiej plaży w okolicach libijskiej Syrty – zaplanowane i wyreżyserowane niczym przekoszmarny spektakl. Wszystko grało tu rolę: procesja wprowadzenia ofiar przez oprawców, kolory strojów i jednych, i drugich, pompatyczne „słowo wstępne" o krwi chrześcijan, która mieszana będzie odtąd z wodą morza – morza, które przyjąć miało szczątki zabitego przez amerykańskich komandosów Osamy bin Ladena. Trudno wyobrazić sobie bardziej wyrachowane bestialstwo, większą pogardę dla człowieczeństwa, kpinę ze swojej religii.

Sceny z libijskiej plaży znów stanęły mi przed oczyma dzięki książce „The 21. A Journey into the Land of Coptic Martyrs" niemieckiego pisarza i dziennikarza Martina Mosebacha, który nie dość, że ze szczegółami przenalizował przebieg tej zbrodni, to zadał sobie też wiele trudu, by niejako wyjąć zabitych mężczyzn z ikon, pokazać ludzki wymiar symbolu. Główny ton książki Mosebacha to zdziwienie kształtem, myślą, swoistą dumą, odwagą, dyscypliną i mocnym eschatologicznym wychyleniem koptyjskiego chrześcijaństwa. Które dla mnie – mającego jakieś kontakty z wiernymi tego Kościoła w Afryce – nie jest wielkim zaskoczeniem, jest nim jednak dla autora przywykłego do luterańskiej i kalwińskiej powściągliwości czy katolickiego (mam na myśli europejski katolicyzm) talentu do dzielenia włosa na czworo i rzucania kłód pod własne nogi. Wszyscy męczennicy z Syrty (włącznie z pochodzącym z Ghany Matthew Ayarigą, który prawdopodobnie był wiernym jakiegoś odłamu protestantyzmu, stał się jednak Koptem przez chrzest krwi, wspólne przyjęcie męczeństwa, wyznanie, że jest chrześcijaninem tak jak i jego towarzysze niedoli) zostali kanonizowani przez koptyjskiego papieża. W rodzinnej wsi większości z nich w środkowym Egipcie stoi okazała katedra, do której przewieziono ich szczątki.

Rozmowy Mosebacha z żonami, dziećmi, rodzicami męczenników pokazują ludzi przeżywających, co oczywiste, żałobę, ale też bardzo wyraźne poczucie wybrania. Ci ludzie, naprawdę biedni, spracowani, skatowani walką z nieprostą dla Koptów codziennością, mają w sobie organiczny dla chrześcijanina instynkt przekuwania śmierci w życie. W ich rodzinnej wsi męczennicy są wszędzie – w portretach, w swoich dawnych pokojach zamienionych na pełne relikwii kaplice, przede wszystkim zaś w modlitwach. Mosebach słucha opowieści o wciąż trwającej relacji żon z mężami, których proszą o cudowną interwencję, gdy ich dzieci wpakują się w kabałę. Gdy o pomoc przychodzi prosić sąsiadka, muzułmanka, żeby razem się modlić, poprosić o rzecz, która należała do świętego, i zostaje wysłuchana – wkrótce może się cieszyć z narodzin dziecka.

Mosebach notuje, że koptyjskie chrześcijaństwo, jakie mu pokazano, nie jest religią Księgi. Jest religią nieustannej relacji, rozmowy, znaków, dla postronnego obserwatora na pierwszy rzut oka może tak przeładowanych kiczem jak niektóre koptyjskie dewocjonalia. Ostatecznie jednak – czy rozmowa zakochanych w sobie ludzi rzeczywiście powinna być poddawana ocenie przez badające artystyczny ciężar wyrazu niezależne jury? Koptowie, których pokazuje Mosbach, nie są w stanie wytyczyć linii demarkacyjnej między religijnością a życiem, bo w ich życiu takiej linii nie ma. Ojcowie rodzin wyjeżdżający regularnie na saksy do Libii, gdzie w dobrych czasach można było liczyć na zarobek nawet 45 dolarów dziennie, żegnali się z domami jak biskupi wyruszający w delegację, przy okazji rozmów telefonicznych dopytywali, czy dzieci się modlą, mówili też podobno, że mają świadomość ryzyka. Ale – od tylu lat będąc przecież *de facto* gościem w Egipcie, swoim dawnym domu – gotowość oddania życia za swoją wiarę Kopt musi mieć chyba niejako we krwi.

Czytając tę książkę, robiłem rachunek sumienia. Czy umiałbym tak jak oni konsekwentnie iść drogą pobożności tak wszechogarniającej, że przyjmującej męczeństwo jako coś naturalnego (ważna uwaga: nie wygląda to na dorabianie świętym legendy *post factum*, takie po prostu było i jest ich naturalne środowisko) – szczerze wątpię. O co innego chyba wypada mi się modlić. O to, by umieć podjąć właściwą decyzję *ad hoc*, gdyby miał przyjść moment próby. Za szczególnego patrona przyjąć owego Matthew, który przecież nie musiał, niejako sam zgłosił akces do grupy, a gdy mu powiedziano, że nie jest Koptem, powiedział wprost, że co z tego – i tak jest chrześcijaninem. Być jak ów przywoływany przez Mosebacha w tym kontekście święty Adauctus (co oznacza po prostu „dodany") – człowiek, który widząc odprowadzanego na miejsce kaźni bohatersko wyznającego swą wiarę (później świętego) Feliksa, poruszony tym, co zobaczył, też ją wyznał i – bezimiennie – zginął wraz z nim.

Przecież sprawa z męczeństwem od tylu lat wygląda najczęściej tak samo: wystarczy jedno twoje słowo, proste poruszenie cząsteczek powietrza, przekonanie siebie, że Bóg wie, co masz w sercu, że wie, że to wymuszone, że wykonujesz tylko jakiś pozór – a ocalisz życie. Co trzeba mieć w owym sercu, by woleć dezintegrację ciała od dezintegracji ducha – od sytuacji, w której usta przestają wyrażać to, czym żyje serce? Większość z nas pewnie nie będzie musiała sprawdzić się na tym wymiarze w tak koszmarnie spektakularnych okolicznościach. Ale to nie zmienia faktu, że małe, codzienne męczeństwa wymagają od nas dokładnie tego samego, czego nie zabrakło egipskim męczennikom. Tego, o czym mówił papież Franciszek, gdy przekonywał, że „Jezus nie lubi półotwartych drzwi. Jezus nie lubi dróg przebytych do połowy. Jezus nie lubi podwójnego życia". ©

EGO & REALPOLITIK

Napięciom w Zatoce Perskiej towarzyszy kolejny kryzys w relacjach atlantyckich. Jak oceniają go amerykańskie elity? I co z tego wynika dla Polski?

JAN SMOLEŃSKI Z WASZYNGTONU

Dziesięć minut: tyle zabrakło, aby w czwartek, 20 czerwca, amerykańskie rakiety uderzyły w irańskie stacje radarowe. Jeśli wierzyć tweetom prezydenta Trumpa, w ostatniej chwili uznał on, że spodziewane ofiary po stronie irańskiej byłyby nieproporcjonalną odpowiedzią na zestrzelenie amerykańskiego samolotu bezzałogowego.

Jednak wkrótce potem Trump zaznaczył, że nie „odwołał" lecących do ataku myśliwców, lecz tylko je „tym razem zatrzymał" – choć wcześniej wydał rozkaz do ataku. Chciałoby się zażartować, że Trump – niczym realny socjalizm – rozwiązuje problemy, które sam stwarza. Ale *tweet* prezydenta miał konkretne przesłanie: opcja militarna wciąż jest otwarta. Opcja, która może jeszcze bardziej zaszkodzić relacjom transatlantyckim – i tym samym przysporzyć również Polsce niemałych problemów w polityce międzynarodowej.

Ostrzej wobec Iranu

Przed wojną z Iranem – kolejną niekończącą się wojną – przestrzega na łamach konserwatywnego „The National Interest" Doug Bandow, analityk prawicowego think tanku Cato Institute i były asystent prezydenta Ronalda Reagana. Z lewej strony amerykańskiej sceny politycznej głosy krytyki wobec takiego pomysłu płyną od dawna.

Gdy zatem nie doszło teraz do otwartego starcia, wielu w Waszyngtonie odetchnęło. Na dalszy plan zeszły dywagacje, czy dron został zestrzelony w międzynarodowej przestrzeni powietrznej (jak chce Pentagon), czy w irańskiej (jak uważa Teheran). Najważniejsze, że Stany nie zostały wciągnięte w kolejny konflikt bez klarownej perspektywy zwycięstwa.

Choć atak został, jak pisze Trump, „zatrzymany", to Stany objęły sankcjami irańskich urzędników i wojskowych, w tym „górę" Gwardii Rewolucyjnej i samego Najwyższego Przywódcę ajatollaha Alego Chameneiego. Media w USA podały też, że przeprowadzono serię cyberataków na irańskie cele [patrz tekst w dziale Świat – red.].

To ostatni etap w eskalacji na linii USA–Iran. W istocie jest to element polityki wywierania maksymalnej presji na Irańczyków. Bo choć ostatnie sankcje są w dużej mierze symboliczne, to wcześniej, wiosną, administracja Trumpa nałożyła na Iran bolesne sankcje gospodarcze – ich celem jest odcięcie kraju od jakichkolwiek dochodów z eksportu ropy.

W teorii presja ma zmusić ajatollahów do podjęcia negocjacji lub, co sugerują niektórzy, wywołać protesty społeczne przeciw teokratycznemu reżimowi. W praktyce polityka presji nie przynosi efektów: Iran nie jest skłonny do rozmów, a mimo pogarszającej się sytuacji zwykłych obywateli, nie ma masowych protestów zdolnych obalić reżim. Pojawiają się więc spekulacje, że prawdziwym celem sankcji może być sprowokowanie wojny. Nie jest to teoria abstrakcyjna – bo nie jest tajemnicą, że sekretarz stanu Mike Pompeo i prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa John Bolton są w kwestii Iranu „jastrzębiami" (rolę tonującą ma natomiast odgrywać Pentagon).

Ostra polityka USA wobec Iranu znajduje zrozumienie wśród bliskowschodnich rywali Teheranu i jest (kolejnym) powodem zbliżenia między Izraelem a Arabią Saudyjską. Wprawdzie ze strony państw arabskich nie padły publiczne

Melania Trump, Donald Trump, Andrzej Duda i Agata Kornhauser-Duda oglądają lot myśliwca F-35 nad Białym Domem, Waszyngton, 12 czerwca 2019 r.

MANDEL NGAN / AFP / EAST NEWS

deklaracje, ale ambasador Izraela przy ONZ Danny Danon twierdził w rozmowie z Fox News, że Tel Awiw jest gotowy do współpracy z arabskimi przywódcami przeciw Iranowi, podkreślając przy tym, że inne kraje nie finansują terroryzmu.

Podzielony Zachód

Z dużo mniejszym entuzjazmem poczynania Trumpa spotykają się w Europie.

Na tydzień przed zestrzeleniem drona w Zatoce Perskiej doszło do ataku na dwa tankowce przewożące ropę. Administracja Trumpa natychmiast oskarżyła Iran i jako dowód pokazała film, na którym irański rzekomo okręt patrolowy podpływa do jednego z tych statków, po czym irańscy żołnierze usuwają z burty minę magnetyczną, która nie wybuchła i mogła być dowodem.

Stanowisko USA poparli Brytyjczycy. Paryż jedynie potępił ataki, milcząc na temat dowodów i odpowiedzialności. Unia Europejska wezwała do „maksymalnej wstrzemięźliwości", a niemieckie MSZ podało w wątpliwość przedstawiane przez Amerykanów dowody.

Ten sceptycyzm ze strony sporej części krajów Unii, zwłaszcza z jej zachodniej i południowej części, jest kolejnym symptomem coraz poważniejszego kryzysu w relacjach transatlantyckich. – Większość osób w Waszyngtonie, które zajmują się polityką międzynarodową, ocenia stan relacji transatlantyckich jako bardzo zły – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Rachel Rizzo, analityczka z think tanku Center for a New American Security.

Jednym z głównych przyczyn tego kryzysu było wycofanie się w 2017 r. Stanów z umowy nuklearnej z Iranem (zawartej w 2015 r.). Rizzo nazywa to jednym z najgłupszych posunięć w historii USA.

– Wynegocjowana przez administrację Obamy umowa z Iranem nie była doskonała, ale dzięki temu porozumieniu udało się osiągnąć postawiony cel, jakim było ograniczenie irańskiego programu nuklearnego – mówi Rachel Rizzo. – Europa była naszym partnerem w tych negocjacjach. Państwa europejskie pomogły położyć fundamenty pod tę umowę. Decyzja Donalda Trumpa, aby tak po prostu wycofać się z tego, spowodowała, że Europejczycy zaczęli kwestionować Stany jako wiarygodnych partnerów.

To w reakcji na ten ruch część krajów Europy zaczęła opracowywać sposoby na obejście sankcji wobec Iranu, które USA przywróciły (dodajmy, że te same rozwiązania można by wykorzystać do obejścia jakichkolwiek sankcji, w tym nałożonych na Rosję za inwazję na Ukrainę).

Kwestia ciągłości

Zerwanie umowy z Iranem, której wynegocjowanie zajęło wiele lat, pokazuje, na ile prezydentura Trumpa odbiega od obowiązujących wcześniej reguł tworzenia polityki zagranicznej w Waszyngtonie.

Trump mógł jednostronnie wycofać się z układu z Iranem, gdyż został on zawarty w formie umowy bezpośredniej między głowami kilku państw, w tym prezydentem USA. Porozumienie nuklearne nigdy nie było częścią wiążących traktatów międzynarodowych ratyfikowanych przez Stany, bo te – zgodnie z konstytucją USA – muszą otrzymać zgodę Senatu. W 2015 r. nie było szans na taką zgodę, ponieważ Republikanie kontrolowali Senat. Trump mógł więc jedną decyzją zniweczyć żmudny wysiłek dyplomatów.

Inny częsty cel ataków Trumpa, czyli NATO, ma status traktatu międzynarodowego. W tym przypadku dużo więcej do powiedzenia ma waszyngtoński *establishment* zajmujący się polityką zagraniczną, który – w przeciwieństwie do Trumpa – ceni sobie ciągłość.

– Trump może krytykować NATO i atakować Europę za to, że nie wydają wystarczająco dużo środków na obronę. Ale faktyczna polityka USA wygląda podobnie do tej, która byłaby realizowana, gdyby w Białym Domu urzędowała Hillary Clinton: wzmocnienie obecności wojsk NATO na wschodzie Europy czy zapewnienie krajów bałtyckich i Polski o naszym wsparciu w obliczu działań Rosji – mówi James M. Goldgeier, profesor School of International Service na Uniwersytecie Amerykańskim w Waszyngtonie i analityk wpływowego think tanku Council on Foreign Relations.

– Nie należy przeceniać wpływu pojedynczych prezydentów na politykę zagraniczną – mówi z kolei lewicowy publicysta David Klion. – Choć ich osobowość i priorytety mają znaczenie, to w przypadku Trumpa waszyngtońska „bańka" zajmująca się polityką zagraniczną traktuje go jak niekompetentnego niemowlaka, z którym trzeba sobie jakoś radzić. I tyle – stwierdza wprost. – Generalnie w Waszyngtonie panuje zgoda co do tego, że NATO to fundament amerykańskiego bezpieczeństwa, a Polska to ważny i wartościowy członek NATO – dodaje Klion.

Goldgeier uważa, że krytyka NATO ze strony Trumpa to element mobilizowania elektoratu. – Trumpa obchodzi to, co chce usłyszeć jego elektorat. Zależy mu na *show*. Znalazł kilka fraz, które rezonują. W tym i tę, że USA są wykorzystywane przez inne kraje, które nie robią wystarczająco dużo, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ale te słowa nie są wymierzone w Polskę, lecz w Niemcy. Niestety efektem ubocznym jest to, że NATO staje się coraz bardziej upartyjnioną kwestią – mówi.

↦

– Trump okazuje słabość wobec zwolenników rządów silnej ręki, takich jak Władimir Putin, Viktor Orbán czy Andrzej Duda. W przeciwieństwie do osób takich jak Angela Merkel, które uważa za słabe i których nie szanuje – dodaje Rachel Rizzo.

Nagroda za oklaski

Umowa podpisana podczas wizyty prezydenta Dudy w USA – zakładająca większą obecność militarną USA w Polsce i zakup samolotów F-35 – choć w Polsce w dużej mierze słusznie oceniana jako niekwestionowany sukces rządu PiS, w Waszyngtonie jest postrzegana jako nagroda za dopieszczanie ego Trumpa, np. podczas jego wizyty w Warszawie w 2017 r.

– Trump jest najwyraźniej zadowolony z tego, jak traktowany jest przez polskie władze. Sprawia też wrażenie, jakby łączyła go wspólnota przekonań co do tego, jak świat powinien funkcjonować i wyglądać. A Polska wydaje się to dobrze wykorzystywać – uważa Goldgeier. – Z drugiej strony Trump lubi Polskę, bo ta kupuje od nas sprzęt wojskowy – dodaje.

– Nie chodzi o proamerykańskość obecnego rządu polskiego, chodzi o poparcie dla Trumpa – stwierdza Rizzo.

Jednak fakt, że politykę zagraniczną USA cechuje więcej ciągłości niż zwrotów, oznacza, że specjalne względy, jakimi cieszy się polski rząd w administracji Trumpa, mają swoje granice. Pierwszą jest to, że na stworzenie takich dużych i stałych baz, jakie są np. w Niemczech, nie ma co liczyć. – Wysyłanie kolejnych żołnierzy na kontynent, na którym i tak są ich tysiące, to zbyt duże zobowiązanie – uważa Rizzo.

Do tego dochodzi fakt, że rola baz w Europie jest w Waszyngtonie postrzegana inaczej, niż wydaje się być postrzegana w Warszawie. – Wojska stacjonujące w Niemczech nie są tam po to, żeby bronić Europę przed zagrożeniem rosyjskim, lecz po to, by móc szybko i sprawnie przeprowadzać operacje w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie – uważa Goldgeier.

Drugie ograniczenie wynika z tego, że istotna część sympatii wobec Polski wśród waszyngtońskiego establishmentu bierze się z sentymentu wobec Solidarności z lat 80. XX w. Po zakończeniu zimnej wojny USA podjęły decyzję, by wybrać Polskę jako strategicznego partnera. Istotnym czynnikiem za tym wyborem były przemiany demokratyczne w Polsce. Ich trwałość miało zapewnić członkostwo w strukturach NATO i UE. – Gdy zatem Anne Applebaum pisze w „Washington Post" o autorytarnym zwrocie w Polsce, to naturalnie *establishment* obu partii jest zaniepokojony, nawet jeśli Trump milczy – mówi Goldgeier.

Trzecie ograniczenie jest takie, że w waszyngtońskim establishmencie zajmującym się polityką zagraniczną następuje zmiana pokoleniowa. – Starsza generacja pamięta Bośnię i wciąż myśli, że dzięki interwencjom militarnym USA są zdolne czynić dobro – mówi Goldgeier. – Dla młodszego pokolenia doświadczeniem formacyjnym była katastrofalna w skutkach interwencja w Iraku. To dla nich dowód, jak głupim pomysłem są takie misje.

To pokolenie jest sceptyczne wobec amerykańskiego przywództwa w świecie i jeśli je widzi, to nie w roli hegemona lub „światowego policjanta", lecz twórcy sojuszy krajów wyznających podobne wartości. Można się spodziewać, że dla tego pokolenia istotne będzie nie to, że Polska to kraj Solidarności, lecz to, czy np. przestrzega praw mniejszości.

Scenariusze dla Polski

W 2020 r. w USA są wybory prezydenckie. Trump zabiega o reelekcję, ale ich wynik nie jest przesądzony. Mając to w pamięci, nie należy mylić wzmacniania relacji ze Stanami z łechtaniem ego obecnego prezydenta. Ani poparcia Trumpa z poparciem całego establishmentu, który współtworzy amerykańską politykę.

– Z punktu widzenia Partii Demokratycznej USA są w strategicznej rywalizacji z krajami autorytarnymi, więc istotne jest, aby nasi sojusznicy to były państwa demokratyczne – mówi Goldgeier.

Potwierdza to Matt Duss, doradca ds. międzynarodowych senatora Berniego Sandersa, który ubiega się o nominację Demokratów. – Jest zrozumiałe, że Polska chce wzmocnić relacje militarne ze Stanami, ale my jesteśmy zaniepokojeni tym, co się dzieje w Polsce. Sojusze są dla nas istotne, ale chcemy się upewnić, że te sojusze będą wzmacniały takie wartości jak otwartość i demokracja – mówi Duss. – Mogę zapewnić, że podobnie myślą moi koledzy doradzający senator Elizabeth Warren i sama pani senator.

Bardziej bezpośrednia jest w swojej ocenie Rachel Rizzo: – Jeśli USA chcą przeciwdziałać autorytarnym zwrotom w innych krajach, to sposobem na to nie jest nagradzanie autokratów zwiększoną obecnością wojskową.

Prezydent-Demokrata byłby też bardziej przychylny wobec Unii, gdyż wśród Demokratów zaczyna przeważać przekonanie, że Europa powinna przejąć więcej odpowiedzialności za własną obronę, a nie polegać w tej materii na Stanach.

Nie jest jednak wykluczone, że Trump wygra wybory. – W takiej sytuacji będziemy mieli do czynienia ze spadkiem profesjonalizmu w jego administracji, bo coraz mniej ludzi z kompetencjami i doświadczeniem będzie chciało dla niego pracować – przewiduje Goldgeier.

Może to znaczyć, że polityka Trumpa będzie jeszcze mniej przewidywalna.

Pewne jest natomiast, że nie zmieni się jej transakcyjny charakter. Co to może oznaczać dla Polski, widać było na przykładzie szczytu bliskowschodniego w Warszawie, z organizowanego w lutym przez rządy Polski i USA. Polska dyplomacja starała się załagodzić jego antyirański wydźwięk. Na nic się to zdało: państwa europejskie zbojkotowały szczyt, a przekaz zdominował wiceprezydent Mike Pence ze swoim wystąpieniem wymierzonym w Teheran i europejskie stolice. Polska zapłaciła za to ostracyzmem ze strony głównych europejskich graczy.

W jedności siła

To może mieć istotne skutki dla polskiego bezpieczeństwa. Ono zależy zarówno od dobrych relacji transatlantyckich, jak też z europejskimi sojusznikami z NATO, które jest w stanie stawić czoło nie tylko inwazji militarnej, lecz także próbom ingerowania w procesy demokratyczne przez wrogie państwa.

– Dopóki Unia i USA wspólnie wyznaczają i realizują cele polityki zagranicznej, sam ten fakt odstrasza potencjalnych agresorów. Natomiast podziały i różne oceny ryzyka, a w przypadku Europy także różne „prędkości", mogą doprowadzić do rozpadu Unii i relacji transatlantyckich. Zwycięzcami takiej sytuacji będą Putin czy Xi Jinping. Oni chcieliby mieć do czynienia z podzielonym Zachodem.

W takim przypadku scenariusz optymistyczny polegałby na tym, że Polska będzie w pełni zależna od jednego partnera – mocarstwa leżącego na innym kontynencie i rządzonego przez nieprzewidywalnego prezydenta. Czarny scenariusz to Polska osamotniona wobec silniejszych rywali.

© JAN SMOLEŃSKI

Cios, który wyszedł z sieci

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Donald Trump ogłosił, że nie chce wysyłać żołnierzy na wojnę z Iranem. Ale to nie znaczy, że wojny nie będzie. Ona trwa od dawna, a ostatnio eskalowała do nieznanego wcześniej poziomu. Toczy się w cyberprzestrzeni.

TASNIM NEWS AGENCY / AP / EAST NEWS

Uszkodzony tankowiec w cieśninie Ormuz, 13 czerwca 2019 r.

Mogłoby się wydawać, że napięcie na linii Waszyngton–Teheran najpierw sięgnęło zenitu, a potem gwałtownie opadło w tamten piątek, 21 czerwca. Wtedy to – jak podał dziennik „New York Times" – prezydent USA wydał rozkaz zbombardowania celów w Iranie, ale zanim padł pierwszy strzał, atak odwołał. Miała to być odpowiedź – konwencjonalna, przy użyciu lotnictwa – na zestrzelenie amerykańskiego drona zwiadowczego. Prezydent potwierdził te informacje, dodając (jak zwykle na Twitterze), że zawrócił samoloty, gdy wojskowi przekazali mu szacunki, że w nalocie może zginąć 150 Irańczyków, co „nie byłoby proporcjonalną odpowiedzią na zestrzelenie jednego bezzałogowego drona".

Jednak to nie znaczy, że ataku nie było. Zamiast bomb użyto kodów. Celem US Cyber Command – Dowództwa Cybernetycznego, utworzonego dekadę temu i stanowiącego jeden z rodzajów sił zbrojnych USA – stały się irańskie systemy komputerowe, kontrolujące wyrzutnie rakiet i prowadzące zwiad elektroniczny w strategicznej dla eksportu ropy cieśninie Ormuz – tej, w której kilka dni wcześniej uszkodzone zostały dwa tankowce. Jak twierdzą Waszyngton, Londyn i Riad, przez Irańczyków (prawdopodobnie przez irańskie miny magnetyczne).

Wymiana cyberognia

Nie były to pierwsze elektroniczne „strzały" w amerykańsko-irańskiej cyberwojnie.

Najgłośniejszym jak dotąd – a w każdym razie: najgłośniejszym spośród tych, o których wiadomo – był bojowy wirus Stuxnet. Jeszcze w 2007 r. zniszczył irańskie wirówki wzbogacające uran w ośrodku Natanz, co miało spowolnić irański program atomowy. Nikt się nie przyznał do stworzenia wirusa (pewne ślady prowadziły do Izraela i USA), a Teheran utrzymuje, że atak był niemal nieszkodliwy.

Dwa lata później Irańczycy zhakowali internetowy system komunikacji CIA. To miało kosztować życie 30 współpracowników agencji, a sprawę uznano za jedną z większych wpadek wywiadu USA, bo Iran miał podzielić się odkryciem z zaprzyjaźnionymi krajami, np. Chinami. Równie spektakularnym pokazem możliwości irańskich hakerów było w 2012 r. zainfekowanie komputerów firmy naftowej Saudi Aramco i wymazanie danych 30 tys. komputerów. Potem, trzy lata temu, USA oskarżyły siedmiu irańskich hakerów o ataki na amerykańskie banki i zaporę wodną pod Nowym Jorkiem. Rok później Teheran ogłosił, że udało mu się udaremnić atak na infrastrukturę telekomunikacyjną dokonany za pomocą nowej wersji Stuxnetu.

A to tylko te „strzały", o których coś publicznie wiadomo.

Armia hakerów

Choć uważane za jedne z najskuteczniejszych na świecie, irańskie siły cybernetyczne zainkasowały ostatnio serię silnych ciosów. Zaczęło się jeszcze w 2018 r., gdy firmy zajmujące się cyberbezpieczeństwem wykryły nowy rodzaj wirusa DNSpionage; służy on do wykradania haseł i przejmowania kontroli nad sieciami. W lutym tego roku prokuratorzy z USA oskarżyli o szpiegostwo Monicę Witt, oficer wywiadu lotnictwa: miała pomagać hakerom związanym z irańskim Korpusem Strażników Rewolucji w cyberatakach na swych byłych kolegów. Miesiąc później Microsoft, dzięki decyzji Sądu Federalnego, zablokował 99 domen, których używali do wyłudzania haseł związani z Iranem hakerzy z Oil Rig (znani też jako grupa APT34). Wcześniej w ten sam sposób udało się osłabić grupę Fancy Bear, powiązaną z Rosją.

Nie wiadomo jednak, kto zadał irańskim hakerom najpoważniejszy cios. W serwisie Telegram na kanale o nazwie „Lab dookhtegan" (w farsi: „zaszyte ↦

wargi") pojawiają się szczegółowe informacje o Oil Rig i są prawdziwą bonanzą dla tropiących ją specjalistów od cyberbezpieczeństwa. W kolejnych postach ujawniane są nie tylko informacje o taktyce, narzędziach i nawet kodach źródłowych wykorzystywanych przez grupę, ale też jej struktura dowodzenia i nazwiska hakerów wraz z informacjami o nich.

„Mocno oberwali, ale wciąż mają zdolność do wyrządzania poważnych szkód" – uważa Ben Read, analityk FireEye. O tym, że nie jest w tej opinii odosobniony, świadczy ubiegłotygodniowe ostrzeżenie Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego dla firm w USA, by podjęły kroki w celu ochrony przed atakami irańskich hakerów, m.in. z wykorzystaniem złośliwego oprogramowania do wymazywania danych.

Dan Coats, który pełni funkcję dyrektora ds. wywiadu przy prezydencie USA (to odpowiednik polskiego koordynatora ds. służb specjalnych), ostrzegał niedawno, że rośnie zagrożenie „paraliżującymi atakami" na amerykańską infrastrukturę. Porównując je z zagrożeniem terrorystycznym w 2001 r. – gdy zamachowcy z Al-Kaidy zaatakowali World Trade Center i Pentagon – stwierdził, że „blisko dwie dekady później czerwone lampki znów migają". „Dziś celem ataku jest cyfrowa infrastruktura" – mówił Coats.

Triton może zabijać

Za jeden z najniebezpieczniejszych znanych dziś wirusów uważany jest Triton. Wykryto go w 2017 r. w systemie koncernu naftowego w Arabii Saudyjskiej. Zaatakował urządzenia, które w rafinerii zapobiegają awariom, mogącym skutkować eksplozją czy wyciekiem ropy. Tuż po odkryciu Tritona spekulowano, że mogli go stworzyć Irańczycy. Ale pojawiły się poszlaki, m.in. cyrylica we fragmentach kodu, iż mogą to być też Rosjanie.

„Stuxnet ani żadne inne złośliwe oprogramowanie, choć miało zniszczyć systemy i mogło doprowadzić do ofiar, nigdy nie miało tak rażąco jednoznacznego celu, czyli zabijania ludzi" – mówił na łamach magazynu „Mit Technology Review" Bradford Hegrat, analityk specjalizujący się w przemysłowym cyberbezpieczeństwie.

W ostatnich miesiącach analitycy zajmujący się bezpieczeństwem infrastruktury krytycznej firm E-ISAC i Dragos śledzili grupę, która stworzyła Tritona. Nazwano ją Xenotime. Ostatnio ujawniono, że prowadzi ona – jak to ujęto – „szerokie skany dziesiątków celów energetycznych w USA, najwyraźniej szukając punktów wejścia do ich sieci". Grupa Xenotime miała rozpoznać sieci co najmniej 20 celów, w tym elektrownie.

Mgła wojny

Wracając do ostatniej wymiany ciosów nad Zatoką Perską: choć amerykańskie media podały, co miało być celem ataków żołnierzy z US Cyber Command, próżno by szukać informacji, na ile były one skuteczne.

Irańczycy twierdzą, że nic się nie stało. „Starają się, ale nie przeprowadzili udanego ataku" – napisał na Twitterze Mohammad Javad Azari Jahromi, minister ds. informacji i technologii komunikacyjnej już niespełna 48 godzin po tym, jak miało dojść do cyberataku. Minister dodał, że w 2018 r. irańska zapora (*firewall*) „zneutralizowała 33 mln ataków".

Tymczasem Sam Curry z zajmującej się cyberbezpieczeństwem firmy Cybereason takie rewelacje nazywa „płonnymi". Twierdzi, że „prawdziwych ataków nie da się zatrzymać przy pomocy firewalla". Z kolei Julien Nocetti z Francuskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych powiedział agencji AFP, że w tej sprawie każda ze stron blefuje, a o tym, czy amerykański cyberatak był skuteczny, najpewniej wie tylko irańska Gwardia Strażników Rewolucji, która nadzoruje zaatakowane systemy.

Najwyraźniej w konflikcie cybernetycznym tzw. „mgła wojny" – jak nazwał to prawie dwa wieki temu teoretyk wojskowości Carl von Clausewitz – okazuje się gęstsza niż zwykle.

© AGATA KAŹMIERSKA
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Patriarchat w służbie kobiet

AYOBAMI ADEBAYO, NIGERYJSKA PISARKA:

Afrykańska homofobia i seksizm to w dużej mierze dziedzictwo kolonializmu. Nasza kultura i system prawny przesiąkły wartościami epoki wiktoriańskiej. A na ich podstawie trudno dziś organizować społeczeństwo.

AGATA KASPROLEWICZ: Co to znaczy – być dziś kobietą w Nigerii?

AYOBAMI ADEBAYO: Odpowiedź zależy od regionu i klasy społecznej. Od niektórych kobiet oczekuje się wyłącznie rodzenia dzieci. Od kobiet z klasy średniej – skończenia studiów i zrobienia kariery. Choć i one powinny znaleźć męża i urodzić. W Nigerii są stany, gdzie tylko 3 proc. dziewczynek chodzi do szkoły. Z kolei w innych regionach na uniwersytecie jest więcej kobiet niż mężczyzn. Jest to więc złożona i niejednoznaczna przestrzeń dla kobiecych możliwości.

Oczekiwania, które stawia się tu kobietom, nazwałabym zbiorem sprzeczności. Z jednej strony naciska się na niezależność i samowystarczalność, z drugiej – najważniejszym obowiązkiem kobiety pozostaje rodzenie dzieci.

Taką sprzeczność dostrzegam w życiu Yeijide, bohaterki Pani książki „Zostań ze mną". Najpierw przestawia się czytelnikowi jako kobieta pełna temperamentu, niezależna i aktywna, angażuje się w sprawy polityczne, leży jej na sercu los kraju, chce zarabiać na siebie. Wszystko to traci znaczenie, kiedy okazuje się, że nie może zajść w ciążę. Jej „wartość" spada do zera.

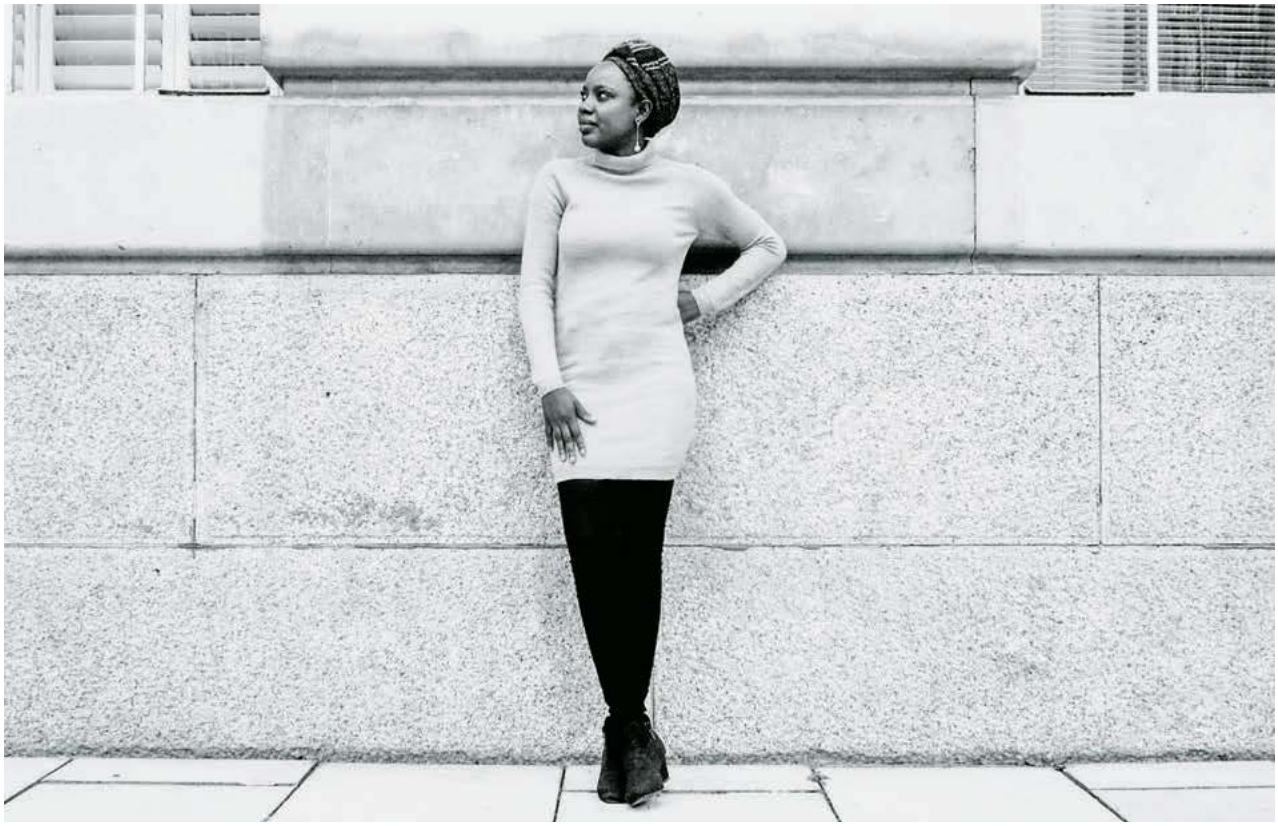

ENIOLA ALAKIJA / MATERIAŁY PRASOWE

Paradoksalnie za tą destrukcyjną presją stoją głównie inne kobiety.

Rzeczywiście, Yeijide jest niezależną kobietą. Ma salon fryzjerski, przez co jest bardzo szanowana w swojej społeczności. Mieszka jednak wśród ludzi, dla których kluczową rolą kobiety jest rodzenie dzieci. Jeśli któraś nie potrafi tego zrobić, natychmiast traci status społeczny.

Tylko że ten system nie przetrwałby bez kobiet, które piętnują inne kobiety. Spójrzmy na inną bohaterkę mojej książki, teściową Yeijide zwaną Moomi. To jest kobieta, która dorastała w takim właśnie świecie i najprawdopodobniej wierzy, że tak powinno być. Nie zadaje żadnych pytań, nie podważa zasad.

Kolejny paradoks. Patriarchat trwa dzięki kobietom?

W południowo-zachodniej Nigerii, w społeczności, którą opisuję, kobiety mają bardzo dużo do powiedzenia. Nauczyły się bowiem czerpać władzę z patriarchatu. Teściowa mojej bohaterki dość szybko zrozumiała, że tylko przez macierzyństwo może sobie zyskać szacunek i wysoką pozycję społeczną. Nie zastanawia się, że jako człowiek się nie liczy. Ludzie poważają Moomi tylko dlatego, że jest matką. Respekt zawdzięcza jedynie funkcji, którą pełni. To kobieta, która została ukształtowana przez opresyjny system. I, jak to często się zdarza, zyskując wysoką pozycję, sama stała się dręczycielką innych kobiet.

Yeijide wychodzi za mąż z miłości i umawia się ze swoim przyszłym mężem na nowoczesne małżeństwo, w którym nie ma miejsca na poligamię. Kiedy okazuje się, że nie może mieć dzieci, na scenę wkracza wspomniana już teściowa i przyprowadza do domu drugą żonę. I tak tradycji staje się zadość. Czy w takim kraju jak Nigeria tradycja może współistnieć z nowoczesnością bez krzywdy dla kobiet?

Uważam, że Nigeria może pewnego dnia stać się krajem, w którym kobiety będą cieszyć się pełnym zakresem praw i stanowić o sobie. Optymizm czerpię z naszej historii. W czasach przedkolonialnych w zachodniej części Nigerii, z której pochodzę, w radzie rządzących musiały zasiadać kobiety. Zdarzało się, że pełniły wysokie funkcje w organizacjach religijnych. To nie był świat idealny, kobiety bywały brutalnie traktowane. Jednak zanim nasz kraj skolonizowali Europejczycy, przywileje, o które dziś się kłócimy, były oczywistością.

To krzepiące, że coraz więcej kobiet bierze udział w polityce. Tyle że potem włączam radio i słyszę zaciekłe spory, awantury na ten temat – czy tak powinno być, czy nie? A przecież 150 lat temu tak po prostu było. Myślę, że powinniśmy czerpać inspirację z dobrze funkcjonujących społeczeństw Zachodu, jak i z własnej przeszłości.

Przypomina mi się tekst innej nigeryjskiej pisarki Chimamandy Ngozi Adichie „Wszyscy powinniśmy być feministami". Wspomina w nim, jak po opublikowaniu jednej z powieści podeszła do niej pewna kobieta na uniwersytecie i wygarnęła jej, że feminizm jest „nieafrykański". Ten ↦

AYOBAMI ADEBAYO (ur. 1988) jest nigeryjską pisarką, uznawaną dziś w literaturze za jeden z najciekawszych głosów młodego pokolenia Afrykanek. Studiowała literaturę angielską na uniwersytecie w Ife (zachodnia Nigeria). Jej debiutacka powieść „Zostań ze mną" (polskie wydanie 2019) była nominowana do prestiżowej brytyjskiej nagrody Baileys Women's Prize for Fiction.

argument często pada z ust afrykańskich polityków, nie tylko odnośnie do feminizmu, ale także homoseksualizmu. A może jest na odwrót? Może prawa dyskryminujące mniejszości w Afryce są spadkiem po epoce kolonialnej?

Afrykańska homofobia i seksizm to w dużej mierze dziedzictwo kolonializmu. Brytyjczycy rządzili w Nigerii od XIX w. Nie tylko kultura, ale także nasz system prawny przesiąkł wartościami epoki wiktoriańskiej. Bardzo trudno jest zorganizować współczesne społeczeństwo na podstawie prawodawstwa sprzed 150 lat.

Ponadto mówienie, że coś jest „nieafrykańskie", to przejaw politycznego oportunizmu. Politycy używają tego terminu, kiedy jest im wygodnie. Na co dzień mało kto zaprząta sobie głowę tradycją, chyba że w grę wchodzą mniejszości albo kobiety.

Autor pewnej nigeryjskiej książki historycznej z XIX w. opisuje mocno zakorzenioną w społeczności Joruba tradycję nadawania imion. Tłumaczy, że każde imię miało głęboki sens i znaczenie. Na przykład w przypadku bliźniaków dzieci rodziły się z przypisanym im z góry imieniem, w zależności od tego, które wyszło pierwsze z łona matki. Imię było święte, nie można było go zmieniać. Kiedy w Nigerii pojawili się Europejczycy, kobiety zaczęły przybierać nazwisko swojego męża. Autor książki tym zwyczajem jest głęboko oburzony, pisząc, że to „nieafrykańskie".

Tymczasem dziś zwyczaj, który 150 lat temu wywoływał niemałe skandale, z żarliwością nazywany jest „afrykańską tradycją". Kiedy w mediach społecznościowych jakaś Nigeryjka odważy się napisać, że nie chce po ślubie przyjąć nazwiska męża, oskarżana jest o „nieafrykańskie zachowanie". Dyskusja na temat afrykańskości jest złożona, bo kultura nieustannie ewoluuje. Uważam, że tylko społeczeństwo, które akceptuje zmiany, ma szansę przetrwać.

Na rocznicę ruchu #MeToo portal BBC opublikował grafikę przedstawiającą punkty na mapie świata, gdzie ów hasztag był najczęściej i najrzadziej udostępniany. Ku mojemu zdziwieniu Afryka na tej mapie stanowiła białą plamę, z jednym wyjątkiem – RPA. Afrykańskie kobiety nie są zainteresowane feminizmem? A może feminizm w wydaniu zachodnim nie rozumie i nie uwzględnia ich aspiracji?

Dyskusja na temat zachodniej formy feminizmu trwa w Afryce od lat 60. ubiegłego wieku. Jedna z najbardziej znanych nigeryjskich aktywistek na rzecz praw kobiet Molara Ogundipe wymyśliła termin *stiwanism*. *Stiwanism* w centrum zainteresowania stawiał doświadczenie afrykańskich kobiet i miał być alternatywą dla europocentrycznego feminizmu.

Kilka lat temu w nigeryjskim internecie pojawił się hasztag #BeingFemaleInNigeria (Być kobietą w Nigerii). Kobiety dzieliły się historiami powszechnie doświadczanego seksizmu, pisały o przemocy i strachu. Aby zrozumieć naturę feminizmu w danym miejscu, czy kobiety są aktywne, czy zabierają głos i walczą o swoje prawa, należy spojrzeć od środka. Niekoniecznie zagadnienia, które zaprzątają głowę kobietom w Londynie, będą miały znaczenie w Lagos.

Na początku tego roku właśnie w tym mieście na targach wybuchł protest kobiet przeciwko zachowaniu sprzedawców. Na porządku dziennym jest, że właściciele straganów łapią kobiety za rękę i zaciągają do swoich stoisk. Kobiety skrzyknęły się, by dać odpór takim praktykom. W stolicy Nigerii, Abudży, kobiety pracujące w przemyśle erotycznym protestowały przeciwko nadużyciom policji. Nawet jeśli na mapie hasztagów #MeToo wypadłyśmy blado, to nie znaczy, że się nie angażujemy, nie walczymy o poprawę swojego losu.

Mimo to spróbujmy porozmawiać o podobieństwach z Zachodem. Była Pani studentką Margaret Atwood, autorki „Opowieści podręcznej", która jest także fanką Pani książki. Obie powieści opowiadają o tym, jak wartość kobiety sprowadzana jest do płodności. To niezwykłe zestawienie, bo „Opowieść podręcznej" jest zachodnią dystopią, ponurą i przerażającą projekcją przyszłości amerykańskiego społeczeństwa, „Zostań ze mną" zaś – zapisem nigeryjskiej rzeczywistości lat 80. XX w.

„Opowieść podręcznej" to jedna z moich ulubionych powieści. Ta książka pokazuje sedno problemu wartościowania kobiet. To jest bardzo przewrotne, szczególnie w konserwatywnych społecznościach, które pozornie okazują wielki szacunek kobietom, a tak naprawdę cenią tylko ich zdolności rozrodcze. Takie myślenie jest szalenie niebezpieczne.

Kiedy byłam nastolatką, jechałam w Nigerii autobusem i nagle jakiś mężczyzna w potwornych słowach zaczął obrażać pewną kobietę. W którymś momencie ktoś wstał i zwrócił mężczyźnie uwagę, mówiąc: „Przestań do niej tak mówić, ona jest czyjąś matką". Pomyślałam sobie wtedy, że to dziwne. Co by było, gdyby ta kobieta nie miała dzieci? Dlaczego nie można po prostu powiedzieć: „Nie mów tak do niej, ponieważ należy szanować drugiego"? Niestety, w wielu krajach istnieje wciąż pokusa sprowadzania wartości kobiet do ich zdolności rozrodczych i próba przejęcia nad nimi kontroli przez państwo.

W kontekście tego wszystkiego, o czym rozmawiamy, jak widzi Pani rolę literatury w Nigerii? Jest sposobem na opisywanie czy zmienianie świata?

Mam nadzieję, że literatura może zrobić obie te rzeczy. Kiedy piszę powieść czy krótkie opowiadanie, mam nadzieję, że moja proza stanie się lustrem, w którym będziemy mogli się przejrzeć, a także dostrzec błędy, patologie czy zło, których nie zauważamy na co dzień. Ludzie rzadko zastanawiają się, jaki wpływ na innych mają ich wybory i czyny. Być może, kiedy wezmą do ręki książkę lub wiersz, który poruszy w nich wewnętrzną strunę, inaczej zaczną traktować ludzi wokół siebie, ale też poczują się inaczej w głębi duszy. Tak świat zmienia się na lepsze.

© Rozmawiała AGATA KASPROLEWICZ

Mam nadzieję, że moja proza stanie się lustrem, w którym będziemy mogli się przejrzeć, a także dostrzec błędy, patologie czy zło.

EMIN MENGUARSLAN / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Ćwiczenia tureckich komandosów w bazie w Izmirze, maj 2019 r.

Czy S-400 strąci prezydenta

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

Przegrana rządzącej partii AKP w wyborach na burmistrza Stambułu to jeden ze skutków polityki Recepa Tayyipa Erdoğana. Kolejne kłopoty może przynieść mu lawirowanie między Rosją i USA.

Gdy wynik był już znany, Ekrem İmamoğlu zabrał głos. „Nadszedł czas prawa i wolności. Naród pokazał, że rozumie i potrzebuje demokracji. Szanując wszystkich, będziemy budować sprawiedliwość, broniąc niepodległości i integralności terytorialnej kraju" – mówił z patosem godnym prezydenta kraju, a nie miasta.

İmamoğlu, kandydat opozycji, który pokonał rywala wspieranego przez rządzącą AKP dwukrotnie – bo za pierwszym razem, po interwencji prezydenta, komisja wyborcza unieważniła wynik – w kilka tygodni zyskał milion nowych wyborców. Stał się liderem, którego wielu Turków i część zagranicznych mediów widzi już w roli następcy Erdoğana. Ale choć nowy włodarz Stambułu jest sprawnym politykiem, sukces zawdzięcza także kryzysowi, który jest efektem mocarstwowych ambicji Erdoğana.

Prawie jak mocarstwo

Jesienią 2015 r., gdy armia turecka strąciła w strefie granicznej rosyjski bombowiec, Erdoğan nie tylko odmówił przepraszania Rosji, lecz zagroził, że Putin „igra z ogniem", a Turcja będzie się bronić. Ale duma Turków, że ich przywódca postawił się Rosji, rychło zamieniła się w rozczarowanie, gdy kraj zaczął odczuwać skutki rosyjskich sankcji. One zmusiły Erdoğana do zmiany frontu.

O ile stosunki z Rosją uległy poprawie, o tyle popsuły się z głównym dotąd sojusznikiem. Tureccy politycy podejrzewali Amerykanów o współudział w próbie puczu z lipca 2016 r. Aresztowano amerykańskiego pastora Andrew Brunsona, którego Turcy chcieli „wymienić" na mieszkającego w USA Fethullaha Gülena, rywala Erdoğana i domniemanego organizatora puczu. To się nie udało, a Ankara ściągnęła na siebie nowe sankcje, tym razem amerykańskie. Gospodarka wyhamowała, zagraniczne banki przestały udzielać kredytów, ratingi obniżono. Ceny podstawowych produktów zaczęły szybko rosnąć.

Na to nałożył się niespodziewany finał sprawy zakupu nowego systemu obrony przeciwlotniczej. Początkowo brano pod uwagę broń chińską, ale NATO odradziło ten krok. Stany Zjednoczone zgodziły się sprzedać zestawy „Patriot", ale nie chciały udzielić na to pożyczki ani licencji na produkcję.

Rosyjska ruletka

Z pomocą przyszła Rosja: zgodziła się sprzedać swój system S-400, na warunkach lepszych niż USA. Na nic zdało się przekonywanie, że to wątpliwe politycznie, i że S-400 nie jest kompatybilny z systemami stosowanymi w NATO. Niedawno Erdoğan poinformował, że transakcja dojdzie do skutku. Groźby ze strony Amerykanów nazwał – znany frazes – igraniem z ogniem.

Czemu posiadanie rosyjskiego systemu przez turecką armię to dla NATO problem? – Nikt nie ma wątpliwości, że te systemy elektroniczne mają możliwości zbierania cennych danych rozpoznawczych – mówi anonimowo polski oficer, który przez kilka lat pracował w bazie NATO w Turcji, gdzie zajmował się rozpoznaniem elektronicznym. – Rozmieszczenie systemu S-400 w Turcji naraża więc sojuszników na ryzyko bycia szpiegowanym. Może dojść do przechwytywania informacji dotyczących częstotliwości radiowych, analizy sygnałów wysyłanych do oraz z satelitów przez samoloty, w tym te najnowocześniejsze F-35.

Tymczasem Turcy chcieli kupić właśnie F-35. Teraz USA grożą anulowaniem umowy, a Pentagon przygotowuje raport o tureckich firmach biorących udział w produkcji części do tych maszyn. Zapewne zostaną wykluczone z tego procesu, co dla Turcji oznacza kolejne duże straty.

Na tym nie koniec. Analitycy przewidują, że Amerykanie przeniosą zakłady naprawcze silników F-35 z tureckiego Eskişehir do Holandii, a swoje bazy lotnicze do Jordanii i Kataru (od dłuższego czasu USA inwestują tam – właśnie po to, by uniezależnić się od Turcji). Gdy jesienią do Turcji dotrą pierwsze zestawy S-400, Ankara może spodziewać się nowych sankcji ze strony USA, które uderzą w i tak już osłabioną gospodarkę.

Erdoğan robi dobrą minę do złej gry, ale nie wygląda na to, by miał pomysł, jak wybrnąć z impasu. Jeśli skutki jego balansu między Zachodem i Rosją okażą się dla Turcji zbyt bolesne, możliwe, że po wyborach w 2023 r. te problemy będzie rozwiązywał już nowy prezydent – państwa, a nie miasta. ©

REUTERS / FORUM

Prezydent Korei Południowej Moon Jae-in oraz przywódca Korei Północnej Kim Dzong-un podczas spotkania w strefie zdemilitaryzowanej w Panmundżom, kwiecień 2018 r.

Plamy na słońcu

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Prezydent Korei Południowej Moon Jae-in wciąż cieszy się poparciem, jakiego mogą mu zazdrościć europejscy politycy. Ale na jego projekt zbliżenia z Koreą Północną coraz częściej kładzie się cień.

Kiedyś Słońce założyło się z Wiatrem, kto pierwszy zdejmie z wędrowca płaszcz. Wiatr dął z całych sił, ale im bardziej się starał, tym bardziej człowiek otulał się swoim odzieniem. Gdy Wiatr zrezygnował, Słońce zaczęło ogrzewać wędrowca, który szybko zrzucił płaszcz.

Bajką Ezopa posłużył się Kim Dae-jung, ówczesny prezydent Korei Południowej, gdy w 1998 r. chciał zobrazować swój plan wobec Korei Północnej: wojenna retoryka miała zostać zastąpiona przez dialog i współpracę. Do dziś projekt ten, funkcjonujący na Południu pod kilkoma nazwami, kojarzony jest zwykle właśnie jako „słoneczna polityka".

Obecny prezydent Południa, Moon Jae-in, od początku swej kariery politycznej był zaangażowany w ten projekt – tak silnie, że stał się jego twarzą. Lubi podkreślać, że to sam Kim Dae-jung, jego mentor, przekazał mu na łożu śmierci misję kontynuowania wysiłków na rzecz zjednoczenia Półwyspu Koreańskiego.

W rządzie Roh Moo-hyuna (2003-08), kontynuatora linii Kim Dae-junga, obecny przywódca Południa pełnił funkcję szefa sztabu prezydenckiej administracji. Odpowiadał za drugi szczyt koreańsko-koreański, gdy Roh odwiedził w Pjongjangu Kim Dzong-ila, ówczesnego „wodza". Popiera też wysyłanie na Północ pomocy – od początku rządów Moona jej wartość wyniosła już dwukrotność tego, co wysłano za prezydentury Kim Dae-junga.

Rozkwit „słonecznej polityki"

Moon Jae-in doszedł do władzy w maju 2017 r., na fali protestów i przyspieszonych wyborów. Były konieczne po tym, jak poprzednia prezydent Park Geun-hye została oskarżona o korupcję. Podczas kampanii Moon unikał tematu „słonecznej polityki" – wiedział, że duża część społeczeństwa uważa ją za skompromitowaną.

Ale gdy już wygrał, odbyły się trzy szczyty koreańsko-koreańskie. Planowany jest kolejny, podczas którego obecny wódz Północy Kim Dzong-un ma zjawić się w Seulu – pierwszy raz od podziału Półwyspu ponad 70 lat temu.

Moon lubi prezentować się jako ten, który posadził Trumpa i Kima przy jednym stole. W kontaktach między USA i Północą pełni niejako rolę Hermesa: przenosi wieści między dwoma przywódcami. Co chwila ogłasza mediom, że ma ważną wiadomość od Kima do Trumpa lub odwrotnie. Może pochwalić się też wizytą w Pjongjangu i przemówieniem, jakie dane mu było wygłosić przed obywatelami Północy – jako pierwszy prezydent Południa w historii.

Ale związany z tym wszystkim optymizm ostatnio przygasa. Za to pojawia się natarczywe pytanie, co dalej.

Spektakl nie wystarczy

Blask Moon Jae-ina zaczął blaknąć po spotkaniu Trumpa z Kimem w wietnamskiej stolicy Hanoi, w lutym tego roku, które zakończyło się fiaskiem. Nie ujawniono, co działo się za zamkniętymi drzwiami i co dokładnie doprowadziło do zerwania rozmów przez Trumpa. Zapewne była to kwestia denuklearyzacji: Trump mógł liczyć, że uda mu się nakłonić Kima do rezygnacji z broni atomo-

wej, a Kim chciał wcześniej otrzymać zniesienie sankcji.

Kwestia sankcji to jeden z głównych problemów prezydenta Południa. Choć jego otoczenie ma różne projekty współpracy ekonomicznej z Północą – jak budowa torów i dróg, ponowne otwarcie regionu turystycznego w północnokoreańskich Górach Diamentowych i Obszaru Przemysłowego Kaesong – stoją one pod znakiem zapytania z powodu sankcji, które ciągle pozostają w mocy.

Lewicowo-nacjonalistyczny obóz Moona uważa, że sankcje to ingerencja społeczności międzynarodowej w sprawy Korei. Po bezowocnej wizycie Moona w USA nawet przychylne mu media z trudem znajdowały wytłumaczenie, czemu jest on traktowany przez Waszyngton gorzej niż Kim Dzong-un. Trump odmówił poluzowania sankcji i przypomniał Moonowi, że to Japonia jest ważnym sojusznikiem USA i gwarantem pokoju w Azji Wschodniej.

Tymczasem – szukając podstaw ideowych dla idei zjednoczenia Półwyspu – narracja Południa podkreśla dziś wspólne antyjapońskie dziedzictwo obu Korei. Oficjalnie datę powstania Republiki datuje się od antyjapońskich protestów z 1919 r. W największej prowincji Południa, Gyeonggi, przyjęto przepis, który import z Japonii nakazuje oznaczać w szkołach napisem: „Ten produkt został wyprodukowany przez japońską firmę odpowiedzialną za zbrodnie wojenne". Przedstawiciele rządzącej Partii Demokratycznej tłumaczą, że pomoże to młodzieży we „właściwym zrozumieniu historii".

Coraz częściej Moon Jae-in spotyka się z zarzutem braku transparentności. Parlament wytyka mu, że nie jest informowany o szczegółach zbliżenia z Pjongjangiem. Blogerzy krytykują Moona, jakoby naciskał na koncerny (tzw. czebole) w sprawie inwestycji na Północy. Obóz konserwatywny z niepokojem odebrał zawieszenie manewrów wojskowych i likwidację pozycji obronnych w strefie zdemilitaryzowanej – w ten sposób Moon spełnił obietnicę z pierwszego spotkania z Kimem. Z kolei raport ONZ z marca tego roku ujawnił, że władze Południa mają lekko podchodzą do sankcji – np. importować z Północy węgiel i eksportować tam paliwo, bardzo potrzebne armii Kima.

Jina Kim z Korean Institue for Defense Analysis zauważa, że im dłużej rząd Południa będzie prowadzić dialog bez namacalnych efektów, tym bardziej będzie tracił zaufanie społeczne. Sam spektakl nie wystarczy.

Nieliberalna demokracja

Półwysep Koreański zwykło się postrzegać w kategoriach czarno-białych: z jednej strony totalitarna Północ, z drugiej demokratyczne Południe. O ile w przypadku Północy to trafny obraz, o tyle w przypadku Południa przesłania on nieformalne reguły rządzące tutejszą polityką. Choć wielu chciałoby widzieć autorytarną przeszłość Republiki jako zamknięty rozdział, w istocie każda ekipa, która rządziła po demokratyzacji z 1987 r. – i konserwatyści, i progresywiści – usiłowała zamykać usta niepokornym (i popadała w korupcję).

Tym, co szczególnie spędza sen z powiek dziennikarzom, jest pozew ze strony polityka o zniesławienie. W przeciwieństwie np. do USA, w Korei Południowej ciężar dowodu spada na oskarżonego: to adwokaci pozwanego dziennikarza muszą dowieść prawdziwości tego, co napisał. Ponadto dla sędziów ważniejszą niż prawda lub fałsz wydaje się kwestia, czy podważono reputację polityka. Nawet gdy dziennikarz udowodni, że napisał prawdę, nie daje to gwarancji wygranej (sic!), a wyrok za zniesławienie może sięgnąć nawet 7 lat więzienia. Nic dziwnego, że autocenzura jest powszechna, a wydawcy narzucają dziennikarzom ograniczenia. Rzecz znamienna: to obecny rząd – kierowany przez dawnego aktywistę na rzecz praw człowieka – wyjątkowo upodobał sobie tę formę walki z krytyką.

Koreańskie prawo nie zna przy tym pojęcia parodii. Policja wszczęła niedawno śledztwo w sprawie karykatury, która – imitując propagandę Północy – ironizowała z osiągnięć Moona. Nic dziwnego, że wielu dziennikarzy „chowa się" w internecie. Ale także sieć jest coraz częściej cenzurowana; głośne było niedawne zablokowanie opozycyjnej strony Pennmike.

Również dziennikarze z mediów zbliżonych do obozu progresywnego manifestują dziś swoje obawy, zwłaszcza gdy idzie o ograniczanie krytyki Północy. Reporter telewizji SBS Kim Tae-hoon ujawnił, że otrzymał telefon z ministerstwa obrony z nakazem (sic!) usunięcia słów „ścięcie głowy" w artykule o egzekucji. Pisanie o obozach pracy czy nuklearnym zagrożeniu staje się coraz bardziej tabu.

Niepokojącym zjawiskiem jest też nękanie uciekinierów z Północy, którym odmawia się prawa do swobodnej wypowiedzi. Od jesieni 2018 r. policja nie pozwala już aktywistom na wysyłanie balonów z pomocą i propagandą wolnościową do Korei Północnej – to kolejne ustalenie pierwszego szczytu Północ-Południe (wcześniej rząd Północy bardzo o to zabiegał).

Joshua Stanton, znany komentator wydarzeń na Półwyspie, uważa, że powodem tak ostrej polityki jest etnonacjonalizm rządzących, którego zresztą nie ukrywają – np. w zaleceniach dla mediów, jakie rozsyła Journalist Association of Korea, mowa jest otwartym tekstem, że „naszym celem jest reunifikacja i odbudowanie homogeniczności naszej rasy". Stanton obawia się, że „słoneczna polityka" sprowadza się do tego, że Południe zbliża się ideologicznie do Północy. A Północ ani drgnie.

Hwa, czyli harmonia

Wolność słowa nigdy nie była w Korei Południowej silną wartością. A administracja Moona nie kryje swych intencji: rok temu zarządziła usunięcie z podręczników definicji Republiki jako „liberalnej demokracji". Najwyraźniej partia Moon Jae-ina demokratyczna jest tylko z nazwy – podobnie jak Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna.

Tymczasem rząd Moona, który wyłonił się na fali społecznych protestów, miał na Zachodzie wyjątkowo dobrą prasę. Liberalne media w USA zachwycały się obaleniem „prawicowej" prezydent Park przez „liberalnego" Moona.

Nie zastanawiano się, co te pojęcia znaczą w Korei. Utrudniają to różnice kulturowe. Gdy więc Moon mówi o potrzebie harmonii, zachodni publicyści nie widzą w tym nic niezwykłego. Tymczasem „harmonia" (kor. *hwa*) jest jedną z najważniejszych wartości w tutejszej kulturze: w konfucjańskiej Korei przez *hwa* rozumie się zwalczenie indywidualizmu i jedność kolektywu. Kiedyś, za rządów dynastycznych, oznaczała wręcz absolutne podporządkowanie się jednostki i zaakceptowanie swoich ról społecznych. Kulturoznawcy często wskazują, że *hwa* jako wartość przetrwała do dziś, w rodzinie czy w pracy.

I najwyraźniej również w polityce. ©

Finlandyzacja po mołdawsku

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

Prezydent Dodon staje się głównym politycznym graczem, 11 czerwca 2019 r.

PIOTR OLEKSY

Czy Mołdawia stanie się modelem dla tych krajów Europy Wschodniej, które leżą w szarej strefie między Zachodem i Rosją?

Od niedawna Mołdawią rządzi koalicja, utworzona przez prorosyjską Partię Socjalistów i prozachodni blok Teraz. Egzotyczny sojusz powstał dzięki wyjątkowo zgodnemu wsparciu Moskwy, Waszyngtonu i Brukseli, by usunąć z miejscowej polityki Vlada Plahotniuca – oligarchę, który przez kilka ostatnich lat niepodzielnie trząsł krajem.

Fikcja staje się faktem

W krótkiej historii tego posowieckiego państwa rządzący chętnie posługiwali się pewnym narzędziem: aby się legitymizować się, wykorzystywali rozdarcie tożsamościowe społeczeństwa i rywalizację wielkich graczy w regionie. W efekcie powstał oligarchiczny reżim, oparty na prozachodniej retoryce i poparciu Zachodu, ale niemający nic wspólnego z zachodnimi wartościami – zwłaszcza z regułami demokracji. Aby odsunąć Plahotniuca (beneficjenta tej sytuacji), konieczna była współpraca sił z biegunów geopolitycznego sporu. Biorąc pod uwagę także lokalne układy – zwłaszcza fakt, że prorosyjski prezydent Igor Dodon współpracował z Plahotniuciem – jeszcze niedawno wydawało się to polityczną fikcją.

Niemożliwe stało się faktem na początku czerwca. Zbliżał się termin, po którym prezydent miał prawo rozpisać nowe wybory, gdyż parlament nie powołał rządu. Nagle, w poniedziałek 3 czerwca, do Kiszyniowa przybyli rosyjski wicepremier Dmitrij Kozak, unijny komisarz ds. rozszerzenia i sąsiedztwa Johanes Hahn oraz Bradley Freden, dyrektor ds. Europy Wschodniej w Departamencie Stanu USA. Wieczorem pojawiła się hipoteza, że cała trójka może zabiegać o powstanie szerokiej koalicji przeciw Plahotniucowi.

Wydarzenia kolejnych dni po części owiane są tajemnicą. Socjaliści i Teraz siadali do rozmów, to znów je zrywali, a Dodon (faktyczny lider socjalistów) negocjował z oligarchą. W piątek koło południa zdawało się, że powstanie koalicja Partii Demokratycznej (kontrolowanej przez Plahotniuca) i socjalistów, po czym nastąpi zwrot ku Rosji. Po południu, że Dodon rozpisze wybory. Ludzie Plahotniuca zaczęli ściągać do stolicy opłacanych „zwolenników".

W sobotę rano, ku zaskoczeniu wszystkich, posłowie socjalistów i bloku Teraz podpisali umowę o współpracy. Przewodniczącą parlamentu została szefowa socjalistów Zinaida Greczany, a premierem Maia Sandu – liderka partii PAS, jednego z dwóch ugrupowań tworzących blok Teraz. Celem tego sojuszu było wyrwanie z rąk oligarchy wymiaru sprawiedliwości, centralnej komisji wyborczej i struktur siłowych oraz przeprowadzenie uczciwych wyborów. Ale partia Plahotniuca nie uznała nowego rządu, a zależny od niego Sąd Konstytucyjny nakazał rozwiązanie parlamentu i nawet odwołanie prezydenta.

Przez kilka dni sytuacja była napięta: policja otoczyła ministerstwa i nie wpuszczała nowych członków rządu. Plahotniuc grał na czas, zapewne negocjując warunki kapitulacji. Wieczorem 14 czerwca jego ludzie ustąpili, a on sam wyjechał z kraju w nieznanym kierunku.

Eksperyment jednorazowy?

Na razie rząd, kontrolowany przez blok Teraz, skupia się na przywracaniu rządów prawa. Dzięki temu uda się zapewne uzyskać znów wsparcie finansowe Unii Europejskiej. Aktywna jest też strona rosyjska, z którą bliskie relacje utrzymuje Dodon. O wyborach nikt obecnie nie wspomina.

Dmitrij Kozak mówi, że Moskwa akceptuje europejski wybór Mołdawian, ale że najważniejsze jest zachowanie demokracji. Rosjanin ma świadomość, że w razie wyborów władzę przejęliby zapewne socjaliści; Dodon jest teraz najsilniejszą postacią w kraju. Widać jednak, że w razie przejęcia pełni władzy nie miałby zamiaru wchodzić w konfrontację z Zachodem. Z drugiej strony rośnie poparcie dla bloku Teraz i pani premier Sandu.

Czy sojusz Rosji, USA i UE jest doraźny, czy też to zapowiedź szerszego porozumienia w kwestii Mołdawii, a może nawet regionu? Część komentatorów wskazuje na kontekst: niedawno upadł oligarchiczny i prorosyjski reżim w Armenii, nowy prezydent Ukrainy może zmienić relacje z Rosją, a w Gruzji wybuchły antyrosyjskie i antyrządowe protesty.

Nietrudno wyobrazić sobie Mołdawię jako eksperyment – zmierzający w stronę jakiejś nowej „finlandyzacji": rozwój społeczno-gospodarczy przebiegałby w modelu zachodnim, ale w wymiarze strategicznym to Rosja wyznaczałaby czerwone linie, których nie można przekroczyć.

Możliwe, że w przypadku Mołdawii byłby to scenariusz pozytywny: pozwoliłby wyrwać się z geopolitycznego napięcia, na którym żerowała lokalna elita, uniemożliwiając rozwój demokracji – faktycznej, a nie papierowej. ©

WOJCIECH

Bonowicz: *Porządki*

Bardzo bym chciał choć przez chwilę o niczym nie myśleć, ale niestety. Nawet jak postanowię, że dzień czy choćby pół dnia ma być wolne, zaraz mnie nosi, żeby robić porządki, czy to w papierach, czy w komputerze. Znajduję więc na przykład rozmaite świstki poutykane w książkach lub notesach, albo zapomniane pliki, w których zapisałem jakąś obserwację czy pomysł. Ani jedno, ani drugie nie zostało rozwinięte. Zresztą większość rzeczy, które znajduję, do niczego się nie nadaje. Jakieś zdanie przepiszę na nowy świstek albo nowy plik utworzę, który za chwilę znów mi gdzieś przepadnie. Zakładam coraz to nowe teczki na wycinki, a potem gubię się w tych teczkach. Porządkuję, żeby nie zginąć. Porządkuję, ale właściwie kładę fundament pod przyszły bałagan.

Porządek jest niemożliwy. I może nawet wcale się za nim nie tęskni. To znaczy – są tacy, co tęsknią. Mieszkanie bez toreb z książkami, bez zakurzonych pudeł zapakowanych nie wiadomo czym, bez gazet w stertach czy skotłowanej pościeli to jest marzenie w określonych sferach nawet rozpowszechnione. Kiedy tymczasowość wyje z każdego konta, człowiekowi o pewnej kulturze także chciałoby się wyć. Ale potem przychodzi do podejmowania decyzji: układamy czy czytamy. No i wiadomo, że czytamy, na układanie przyjdzie czas, jak nie będzie co czytać. A na to, że nie będzie co czytać, na razie widoków nie ma. Właśnie nowy stos książek do domu przyniosłem i już czytam. Upał taki, że wszystko, od ziemi począwszy, zdaje się pękać z hukiem. To co robić?

Trzeba być ścisłym: porządek w kuchni to ja nawet lubię i od zmywania naczyń się nie uchylam. Nie wiem, czy już o tym nie pisałem, ale mam nad zlewem takie okno, przez które mogę obserwować to, co za domem: pas zieleni z drzewami, parking, przecinające się drogi na przystanek i do kościoła, a także najbliższe bloki. W sumie jest tego sporo i nawet jak nikt nie przechodzi, to zawsze coś się dzieje. Drzewa pylą i doprowadzają do szału alergików. Pranie na balkonach wygina się we wszystkie strony. O wirujących foliowych torbach niejeden już wiersz napisano. Cóż dopiero, jak zaczyna się pora powracania z pracy lub zapada wieczór. Ludzie są jak butelki: nawet specjalnie się nie kryjąc, jedni pod tym oknem się napełniają, inni opróżniają.

Porządek? To jest słowo-zaklęcie. Wiele słów się w publicznym obrocie zdewaluowało, ale jak ktoś wychodzi i obiecuje, że „zrobi porządek", to ludzie mu wierzą i klaszczą. Jak by mieli nie klaskać, kiedy porządek potrzebny. Bo jak nie ma porządku, to jest bałagan, trzeciej możliwości nie ma. Choć tak naprawdę nasze życie upływa właśnie w tej „trzeciej możliwości". Szału dostajemy, kiedy umówieni na jedenastą, do gabinetu wchodzimy dwie godziny później. No ale czasem tak być musi: człowiek, który przed nami właśnie z gabinetu wyszedł, ledwo powłóczy nogami, córka podtrzymująca go z lewej strony: „Powoli, tato, powoli", mówi. Głos jej delikatny, wyrozumiały, cierpliwy łaskocze nam uszy niczym kocie wąsy i już wściekłość mniejsza. Bośmy sobie przypomnieli, jak życie powinno wyglądać i jaki porządek naprawdę w nim panuje. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 745/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Sławomirze Marcinie Mazurkiewiczu, zm. 2 maja 2017 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 300/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zenonie Malesie, zm. 7 lutego 2017 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Jeruzalu.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 50/19, z wniosku Aliny Kuchty, z udziałem Lesława Kopciucha, Rozalii Kopciuch, Danuty Bednarczyk i Marii Fryc, o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Kopciuchu, s. Michała i Paraskiewii, żonatym, zm. 21 lutego 2015 r. w Lubaczowie, ostatnio stale zamieszkałym w Łukawcu 138, po którym pozostał majątek w postaci nieruchomości położonej w Łukawcu, gm. Wielkie Oczy – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 13/18) z wniosku Henryka Gąbki o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia własności nieruchomości stanowiącej działkę gruntu oznaczoną nr. 327, o powierzchni 0,4843 ha (poprzedni numer działki to 372), położoną w miejscowości Nowe Depułtycze, obręb ewidencyjny nr 0012, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej, znajdującej się w posiadaniu Henryka Gąbki i Danuty Gąbki.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły i udowodniły swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięte w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

HISTORIA

OSTATNIE TABU

JOANNA OSTROWSKA:

Cały czas to słyszałam: że „Polek tam nie było". To przykład czyszczenia pamięci, bo oczywiście również Polki tam były.

Zorganizowany gwałt w warunkach terroru

TO BYĆ MOŻE OSTATNIE TABU z czasów niemieckiej okupacji w Polsce. Opowiada o nim książka „Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej" (wyd. Marginesy) Joanny Ostrowskiej, efekt 10-letniej pracy autorki. Ostrowska – rocznik 1983, doktor historii, absolwentka Katedry Judaistyki UJ, Instytutu Sztuk Audiowizualnych UJ i Gender Studies UW – nie tylko prowadziła poszukiwania w archiwach, ale podjęła też próbę odnalezienia żyjących jeszcze kobiet, które zmuszano do pracy w niemieckich domach publicznych, także tych funkcjonujących w obozach koncentracyjnych. Oraz – przekonania ich, aby opowiedziały swoją historię. Ich doświadczenia, ich krzywda pozostają ukryte: one same nie mówiły o tym po wojnie, bojąc się stygmatyzacji, nie zachowały się ich relacje. Istnienie systemu „zorganizowanego gwałtu w warunkach terroru" – jak nazywa to Ostrowska – nie jest dziś w Polsce powszechnie znane. Wydaje się, że raczej jest odsuwane na margines – i historycznych badań, i społecznej recepcji. Nawet teraz autorka zdecydowała się nadać swoim bohaterkom pseudonimy. „Nadal strach o nich mówić. Nadal nie możemy albo nie chcemy o nich usłyszeć" – pisze. Oraz apeluje o „rehabilitację ofiar i uznanie ich cierpienia". ©℗ PB

PATRYCJA BUKALSKA: Twoja książka „Przemilczane" wywołała w Polsce dyskusję wokół tematu, który po 1945 r. był traktowany jak społeczne tabu. Co w tej dyskusji najbardziej Cię zaskoczyło?

JOANNA OSTROWSKA: Zaskoczyły mnie reakcje czytelników. Mnóstwo ludzi kontaktuje się ze mną, żeby opowiedzieć swoje historie rodzinne. To właściwie gotowy materiał do drugiego wydania „Przemilczanych" i bardzo dla mnie ważny, ponieważ wielkim problemem było dotarcie do świadków albo ich potomków. Jest to także potwierdzenie, że wbrew powszechnej opinii historia przemocy seksualnej podczas II wojny światowej przetrwała w pamięci bliskich. Tym większą mam nadzieję, że moja książka przyczyni się do odzyskania historii tych zapomnianych ofiar narodowego socjalizmu, która w polskiej pamięci zbiorowej – w przestrzeni publicznej – dotąd praktycznie nie istniała. Dlatego moja kolejna książka będzie dotyczyła nieheteronormatywnych ofiar III Rzeszy.

„Przemilczane" traktują o trzech rzeczach. Nie wiem, co jest najważniejsze: czy nieznane fakty dotyczące przymusowej seksualnej pracy kobiet w czasie II wojny? Czy to, jak mówiono o tym kiedyś i jak mówi się teraz? Czy może to, jak te kobiety zostały wyparte z naszej pamięci zbiorowej? Zacznijmy od ostatniej sprawy: przełamujesz chyba ostatnie tabu II wojny, przynajmniej w Polsce.

Kiedy zaczęłam zastanawiać się nad tym tematem – był to rok 2005, może 2006 – myślałam również o tym, jak chciałabym go opisać. Sądziłam, że pójdzie szybko. To było bardzo buńczuczne...

I naiwne?

Również. Bo teraz widzę, że ta książka niczego nie zamyka, a taki miałam cel. Mogę nią tylko otworzyć dyskusję. Choć, z drugiej strony, nie stoi teraz samotna na półce, ukazują się inne dotyczące m.in. historii kobiet, więc dziś jest to inna sytuacja niż choćby pięć lat temu.

Co mnie zaskoczyło, gdy zaczynałam pracę, to nienawiść, strach i pogarda. Moim zdaniem to najmocniejsze emocje, które pojawiały się w Polsce wobec tych kobiet. Jeszcze w czasie wojny. Potem pogarda się utwardziła. Także gdy mówiono o nich po 1989 r., to zwykle twardym językiem, z wielką niechęcią. Dlatego – obok pracy historycznej – chciałam oddać głos tym kobietom. Ale to się chyba nie udało, to książka o przemilczeniu.

Taki ma tytuł.

Tak, bo to książka o ciszy, z którą ja też nie mogłam sobie poradzić.

Wyzwaniem był też język. Bo jak mówić o Twoich bohaterkach: kobiety zmuszane do prostytucji, prostytutki, seksualne pracownice przymusowe?

To też był proces. Na początku używałam określenia „przymusowa prostytutka". Teraz bym tak nie napisała! Ale wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak poprzez takie określenie wpisuję się w stereotypowe postrzeganie: że albo są ofiary, albo „element kryminalny". Uczyłam się języka wraz z rozwojem tej gałęzi historycznej w Niemczech i Austrii. Tam

WITOLD ORSKI

Joanna Ostrowska

przełom nastąpił w okolicy roku 2006. W każdym razie teraz jedynym akceptowalnym dla mnie określeniem jest: „seksualne pracownice przymusowe". Chcę pokazać, że są one częścią naszej pamięci zbiorowej, także częścią społeczności obozów koncentracyjnych, i że musimy je do tej pamięci włączyć. Ich doświadczenie wojenne było częścią szerszego doświadczenia pracy przymusowej. Choć na początku zarzucano mi błąd logiczny: że pracownicy przymusowi to jedno, a moje kobiety to co innego.

Bo nie pracowały czy też nie pracowały przymusowo?

Jedno i drugie. Proces odzyskiwania zaczął się więc od pokazania, że wtedy, podczas II wojny światowej, był to rodzaj pracy przymusowej.

Podkreślasz, że w sytuacji wojny każdy wybór jest wyborem pozornym, bo wszystko odbywa się pod przymusem.

Musiałam stoczyć walkę o wykazanie, że ten przymus był, że tu nie było dobrowolności. To podstawowe założenie mojej książki. Trzeba zrobić wysiłek i wyjść z wyuczonej wersji historii, która była opowiadana tak, jakby te kobiety miały wybór. Autorzy książek o II wojnie światowej szybko podejmowali decyzję za te kobiety, klasyfikowali je i bez wahania oceniali: np. skoro niektóre z nich to były przedwojenne tzw. zawodowe prostytutki, nie może być mowy o przymusie i cierpieniu, bo i tak by to robiły. Tymczasem to nie jest takie czarno-białe. To, że podjęły taką decyzję przed wojną, nie znaczy, że chciały pracować w niemieckim burdelu. Były też inne kobiety, które np. wyszły na zakupy, trafiły na łapankę i Niemcy wysłali je do takiej pracy. A między tymi biegunami jest jeszcze wiele innych doświadczeń.

Różne były też miejsca, gdzie wysyłano kobiety do seksualnej pracy przymusowej. Zdumiewające, że od początku Niemcy podeszli do tej kwestii tak systematycznie.

To, że na terenach okupowanych Niemcy stworzyli system kontrolowanych przez siebie domów publicznych, było po części pokłosiem I wojny światowej. Republika Weimarska miała wielki problem z chorobami wenerycznymi. Dlatego po rozpoczęciu II wojny światowej władze niemieckie zdecydowały nie tylko, że muszą istnieć domy publiczne dla żołnierzy, ale że muszą być one kontrolowane. Pierwszy rozkaz dotyczący sieci domów publicznych dla wojska i policji wydano już 9 września 1939 r. To były pierwsze wytyczne, jak to ma wyglądać. Zakładano też, że mają być osobne domy dla Wehrmachtu i dla SS.

Planowano wykorzystać istniejącą „siłę roboczą", tj. zawodowe prostytutki. Na początku zabierano dokumentację polskiej policji kryminalnej i starano się rozeznać, jak to wyglądało w danym mieście przed wojną. W pierwszych rozkazach mowa jest o tym, że do burdeli należy kierować tylko Polki i Czeszki, nie Żydówki. Co ważne, był to też interes: domy miały zarabiać. Wkrótce okazało się, że zapotrzebowanie na kobiety jest tak wielkie, że organizowano całe transporty do takich domów, a wiele kobiet pochodziło z łapanki.

Burdele powstały też w obozach koncentracyjnych, zwano je puffami. Po co?

Miały motywować więźniów do bardziej wytężonej pracy. Systemów podnoszenia wydajności w obozach było dużo, ale kobieta to była największa nagroda, ↦

iluzja wolności. Domy publiczne dla więźniów powstały w dziesięciu obozach koncentracyjnych. W kompleksie obozowym Auschwitz-Birkenau-Monowitz przetrzymywano w sumie 72 kobiety.

To sytuacja, gdy ofiara, więzień obozu, może stać się sprawcą przemocy wobec kobiety, która jest mu „przekazana" na 10-15 minut...

Tego rodzaju przemoc też się zdarzała. Ofiary – w tym przypadku mężczyźni-więźniowie – stawali się sprawcami przemocy w stosunku do kobiet-więźniarek, które były w puffie.

Twierdzisz, że te historie nigdy nie staną się częścią naszej pamięci zbiorowej.

I dlatego jest to książka o przegranej. O moich porażkach. Słyszałam wiele razy, że to nigdy nie będzie Historia, taka przez wielkie „H". Właściwie słyszę to do dziś. Dlatego chciałam pokazać mnóstwo różnych przypadków. Zapomniano o nich, bo uznano, że to nie jest nasza historia: ani historia narodowa, ani historia codzienności wojennej, ani nawet historia rodzinna. Że to na pewno nie była nasza babka, ciotka. A jeśli to nie jest nasza historia, nie musimy jej znać.

Ciekawe, że zaraz po 1945 r. o tych doświadczeniach mówiono w sposób bardziej otwarty. Dopiero potem nastąpiło wyparcie. Jak piszesz: „wyparcie z premedytacją".

Więcej: to było „betonowanie dyskursu". Wcześniej, do przełomu lat 40. i 50., panowała swego rodzaju „wolna amerykanka", jeśli idzie o pamięć zbiorową. Jednocześnie ludzie zaczynali zdawać sobie sprawę, że ich wojenne doświadczenia będą istotne, zaczynano ustalać, co będzie pamiętane, a co nie. I co będzie opowieścią pożądaną. Na początku było przyzwolenie na opowiadanie o przymusowych pracownicach seksualnych. W 1947 r. „zmuszaniem przez Niemców kobiet polskich do nierządu" zajęła się Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Krakowie. Ale to był krótki czas. Potem to się zmieniło.

Dlaczego?

Władze PRL podjęły decyzję o kreowaniu „pamięci antyfaszystowskiej", jednolitej, bez akcentów etnicznych. Oczywiste też było, że w takiej pamięci nie ma miejsca na domy publiczne. Komunistyczny bohater do burdelu nie chodził. Obecni bohaterowie też zresztą nie. Jedna z moich bohaterek – więźniarka puffu w Auschwitz – zaraz po wojnie chętnie chodziła na spotkania organizacji więźniarskiej, była lubiana. Potem coś się stało, przestała przychodzić. Możemy się domyślać, że atmosfera wokół niej zaczęła się zagęszczać.

NAC

Dawny Żydowski Dom Akademicki w Krakowie, gdzie podczas okupacji mieścił się niemiecki dom publiczny, zdjęcie z 1928 r.

Sądzę, że pewnym czynnikiem była tu także niemożność zrozumienia, jak skrajnie trudne warunki panowały w takich miejscach i jak wiele granic tam ludzie przekraczali. A że wiele rzeczy nie mieściło się ludziom w głowie, to z czasem niektóre opowieści stawały się coraz bardziej ekstremalne, dokładano do nich szokujące szczegóły. Seksualność połączona ze śmiercią była czymś niepojętym. Kobiety pracujące seksualnie zostały uznane za kogoś z zewnątrz, kogoś innego niż „zwykłe" kobiety. Kogoś złego.

Niemcy też chcieli, by one tak były postrzegane. Porażające są opisy, jak wielką nienawiść, czasem fizyczną agresję, budziły kobiety z puffów u innych więźniarek.

One czuły, że to wstyd dla całej grupy: nie tylko w obozie, także dla grupy narodowej.

W relacjach więźniarki podkreślają, że Polki nie zgłaszały się do takiej pracy.

Cały czas to słyszałam: „Polki się nie zgłaszały, Polek tam nie było, były tylko te inne". Przykład czyszczenia pamięci, bo oczywiście Polki tam były.

Niechęć do przymusowych pracownic seksualnych utrzymała się wśród byłych więźniarek po wojnie. Także wtedy mówią o nich z pogardą i lekceważeniem.

Nie mam do nich pretensji, one musiały dostosować się do martyrologicznej narracji PRL-owskiej. Może nie mogły tego inaczej opowiedzieć. Nawet teraz próba mówienia o moich bohaterkach w inny sposób wywołuje podejrzenie: a nuż opowiadająca miała z tym coś wspólnego?

Ciekawego porównania dostarcza tu Izrael i okres powojenny, gdy przybywają tam europejscy Żydzi, którzy przeżyli Zagładę. Byli potrzebni do pracy i walki, powstawało nowe państwo. Ale jednocześnie powszechne było podejrzenie, że mężczyzna, który przeżył, na pewno donosił. A kobieta? Wiadomo, co robiła, inaczej by nie przeżyła.

Na wstydzie był oparty cały stworzony przez Niemców system tej pracy. Symboliczne, że poza KL Auschwitz I oraz KL Mauthausen puff był zawsze w ukrytej części obozu. Znaczące też, że w Miejscu Pamięci Sachsenhausen po wyzwoleniu więźniowie zrównali ten budynek z ziemią.

Kobieta trafia do puffu, musi robić rzeczy, których robić nie chce, jest narażona na przemoc nadzorców

NAC

Podobną rolę pełniła także bursa w Krośnie, zdjęcie z 1931 r.

i bywających tam więźniów. Potem wojna się kończy, a ona nie może opowiedzieć swojej historii, nie może liczyć na współczucie. Żyje w lęku, że spotka kogoś, kto powie, co robiła...

Gdy zaczęłam pisać tę książkę, zakładałam, że będzie to praca *stricte* historyczna, kończąca się na roku 1945. Potem zrozumiałam, że równie ważne jest to, co było później. Ich cierpienie trwało dalej, nigdy nie zostało przepracowane i zaakceptowane. Strach trwał. Bo w małym miasteczku wystarczyła plotka, aby życie takiej kobiety legło w gruzach.

Nie mogły mówić otwarcie o swych doświadczeniach. Teraz już raczej za późno.

Nadal nie ma przyzwolenia na ich opowieść, a skutki społeczne po ewentualnym ujawnieniu ich relacji mogą być porażające. Nawet gdy kobieta już nie żyje, ale rodzina się o tym dowiaduje. To dużo mówi o stosunku polskiego społeczeństwa do pracy seksualnej także współcześnie.

Rekonstruujesz losy tych kobiet z pasją detektywa. Z list transportowych, inwentarza burdeli, z suchych akt, gdzie policzone są krzesła na wyposażeniu i policzone są kobiety. Choć brak ich imion, jakby były przedmiotami, na równi z krzesłami.

Niektórzy przekonywali mnie, że z dostępnych materiałów nie da się napisać książki. Że to za mało, że to nie jest pełen obraz. Musiałam zadać sobie pytanie, czy z suchych dokumentów, jak listy transportowe lub wyniki badań cytologicznych, można wyczytać traumę. Musiałam się przyzwyczaić, że w aktach krzesła i umywalki wydawały się ważniejsze. Zrozumiałam, że muszę być dokładna i nie mogę żadnej z tych kobiet opuścić. Dlatego np. wspominam o piątce kobiet, które miały zostać wysłane do Zgierza, choć nic więcej o ich losie nie udało mi się ustalić. Ale to ważne, by pamiętać także o tej piątce.

Jednak o kilku bohaterkach udało Ci się zgromadzić spory materiał. Np. o Mariannie: to ważna postać, właśnie ze względu na postrzeganie tych kobiet. Więźniarkom zmuszonym do pracy w puffie w obozie współczujemy, ale obawiam się, że wobec Marianny i dzisiaj niełatwo byłoby wzbudzić współczucie. Pokazujesz, że i ona nie miała wyboru.

Marianna była dla mnie swego rodzaju darem od losu, bo w zbiorze akt kryminalnych w Poznaniu tylko jej teczka się zachowała. Ona trafiła do domu publicznego dla Niemców na ul. Rybaki po tym, jak została aresztowana, być może pod fałszywym zarzutem. Nie miała wyboru. Była tam wykorzystywana od końca 1940 r. do początku 1942 r. Buntowała się, uciekała. Karano ją, łamano. Jest tego cała teczka. Prawdopodobnie to jedyna pełna kartoteka seksualnej pracownicy przymusowej. Zastanawiałam się, jak jej historia będzie odebrana. Np. to, że pije. Choć uważam, że pijąc, starała się to przetrwać. Ale my lubimy historie o pięknych duszach, a nie o pijanej i upokorzonej kobiecie w burdelu.

Bardziej w cenie są inne historie, np. kobiet-żołnierek...

À propos konspiracji: już po napisaniu książki dowiedziałam się, że istnieje relacja Polki zaangażowanej w podziemiu w Poznaniu, która materiał wywiadowczy, jaki zdobywała, uzyskiwała od kobiet z domu publicznego. Rano przychodziła na Rybaki, dowiadywała się, co się w nocy zdarzyło, co jakiś Niemiec mówił, przekazywała tym kobietom zadania. Czyli jednak mogłyby one być częścią naszej bohaterskiej wojennej opowieści...

Wracając do Marianny: w 1943 r. trafiła do Auschwitz, ale nie ma jej w Księdze Pamięci.

Nie ma. Jej nieobecność w Księdze Pamięci może być oczywiście błędem. Ale wydaje mi się, że w tym temacie błędów i przypadków jest stanowczo za dużo.

„Przemilczane" to także książka bardzo współczesna. Bo przecież i dziś kobiety będące ofiarami wojennej przemocy seksualnej często nie chcą o tym mówić, boją się potępienia, przerzucenia na nie odpowiedzialności.

Ale to także czas, gdy Pokojową Nagrodę Nobla dostały osoby walczące z przemocą seksualną: była niewolnica seksualna Nadia Murad [jazydka z Iraku – red.] i ginekolog z Konga Denis Mukwege. Ale jeśli idzie o ten temat w Polsce, to rzeczywiście jesteśmy na początku drogi. Nie lubię tak mówić, ale tak jest. Nadal są „dobre" ofiary i „złe" ofiary związane z seksualnością. Postrzegane jako coś, co nas nie dotyczy. A ja chciałam pokazać, że to jest nasze. Że to się stało naszym babciom, że to się mogło stać twojej babci. Natomiast jest moją porażką, że nie podaję prawdziwych nazwisk moich bohaterek. To mogłoby zostać użyte przeciwko ich rodzinom. Mam nadzieję, że kiedyś, jeśli będzie kolejne wydanie książki, będę mogła otworzyć mój notes i przywrócić im także tożsamość.

Dobrze, że masz ten notes.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

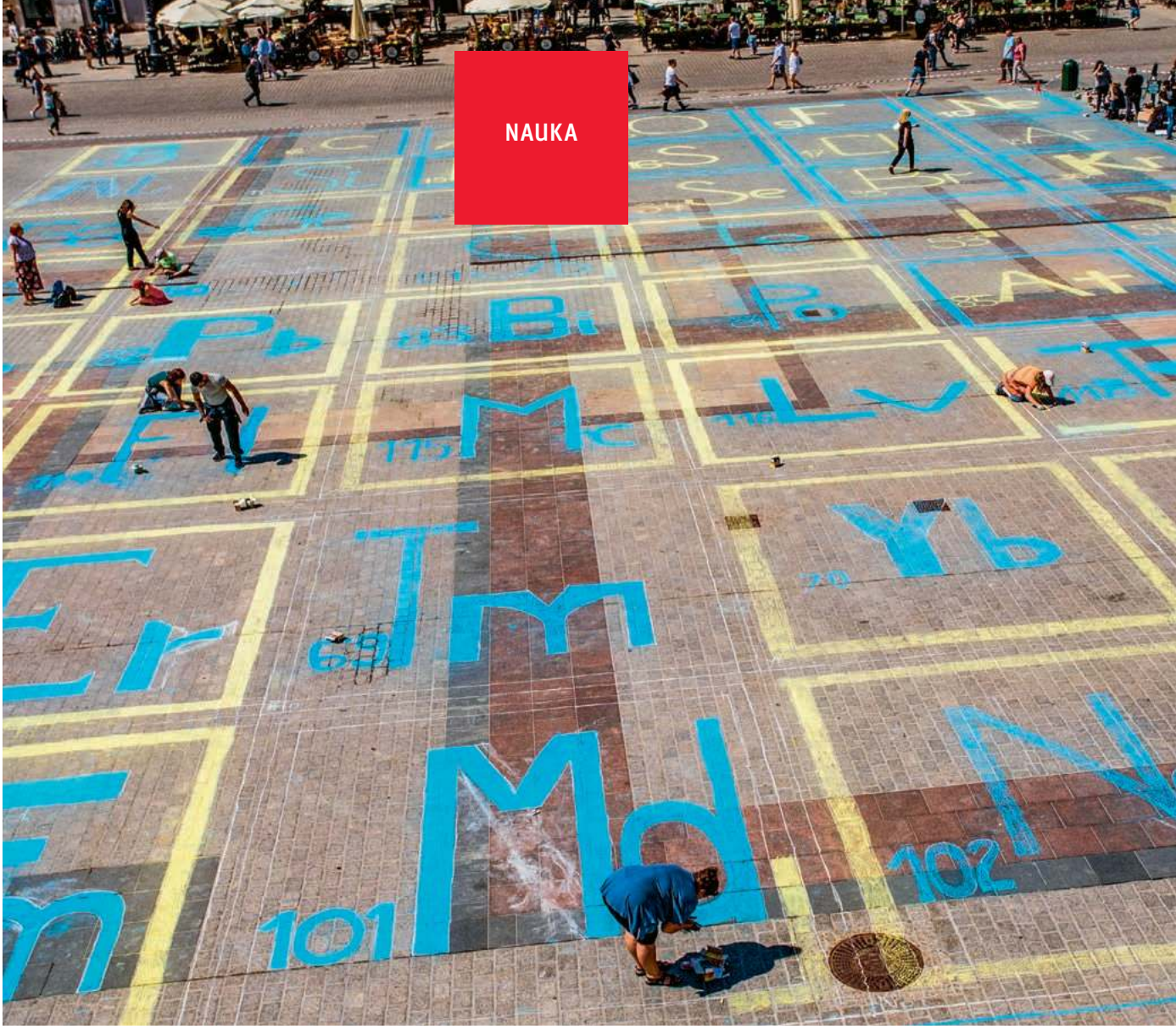

WSZECHŚWIAT NA TABLICY

Układ okresowy pierwiastków chemicznych to ilustracja fundamentalnego prawa przyrody i jedna z największych ikon nauki. Właśnie mija 150 lat od jej powstania.

MARIA CIEŚLAK-GOLONKA

Organizacja Narodów Zjednoczonych w grudniu 2017 r. specjalnym dekretem ustanowiła rok 2019 rokiem układu okresowego pierwiastków. Jak podano w wyjaśnieniu: „Narody Zjednoczone chcą pokazać znaczenie chemii w promowaniu zrównoważonego rozwoju i w rozwiązywaniu wyzwań m.in. w dziedzinie energii, rolnictwa, zdrowia i innych ważnych sektorach".

Nie rozwiążemy problemów nękających świat bez chemii, a ona znajduje się w tablicy okresowości. Wybór bieżącego roku nie jest przypadkowy, gdyż właśnie mija 150 lat od publikacji pierwszej wersji układu przez Dmitrija Mendelejewa, najważniejszego z jego sześciu odkrywców.

Układ okresowy wyraża prawo okresowości – niezmienne i uniwersalne prawo przyrody. Odkryli go chemicy, ale jego wyjaśnienie należało do fizyków. Prawo to głosi, że chemiczne i fizyczne właściwości pierwiastków zmieniają się w systematyczny i przewidywalny sposób, gdy te są ułożone według wzrastającej liczby atomowej. Jak wiadomo, liczba atomowa (porządkowa) to liczba protonów zawartych w jądrze atomowym, równa liczbie elektronów tworzących powłoki wokół jądra. Gdyby ułożyć pierwiastki w szereg

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Malowanie największego układu okresowego na płycie Rynku Głównego w Krakowie, maj 2018 r.

według wzrostu ich liczby porządkowej, wtedy co pewien ściśle określony interwał spotka się pierwiastek o podobnych właściwościach.

Kamień z Rosetty

Okresowość właściwości fizycznych i chemicznych wyrażająca fundamentalną zależność pomiędzy pierwiastkami (czyli prawo przyrody) można tak przedstawić, żeby pierwiastki podobne znajdowały się w jednej kolumnie. Podobieństwo to wynika z identycznych konfiguracji elektronowych ich powłoki zewnętrznej, czyli najdalszej od jądra. Reakcje chemiczne zachodzą z udziałem jedynie elektronów tej powłoki – a całą chemię można określić jako naukę o mechanizmach zmian w powłokach walencyjnych atomów. W przypadku prawa okresowości niezwykłe jest to, że wiersze tablicy mają różną długość (2, 8, 18 i 32). Prawo można przedstawić przy użyciu różnych form graficznych. Istnieje już ponad tysiąc postaci układu okresowego.

Występujące w układzie okresowym 118 pierwiastków tworzy ok. 15 mln związków organicznych, 1,5 mln związków nieorganicznych i drugie tyle związków metaloorganicznych. Według astronoma Harlowa Shapleya jest on „najbardziej zwartą i znaczącą kompilacją wiedzy, którą posiadł człowiek".

Klimatolog Rudy Baum nazwał układ okresowy „kamieniem z Rosetty przyrody". Jak wiadomo, kamień z Rosetty, zabytek piśmiennictwa z II wieku przed Chrystusem, zawiera inskrypcję hieroglificzną. Znajomość języka koptyjskiego pomogła Jeanowi-François Champollionowi w jej odczytaniu. Podobnie układ okresowy jest narzędziem do zrozumienia świata materii.

Historyk Robert Hicks określił tablicę układu jako „najbardziej rozpoznawalną ikonę wszystkich nauk". Tak jak w ikonie patrzący widzi coś więcej aniżeli obraz, w tablicy może zobaczyć nie tylko 118 kwadratów ułożonych w rzędy i kolumny, ale wiedzę o świecie materialnym.

Chaos i harmonia

W okresie przednaukowym chemii, czyli do ok. XVII w., wysiłki alchemików skupione były głównie na poszukiwaniu kamienia filozoficznego, który miał zmieniać metale nieszlachetne w złoto. To udało się osiągnąć dopiero w XX w. poprzez bombardowanie atomów rtęci neutronami. Chociaż alchemicy często byli szalbierzami, to niepodważalnym ich osiągnięciem stały się przypadkowe odkrycia nowych pierwiastków. Na przykład 350 lat temu Hennig Brand odkrył fosfor, ważny pierwiastek w biologii. Z czasów alchemii pochodzi także nasz sprzęt laboratoryjny: kolbki, chłodnice, łaźnie.

Narodziny chemii jako nauki miały miejsce w XVIII w., wraz z odkryciem praw chemicznych, m.in. prawa zachowania masy (Antoine Lavoisier w 1789 r.). Dokonano tego poprzez ważenie i mierzenie substancji używanych w reakcjach, czyli „matematyzację" chemii.

W latach 60. XIX w. znano 62 pierwiastki i metodę precyzyjnego wyznaczania mas atomowych, co doprowadziło do odkrycia prawa okresowości. Ten okres rozwoju chemii pokazuje, że wszystko ma swój czas. Gdyby znano mniej pierwiastków, nie zauważono by występujących prawidłowości. Gdyby było ich więcej – nie znaleziono by dla nich miejsca w tablicy.

Sześciu odkrywców

Ludzie, którym zawdzięczamy układ okresowy, pracowali w różnych miejscach świata i nie kontaktowali się wzajemnie. Pierwszym z nich był francuski geolog Alexandre Béguyer de Chancourtois. Zauważył, że pierwiastki ułożone w formie spirali według wzrastającej masy atomowej tworzą układ, w którym co ósmy wykazuje podobieństwo we właściwościach do pierwiastka leżącego powyżej i poniżej. Niestety, jego publikacja z winy redaktorów czasopisma naukowego ukazała się bez rysunku – kluczowego elementu.

Kolejnym odkrywcą był angielski producent cukru i nauczyciel chemii John Newlands. Podobieństwo pierwszego i ósmego pierwiastka skojarzył z oktawą muzyczną. Jednak nie mógł sobie poradzić z kolejnymi pierwiastkami i porzucił badania. Do tego przyczynił się również odbiór jego wykładu na forum Londyńskiego Towarzystwa Chemicznego, na którym wyśmiano go pytaniem: „A może należałoby ułożyć pierwiastki w kolejności alfabetycznej?".

Inny Anglik, William Olding, na konferencji w Karlsruhe w 1860 r. przedstawił potrzebę ujednolicenia sposobu wyznaczania mas atomowych pierwiastków. Był to czas niemałego bałaganu: znano wtedy aż 16 wzorów kwasu octowego! Metodę taką zaproponował włoski chemik Stanislao Cannizzaro. Korzystając z niej w 1864 r. Olding opublikował tablicę, zachowując puste miejsca m.in. dla pierwiastka występującego po glinie (gal), a także po krzemie (german). Jednak nie przykładał znaczenia do tego odkrycia.

Najbardziej ekstrawagancki w podejściu do problemu klasyfikacji pierwiastków był Gustavus Hinrichs, Duńczyk ↦

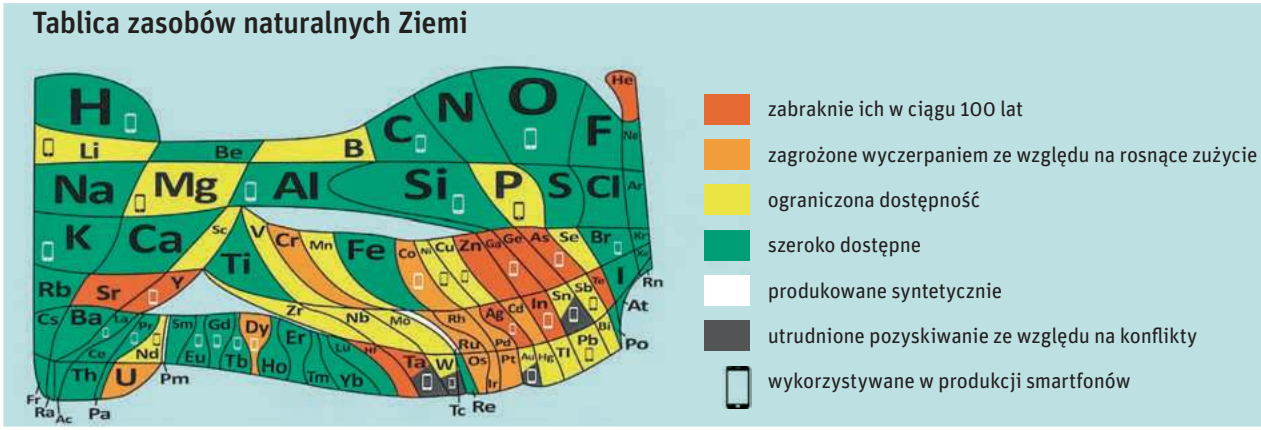

EUROPEAN CHEMICAL SOCIETY / CC BY-ND

↦ pracujący w Stanach Zjednoczonych. Ułożenie pierwiastków oparł na modelu koła, którego szprychy stanowiły dzisiejsze grupy układu.

Najważniejszym obok Mendelejewa odkrywcą układu okresowego był Niemiec Lothar Meyer, *privatdozent* (utrzymujący się z czesnego studentów) na Uniwersytecie Wrocławskim, a następnie od 1866 r. profesor Szkoły Leśnej w Neustadt-Eberswalde. W 1868 r. Meyer opracował tablicę niewiele różniącą się od tej, którą pokazał później Mendelejew. Wprowadził ją do wydanego (niestety) dopiero po 27 latach podręcznika chemii. Podkreśleniem wkładu Meyera i Mendelejewa w odkrycie układu okresowego był otrzymany wspólnie w 1882 r. medal Davy'ego, przyznawany przez Londyńskie Towarzystwo Królewskie za ważne osiągnięcia w chemii.

Sen deisty

Dmitrij Mendelejew (urodzony w 1834 r. w Tobolsku na Syberii) był najmłodszym z być może nawet siedemnaściorga dzieci Marii i Iwana Mendelejewów. Wychowany w wierze prawosławnej (dziadek był popem) w późniejszych latach przeszedł na deizm – pogląd o istnieniu Boga, który nie ingeruje w stworzony świat. Po śmierci ojca, wraz matką i jedną z sióstr udał się do oddalonej o 2400 km Moskwy, by kontynuować edukację. Niestety, na Uniwersytecie nie przyjmowano kandydatów spoza miasta. Cała trójka wyjechała więc do Petersburga (kolejne 700 km). Ale i tu studia były tylko dla mieszkańców miasta. Dmitrij został studentem Szkoły Pedagogicznej tylko dzięki protekcji kolegi ojca. Po studiach wyjechał do Heidelbergu, do laboratorium Roberta Bunsena. Dużo podróżował po Europie, nawiązując kontakty naukowe. Po powrocie do kraju obronił doktorat i został zatrudniony na Uniwersytecie Petersburskim, gdzie zajmował się głównie poszukiwaniem relacji występujących między pierwiastkami.

Legenda głosi, że układ okresowy przyśnił się Mendelejewowi. Obudzony wykrzyknął: „Myślę, że już to wiem, myślę, że już to rozumiem!". Sam zainteresowany twierdził, że zanim go „zobaczył", wiele lat o nim myślał. Pierwsza publikacja układu ukazała się w czasopiśmie Rosyjskiego Towarzystwa Fizyko-Chemicznego (1869). W tym samym roku opublikował abstrakt w „Berichte der Deutschen Chemischen Gesellschaft".

Pierwiastek abstrakcyjny

Układ Mendelejewa jest niewątpliwie najdojrzalszym spośród sześciu propozycji. Jego głębokie zrozumienie oparte było na arystotelesowskim pojęciu pierwiastka abstrakcyjnego. Mendelejew twierdził, że układ okresowy dotyczy pierwiastków abstrakcyjnych, których materialnym śladem jest masa atomowa. To pozwoliło mu zmieniać położenie znanych pierwiastków i zostawiać miejsca dla nieznanych z dokładnym określeniem ich właściwości. Wiedział, że odkrył prawo przyrody.

Miejsc dla nieznanych pierwiastków znalazł 18, z tego 9 okazało się prawdziwymi. Na liście pomyłek są m.in. nieistniejące, lżejsze od wodoru pierwiastki eter i koron. Trafne przewidywania uczyniły go sławnym. Na przykład w roku 1875 Paul Lecoq de Boisbaudran odkrył pierwiastek nazwany na cześć Francji galem. Mendelejew przewidując sześć lat wcześniej właściwości galu, podał jego prawidłowy ciężar właściwy i odkrywca musiał skorygować swój wynik! Ponadto Mendelejew poprawił wyliczenia mas atomowych i zmienił położenie kilku znanych pierwiastków.

Tablica układu okresowego przeżyła wiele rewolucyjnych wstrząsów. Nie obaliły jej odkrycia gazów szlachetnych (lata 90. XIX w.), „podzielności" atomu oraz izotopów (początek XX w.). Nawet mechanika kwantowa nie podważyła jej znaczenia. To wszystko świadczy o sile układu.

Odkrycie prawa przyrody predestynowało Mendelejewa do Nagrody Nobla. Jego kandydatura była przedstawiana w latach 1905 i 1906 (Mendelejew zmarł w 1907 r.). Jak się wydaje, zadecydowały jednak kwestie osobiste. Mendelejew niezbyt entuzjastycznie odnosił się do teorii dysocjacji elektrolitycznej, za którą w 1903 r. szwedzki fizykochemik Svante Arrhenius otrzymał Nagrodę Nobla. W odwecie wpływowy Arrhenius nie popierał kandydatury Mendelejewa – i ta poległa m.in. w rywalizacji z Henrim Moissanem, odkrywcą fluoru i pieca elektrycznego.

Do góry nogami

Rok układu okresowego świętujemy, znając kompletnie zapełnioną tablicę. Układając pierwiastki od 1 do 118, widać powtarzalność właściwości chemicznych, która zachodzi w zmieniających się długością, ale regularnych okresach: 2, 8, 8, 18, 18, 32, 32. Istnienie wielu form graficznych świadczy o ogromnej sile inspirującej prawa okresowości. Na przykład brytyjski chemik Martyn Poliakoff wraz ze współpracownikami zaproponowali odwróconą tablicę. W ich opinii jest ona bardziej naturalna. Większość właściwości, jak masa atomowa, reaktywność, wzrasta od dołu do góry. Co więcej, skoro

lżejsze pierwiastki są na dole, rozbudowa powłok elektronowych w atomie jest łatwiejsza do zrozumienia, gdyż zapełniane są powłoki od leżącej najbliżej jądra. Ktoś zauważył: „Wreszcie układ okresowy posiada nogi!”.

Inną ciekawą formą układu jest spirala. Przewaga kształtu spirali leży w fakcie, że inaczej niż w tablicy nie ma „przeskoków” pomiędzy ostatnim pierwiastkiem danego okresu a pierwszym następnego.

Wśród tablic konwencjonalnych wyróżnia się trzy zasadnicze formy: krótką, średnio-długą i długą. Tablica krótka ma znaczenie historyczne. Najpopularniejsza z nich jest średnio-długa: 18 kolumn (grup), 7 wierszy (okresów) oraz dwa szeregi lantanowców i aktynowców, posiadająca formę łatwą do ekspozycji. W tablicy długiej pierwiastki ułożone są nieprzerwanie od 1 do 118 według rosnącej liczby porządkowej.

Zastanawiające jest, że mimo 150 lat od odkrycia prawa okresowości wciąż poszukiwana jest jego optymalna forma graficzna. Nie wiemy, czy wodór posiadając jeden proton w jądrze powinien leżeć w grupie 1 (metali alkalicznych), czy w grupie 17 (fluorowców), gdyż tak jak tym ostatnim brakuje mu jednego elektronu do posiadania zamkniętej powłoki. Czy hel (dwa protony w jądrze) jest pierwiastkiem ziem alkalicznych (grupa 2), czy gazem szlachetnym (grupa 18)? To pytanie o to, co jest ważniejsze: konfiguracja elektronowa (fizyka) czy właściwości chemiczne?

Narodziny chemii jako nauki nastąpiły wraz z odkryciem prawa zachowania masy, dzięki ważeniu i mierzeniu substancji używanych w reakcjach, czyli „matematyzacji” chemii.

Lantan i aktyn oraz lutet i lorens to kandydaci do grupy trzeciej. W 2015 r. Międzynarodowa Unia Chemii Czystej i Stosowanej (ang. IUPAC) powołała zespół ekspertów ds. składu tej grupy, ale brak jest jak dotąd jednomyślności w wyborze: czy po skandzie i itrze powinny znaleźć się lantan i aktyn, czy lutet i lorens. O ile liczba atomowa jako podstawa położenia pierwiastka w tablicy nie budzi wątpliwości, o tyle w niektórych przypadkach konfiguracja elektronowa (fizyka) i właściwości (chemia) nie zawsze są zgodne.

Wobec przeciągającej się dyskusji w zespole, wśród badaczy zaczyna dominować opinia, że nie należy szukać jednej formy graficznej układu, a raczej modeli dla określonych potrzeb. Ktoś porównał dyskusję nad położeniem pierwiastków do rzeźby, na którą pod różnymi kątami pada światło, czego efektem są wielokształtne cienie. Tablica układu (nie prawo przyrody) to konstrukcja ludzka – z konieczności niedoskonała.

Znikające zasoby

Wydaje się jednak, że poza tymi problemami, które pewnie kiedyś będą rozwiązane, przed nami stoi ważniejsze zadanie: ochrona Ziemi. Wyrazem tego jest nowa tablica pokazana w Paryżu na ceremonii otwarcia roku układu, ilustrująca zasoby geologiczne i tempo ich zużywania.

Chociaż układ okresowy odzwierciedla porządek natury, to stał się częścią zarówno kultury wysokiej, jak i popkultury. Ubrania, breloczki, meble, ściany domów czy samochody ozdobione tablicą Mendelejewa nie są już rzadkim widokiem.

Powstało też wiele wierszy, piosenek i powieści o pierwiastkach. Ponadto, jeśli cokolwiek można skategoryzować (zespoły muzyczne, alkohole, owoce etc.), często przyjmuje to kształt tablicy układu okresowego.

Zapamiętajmy tablicę pokazaną w tym roku w Paryżu. Od 150 lat szukamy najwłaściwszej formy prezentacji prawa okresowości pierwiastków – to chyba ona pokazuje to, co w tej chwili najważniejsze. © MARIA CIEŚLAK-GOLONKA

Autorka jest emerytowanym profesorem Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej.

Korzystałam z książek: E.R. Scerri „Układ okresowy. Historia i znaczenie”, (Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej 2013); E. Scerri, G. Restrepo „Mendeleev to Oganesson” (Oxford University Press 2018).

REKLAMA

Kraków
Stowarzyszenie Muzyki Polskiej
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
KARNET
wyborcza.pl
interia
STYL.PL
WWW.KRAKOW.PL
polskamuza.eu
Współpraca redakcyjna: Classic

FASOLA PATRZY NA KSIĘŻYC

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA, BOTANICZKA I POETKA:

Dlaczego człowiek odpoczywa patrząc na zieleń?
Bo w niej siedzieliśmy miliony lat. Dlaczego znaki „stop" są czerwone?
Bo mamy wypalone w głowach, że czerwona jest krew.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowiedz o tym ważnym patyku.

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA: Cholera, który tu teraz wybrać? Wiem. To się działo w Wołominie. Mam siedem lat. Włóczymy się z bratem po niechcianych kątach, gdzie biegają szczury i sikają ludzie. Tam rośnie klon jesionolistny, drzewo, które szybko się rozpada i kruszy, jest traktowane jak chwast, zielony chłam, bo nigdy nie będzie wielkie i romantyczne jak dąb Bartek. Wdrapuję się po nim, by wejść na dach komórki i łamię mu gałąź. Robi mi się jej ogromnie żal. Idę do ojca, by mi dał bandaż. Związuję złamaną gałąź. Po jakimś czasie wracam, odwijam opatrunek. I widzę, że gałąź się zrosła. Czuję, że cały świat mi wybaczył!

Niebywałe.

Lubiłam też wspinać się na brzozę rosnącą pod naszym blokiem i długo na niej siedzieć. Gdy mama mnie wołała, byłam cicho, bo po co iść wtedy spać? A w liceum, po lekcjach, albo w czasie nich, rzucałam plecak i wdrapywałam się na stary dąb rosnący przy drodze do lasu. Siedziałam tam, jak ćma zlewając się z jego korą. Nikt mnie nie widział. I wiesz, ja to wszystko wciąż robię, chowam się w chaszczach, w nocnych chęchach Wołomina, w badylach sterczących, całkiem nieładnych i pobrudzonych.

By podglądać świat?

By posiedzieć w kołtunach krzaków lub na drzewie, i naprawdę więcej nic. Pobyć w tym wzajemnym niedopowiedzeniu, niezrozumieniu. Można tak długo. Drzewo cię nie skrzywdzi. Nie będzie się tobą bawić nigdy, nie okłamie cię, nie obwini swoim bólem, nie będzie cię używać. Bo właściwie dlaczego kora i liść są dostępne dla ludzkiej dłoni? Dlaczego one cię nie ranią, nie zabiją? A przecież mogłyby!

W „Patykach, badylach" piszesz o tym: to dlatego, że kora popełnia samobójstwo.

Jak przyglądasz się drzewom, to właściwie poza liśćmi i kwiatami patrzysz właśnie na to, co popełniło samobójstwo. Niemal każdy skrawek drzewa zabił się. Komórki drewna, komórki kory były kiedyś pełne życia. Zabijając się, pozostawiły tylko swoje ścianki komórkowe, bo właśnie tak będą mogły drzewu służyć. Kora nie może być nadczuła, musi być zasłoną od świata, od suchego powietrza. Uderzenie w nią nie może jej zbyt łatwo ranić, bo życie dzieje się pod nią. Jest tam łyko, które przewodzi cukier, hormony i inne rozmaitości biochemiczne. I tak w pewnym momencie, w tym witalnym łyku, pojawiają się komórki, które budują tam swoisty mur, odcinając łyko od wszystkiego, co je żywiło. Więc umiera ono z głodu, staje się martwicą. Popatrz, tu mam taką korę, ona ma około 500 lat. Echo życia, które pięć wieków temu, jako łyko, przewodziło cukier. Trzymasz więc w ręce coś z tamtego czasu – z tamtego światła, z tamtego powietrza.

Jak się przytulasz do tej kory siedząc na drzewie, co jeszcze czujesz?

Zapach, szelesty, podmuchy. Delikatne drgania pnia poruszanego wiatrem. Tak jak człowiek przytula się do człowieka i czuje ruch klatki piersiowej, to tutaj czuć oddechy drzewa – przetaczające się masy powietrza bijące w koronę. Poruszasz się razem z nią. Ptak blisko usiądzie i nawet się tobą nie zdziwi. Po pewnym czasie i ty nie dziwisz się już ptakiem.

A z brzozy pod moim blokiem widziałam rozmaite rzeczy, które się dzieją na balkonach – codzienność złożoną z drobnych historii. Wtedy jeszcze nie doceniałam tych detali życia ludzi. Z punktu widzenia wiedzy przyrodnika to też jest coś ładnego, że obok siebie żyje jeden gatunek, wykazuje się pewną ufnością i otwartością – pokazuje ci rozwieszone pranie i to, że z mlekiem wraca do domu. Ktoś podleje kwiaty w oknie. Uwolni ↦

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA (ur. 1978) jest poetką i botaniczką. Adiunktka w Samodzielnym Zakładzie Botaniki Leśnej SGGW w Warszawie. W 2014 r. zadebiutowała tomikiem poezji „Atomy". W tym samym roku wraz z grupą artystów stworzyła projekt artystyczny Cambium Killers, który jest wyrazem sprzeciwu wobec punktowego systemu oceny w nauce. Na początku 2017 r. ukazał się jej tom „minimum", nagrodzony Nagrodą Kościelskich. Marginesy wydały właśnie jej eseistyczną książkę „Patyki, badyle".

RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP"

z domu swoje potomstwo, które bawić się będzie z tobą na podwórkach wymyślonych specjalnie dla niego.

A wystarczy iść na łąkę, na której toczy się niewidoczna dla ludzkiego oka walka o przetrwanie, by zrozumieć, że to wielka łaska dla gatunku *Homo sapiens*, że ma umiejętność dogadywania się i szanowania wspólnej przestrzeni.

Różnie z tym bywa.

Wiadomo, że jest na świecie zło, albo raczej brak miłości. Ale spójrz tylko na kawałek miasta w stanie pokoju, a jest ich na świecie zdecydowana większość. *Homo sapiens* mija się na ulicy, mówi sobie dzień dobry, to coś znaczy, gładki chodnik został stworzony dla naszych nóg i dla kogoś obok. Mamy też biblioteki, a tam rozmaite historie w zrozumiałym języku, wydrukowane na opłatkach papieru z miazgi z drzew. Kto inny to robi na świecie? Wyłącznie my. Dlatego lubię rano iść w tłumie do metra, lubię te potoki naszego gatunku i że jestem z nimi też ja.

No dobrze, ale jak drzewo, na którym tak lubisz siedzieć, reaguje na Ciebie?

Dość chłodno. Ale mnie nie bije, jakoś przyjmuje, choć bez wzruszenia. W pewien sposób chyba też ufa, skoro mogę tam wejść. Wciąż nie wiem, czy przyroda jest na nas obojętna, czy raczej nieskończenie otwarta.

Obojętna? Przecież liście nie lubią ludzkiego dotyku. Mocno to akcentujesz w „Patykach...".

Nie lubią dotyku, bo są bardzo czułe, właściwie nadczułe na otoczenie. Nie posiadają systemu nerwowego, który by szybko dał im sygnał, gdzie znajduje się sama roślina i co się z nią dzieje. Rzeczywistość czują całym ciałem. Ciężko jest być rośliną, ciężko się odwracać ku temu, co jest jej potrzebne, a od tego, co rani, w świecie gwałtownych przemian i ciosów z zewnątrz.

Czyli?

Popatrz, teraz bardzo swobodnie podnoszę i zginam rękę, a dla rośliny taki ruch odbywa się przez wzrost – jedna jej część rośnie bardziej, a druga mniej lub w ogóle. Niedawno przeprowadziłam badanie, postanowiłam, że będę dotykać pokrzywę, roślinę, która wytworzyła w swoim ciele włoski parzące po to, by właśnie jej nie dotykać. I ta głaskana pokrzywa nie urosła. Teraz odbędą się nad tym studia anatomiczne, geometryczne, genetyczne itd.

Sprzątanie ciał, demontaż ich i swobodny rzut tych atomów w przestrzeń, jest boskie.

A nam wciskana jest narracja życia, to, że musisz się stwarzać i doskonalić, trwając, jak trup Lenina, w nieskazitelności naskórka. Dlaczego?

Drugi eksperyment przeprowadziłam na dyni. Kiedyś jedną zostawiałam w pracowni, by żyła sobie, jak chce, więc szwendała się po laboratorium jak kot. Zauważyłam, że swoimi wąsami czepnymi chwyta się rozmaitych rurek, bo chciała rosnąć w górę, a że to był tak silny uścisk, musiałam niektóre wąsy odcinać, by w laboratorium pracować. Pytanie, jakie sobie zadałam, to dlaczego dynia nie dotyka siebie, nie wspina się po sobie? Wąsy czepne położyłam na jej łodygę. W ciągu godziny wszystkie uciekły, jakby dotykały czegoś niechcianego, wręcz obrzydliwego.

Pokrzywa, dynia – interesują Cię rośliny marginalizowane przez innych naukowców.

Szukam blisko siebie. Na pewno nie zajmuję się tzw. rośliną modelową – *Arabidopsis thaliana*, czyli rzodkiewnikiem pospolitym. To najsmutniejsza roślina na świecie. Sekwencja jej genomu znana jest od prawie 20 lat, od tego czasu powstało o niej kilkadziesiąt tysięcy prac z każdego uniwersytetu na świecie. Jest tysiące mutantów *Arabidopsis*. Bo naukowcy lubią sprawy wtłaczać w sztywne ramy, także po to by – jak napisał Carl Friedrich von Weizsäcker w książce „Jedność przyrody" – pokazać, że sama nauka ma sens, by empirycznie udowodnić, że empiria działa. Ja wieję z tego jak najdalej.

Dlaczego naukowcy to robią?

Bo taka jest mechanika nauki. *Arabidopsis*, jak każda roślina, ciężką robotą przodków dotarła do momentu, w którym tak właśnie wygląda. Botanicy zmieniają jej geny – wypracowane mechanizmy wzrostowe, obronne, ponownie wystawiając je na próbę. Bo chcą prostych hipotez i szybkich, logicznych odpowiedzi. Ale ja wolę się zgubić gdzie indziej. Oczywiście wiem, że moja postawa to *underground* naukowy i że z takim podejściem nie podobam się kolekcjonerom naukowych punktów, bo wolę studiować pokrzywę, stokrotkę, szyszki sosny i wiatr, ryzykując, że nie dostrzegę tam niczego nowego. Ale nie potrafię inaczej. Na pewno jednak nie będę dotykać umęczonej *Arabidopsis*.

Czy pokrzywy, stokrotki, szyszki, dynie cierpią mniej?

Wszystko, co żyje, jakoś cierpi, ale staram się w czasie moich badań tego cierpienia nie powiększać. To, w jaki sposób roślina umiera, też coś o niej mówi. Ale człowiek nie zajmuje się tym dlatego, że nie ma z tego korzyści. W atlasach o roślinach czytasz, jakie roślina ma wymagania, by rosnąć najszybciej, ale nie jest napisane nigdy o tym, jak umiera. A przecież tak różnie to się dzieje. Mięta walczy do końca, nawet jak się przełamuje łodyga i od połowy już gnije, to jeszcze jakaś wątła niteczka wody ciągnie się do jednego listka na szczycie, który wciąż się rusza.

A paprocie umierają błyskawicznie, ale za to gdzie indziej ukrytą mają nadzieję na przyszłość – kłącze. To co, że gnije liść, kiedy rdzeń życia i wszystkie geny zasupłane są w brudnawe zawiniątko schowane w mrokach gleby.

A gdy zrywasz liść melisy, by ozdobić torcik, to już w trzy minuty po tym zapadają się jej nawodnione komórki skórki. Coś podobnego dzieje się z twarzą człowieka po zgonie, jakby jego twarz była liściem – zapadają się oczy, odpuszczają mięśnie.

Oj tak.

Śmierć to jest przeogromne przeistoczenie materii w coś absolutnie elementarnego. W świecie lasu odbywa się cicho i daje bardzo ładny zapach ściółki. Lubimy go. W tym pachnidle gnijącej materii czujemy się nad wyraz spokojni. Czy to nie jest dziedzictwo, że przez wieki byliśmy w lesie? Dlaczego człowiek od-

poczywa patrząc na zieleń? Bo w niej siedzieliśmy miliony lat. Dlaczego boimy się czerwieni, więc znaki „stop” są czerwone? Bo mamy wypalone w głowach, że czerwona to jest krew.

W lesie pełne ręce roboty ma grabarz pospolity. Piszesz, że dzięki niemu „zwierzęta lasu nie muszą myśleć, co się będzie działo potem”.

Jego domem są zwłoki zwierząt. Okopuje je dookoła, zapadają się przez to w ziemię i znikają do pewnego etapu rozkładu. Potem przychodzą inni i inni do tych innych.

Jedna studentka zaniosła trupki kurczaków do lasu – obserwowała rozkładające je leśne owady. Olśniło mnie, gdy patrzyłam na padliny kur zmieniające się w gnijące truchło, a potem w czyste kości. Przeprowadzała to badanie z zachwytem w oczach. Przez 10 dni po padlinie została czyściutka ziemia. Patrz, jakie to jest piękne.

Ehm.

Sprzątanie ciał, demontaż ich i swobodny rzut tych atomów w przestrzeń, jest boskie. To dzieje się cały czas. A nam wciskana jest narracja życia, to, że musisz się stwarzać, budować, doskonalić, trwając, jak trup Lenina, w nieskazitelności naskórka. Dlaczego? A może mi się podoba, że moja skóra jest w gorszej formie niż u Lenina? I że stan ten będzie się pogarszał...

Ewa Domańska w książce „Nekros” pisze, że coraz częściej myśli się o tym, by ludzkie ciało po śmierci ponownie zwrócić naturze, bez trumien i na prostych cmentarzach w lesie. Ludzka ingerencja w naturę dotarła nawet do poziomu naszych zwłok. Kładą nas w lakierowaną trumnę, wyściółka w niej jest z folii, poduszeczki z plastiku. A my modlimy się tylko o dusze?

Mówisz tak, jakby śmierć nie była Ci straszna.

Od dawna jestem gotowa na to, że mogę umrzeć, ale staram się tego nie robić dlatego, że są ludzie, którzy mnie kochają i których ja tak bardzo kocham.

Nie wierzę w to Twoje oswojenie śmierci.

Oczywiście łatwo jest tak mówić w momencie, kiedy nie zajrzysz śmierci w oczy. Jednak ja nie wierzę, że cierpienie uszlachetnia. Pracowałam w hospicjum i teraz tak myślę. Ból, na który nie ma leków, gnębi i sprowadza do dna. Tarza człowieka i cicho się jego męczarni przygląda. To opiekunów i pielęgniarzy często uświęca, ale też nie zawsze. Więc gdy przychodzi śmierć, to może być to wreszcie ulga, prawda? Niczego już nie trzeba, oddajesz się.

Ziemi?

Nie wiem, co z duszą, ale co do atomów, które pożyczyłaś od setek tysięcy martwych innych, to właśnie wtedy, gdy mówisz światu „cześć” – oddajesz je. Czasem życie przypomina mi wypożyczalnię atomów dla zmaterializowania niepokojów serca. Ludzie coś piszą, budują, myślą, mówią, kochają się, gnębią, a potem umierają, coś po nich zostaje, ale czasem naprawdę nic. Atomy są już kogoś innego.

Niedawno napisałam wiersz „Czarna sukienka”. Mam go w telefonie, przeczytać?

Czytaj.

„Całość mnie była zawsze, / nigdy, wszędzie, nigdzie. / Miliardy lat, brak mnie. / Więc tęsknię za tą swoją matką, / za jej czarną sukienką, w której ukryć się można było na wieki. / Po coś mnie tu strąciła? / Trzeba tylko ciągle zamykać oczy”.

Aż mnie przeszły ciarki.

Chcesz czekoladkę?

Nie, dziękuję.

Widzisz, ludzka perspektywa czasu przysparza nam mnóstwo kłopotów w opisie życia, bo patrzymy tymi swoimi oczami i trudno nam to robić inaczej.

Widać to, jak człowiek mówi o uchodźcach ludzkich albo roślinnych. Nie chcemy ich. W przypadku roślin wyznaczyliśmy sobie nawet cezurę. Są te, które pojawiły się u nas do XV wieku, a dziś uznaje się je już za prawie nasze, jak ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ np. chaber, oraz te, które przymigrowały do nas po XV wieku, więc są nazwane gatunkami obcymi, jak np. niecierpek drobnokwiatowy. Czytam, że takie trzeba wytępić, bo niszczą polską florę.

Ale polećmy na Księżyc – wtedy świat zobaczymy inaczej. Ziemia to żywa skóra, którą jest otoczony rdzeń kuli. Mozaika przeistoczeń. Ból człowieka tworzy mu aureolę zataczającą głowę ciemną mgłą. Ludzie starają się nie czuć tego bólu, dali sobie wcisnąć, że muszą być szczęśliwi. I to przekonanie rodzi prawdziwe zniewolenie. Dlaczego szukasz? Po co? Daj spokój.

Ula, litości... Nikt nie chce cierpieć.

Nikt nie chce, ale każdy chyba jakoś cierpi. Wielu wtedy jest nieczułych na inne cierpienie, bo swojego ma dość, ale też nie ma ochoty się z nim rozprawić. Pielęgnujemy uważność, ale wyłącznie tę skierowaną na siebie. Nie mamy uwagi na resztę istnienia – czy to jest drugi człowiek, paproć czy żuk. Liczę się tylko ja. Nie pracujemy razem jako społeczność, chowamy się za swoimi parawanami, używamy ludzi, gdy są nam potrzebni, ale tak naprawdę ten obok nie liczy się nic. Możemy pieprzyć hasła o wolności narodów, o ochronie przyrody, a poniżać pojedynczego człowieka. Wtedy w takie ideały ja już nie wierzę.

Ty miałaś szczęście spotkać na swojej naukowej drodze profesora Barlowa, który bynajmniej nie chował się za parawanem.

Poznałam go przypadkowo – przez zachwyt jego pracą odkrywającą, że ruch liścia fasoli jest skorelowany z pozycją Księżyca na niebie. Krótko mówiąc, chodzi o to, że liść nie jest wyłącznie częścią rośliny podlegającej ziemskim wpływom, ale że ma także silne związki z czarnym, zimnym kosmosem. Olśnienie!

Bardzo chciałam porozmawiać z Barlowem, ale nie wiedziałam, jak do niego podejść – krępowałam się okropnie. W końcu napisałam do Joachima Fisahna z Instytutu Maxa Plancka, a on od razu przekazał wiadomość do profesora Barlowa. I ten do mnie napisał, że czeka na jakieś pytania. Ojej! Na moje pytania? Tak zaczęła się nasza dzika praca. Kilka listów dziennie. Wideotransmisje z laboratorium. Kiedyś opowiadał mi, jak w Oksfordzie rozmawiał z noblistami, którzy dostali nagrodę za badania nad czarną dziurą. W pewnym momencie przerywa i mówi: „Lecę, bo robię dżem ze złotych pomarańczy". Zdążyłam zapytać: „Czym się różnią złote pomarańcze od innych?". On: „No przecież kolorem!". Dostałam zdjęcie piany kipiących garnków, a z nim pytania o geometrie świata, supły, fazy gwiazd i książki.

Pielęgnujemy uważność, ale wyłącznie tę skierowaną na siebie.
Nie mamy uwagi na resztę istnienia – czy to jest drugi człowiek, paproć czy żuk. Liczę się tylko ja.

Podsuwał mi porządne lektury, dopytując, co o nich myślę. On mi odkrył Goethego, którego dotąd znałam wyłącznie z „Cierpień młodego Wertera". Co za obciach! – myślę teraz. A to był przecież wytrawny botanik, zajmujący się optyką i naturą światła. Goethe odbył podróż po Włoszech, gdzie poszukiwał prarośliny-pramatki – budując na tym koncepcję życia w ogóle.

Barlow tłumaczył też moje wiersze – ja pisałam po angielsku, a on przekładał je na poetycki angielski. Był bardzo wymagający co do języka, jakim się opisuje świat. Nie bał się łączenia języka humanistyki z językiem nauki i wciąż miał w sobie bardzo prosty i czysty zachwyt.

Bardzo się przed nim popisywałam i starałam się mu zaimponować. Śmierć Barlowa jest dla mnie tak smutnym doświadczeniem, że rzeczywiście wciąż w nią nie wierzę. Umarł nagle dwa lata temu, miał ponad 80 lat.

Nigdy się nie spotkaliśmy, nie zdążyliśmy, choć mnie wołał. Odwiedzę go niedługo w Bristolu, gdzie jest jego grób. Ukształtował moje spojrzenie, obdarzając całą mnie nieziemskim zaufaniem. Będę to miała pod skórą już zawsze.

Jesteś współtwórczynią Gaju Pamięci Wołomińskich Żydów, który został otwarty w czerwcu tego roku. Powiesz coś o tym?

Jako dzieci mieliśmy lekcje WF-u na stadionie miejskim Huragan. Żaden nauczyciel nam nie mówił, gdzie tak naprawdę biegamy. A w czasie wojny było tam getto, dla trzech tysięcy mieszkańców miasta. Większość wywieziono do Treblinki, ponad 400 zamordowano na miejscu.

Ta ziemia skrywa szczątki ludzkich ciał i nasiąkła krwią cierpienia. Kiedy dowiedziałam się o getcie, dotarło do mnie, że lepiej znam historię Londynu niż Wołomina. Zaczęłam studiować portal dawny.pl. I szok, a przede wszystkim ogromny wstyd za to nasze milczenie, za to, że zapomnieliśmy o wołomińskich Żydach. Rok temu zorganizowaliśmy Marsz Pamięci, było ponad sto osób, szliśmy wokół stadionu.

Potem pojawił się pomysł, by stworzyć Gaj Pamięci. Mam problem z każdą tablicą i każdym kamieniem, na których wyryto wybrzmiały ludzki dramat: czytasz, co się tam wydarzyło, i nic nie możesz z tym zrobić, tylko z tym bólem odejść. Chciałam więc, by to była dobra przestrzeń dla człowieka, by ona się o niego zatroszczyła, swoją łagodnością zajęła się tym smutkiem. By były tam drzewa, ławki i spokój. Tak się stało. Miasto nam pomogło i wspaniała pani burmistrz Elżbieta Radwan. 21 brzóz i trzy ławki. Stoi skromny cokół z białego piaskowca, na którym wykuliśmy, co tu się z ludźmi działo i że pamięć o nich będzie żyła. Jest też wiersz Jerzego Ficowskiego – rok temu pani Elżbieta Ficowska podarowała nam go, byśmy go czytali podczas Marszu, a na otwarciu Gaju, miesiąc temu, już sama była z nami. Mam mnóstwo wdzięczności dla wszystkich ludzi, którzy pracowali, wspierali nas.

A co się stało z topolami, które rosły na stadionie?

Te drzewa były zanurzone w ziemi, na której ginęli ludzie, więc ich cząstki były w tych topolach. Bałam się dotykać ich kory. A ponieważ konary topoli się łamały, wnętrze pni były zgniłe, zaczęły umierać – drzewa zostały pocięte, poszły do spalenia. Sama napisałam na to papier, naukowe argumenty, by wyrażono zgodę na wycięcie. To ja się tam podpisałam, że tak trzeba, i do dziś tego żałuję. Trzeba było je zostawić, by się tam rozłożyły w spokoju.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

KATARZYNA GRANACKA / ARCHIWUM ECS

„Re-konstrukcja z dnia 16 grudnia 1981" Doroty Nieznalskiej w Europejskim Centrum Solidarności, Gdańsk, maj 2019 r.

Pamięć, która jest ważna

PIOTR KOSIEWSKI

Dorota Nieznalska od lat wraca do przeszłości, wydobywając z niej tematy zapomniane, pomijane lub też pamiętane inaczej. Nie są to jedynie historyczne wyprawy. Artystka nieustannie stawia pytanie, jakie znaczenie mają dla nas minione wydarzenia.

W zaciemnionej sali krakowskiego Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK znalazła się monumentalna konstrukcja. Przypomina kształtem ikonostas, ale miejsce ikon ze świętymi wyobrażeniami zajęły fotografie Rusinów i górali podhalańskich. Są wśród nich zdjęcia grupy chłopców z Wróblika Królewskiego, Łemka w dawnym stroju z Nowej Wsi, mieszkanki Markowej czy grupy łemkowskich dziewcząt z okolic Krynicy. Ubranych często świątecznie, uroczyście, patrzących wprost w obiektyw aparatu.

Ofiary

Wszystkie te fotografie zostały wykonane dla powołanego w 1940 r. przez Hansa Franka w Krakowie Instytutu Niemieckiej Pracy na Wschodzie (Institut für Deutsche Ostarbeit), placówki pozornie naukowej (siedzibę miała na Uniwersytecie Jagiellońskim), w istocie polityczno-ideologicznej. Ważną rolę odgrywały w niej badania rasowe i ludoznawcze. Organizowano nadzorowane przez antropologów austriackich ekspedycje m.in. na Podhale, ziemię sądecką, do wsi łemkowskich, ale także do getta w Tarnowie.

Przeprowadzano badania rasowe, w tym wywiady medyczne, ankiety psychologiczne i socjologiczne. Szukano w ten sposób genetycznych dowodów na germańskość określonych grup, by w ten sposób znaleźć uzasadnienie dla zniemczenia zajętych terenów. Chodziło także o pozyskanie siły roboczej i dóbr nadających się do wykorzystania na rzecz III Rzeszy.

W połowie 1944 r. zbiory Instytutu ewakuowano do Bawarii. Tam przejęła je armia amerykańska, a następnie trafiły do słynnej Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Dopiero w 2008 r. kolekcję Sektion Rassen- und Volkstumsforschung przekazano Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Jest to bardzo obszerny zbiór, ponad 70 tys. stron dokumentów: kart antropometrycznych, ankiet socjologicznych, testów psychologicznych, kartotek z odbitkami daktyloskopijnymi palców i całych dłoni oraz 25 tys. zdjęć antropologicznych twarzy, głowy, dłoni i stóp.

Kolekcja Sektion Rassen- und Volkstumsforschung przeraża swą dwuznacznością. To tysiące dokumentów z naukową precyzją opisujących mieszkańców tego fragmentu Polski. Dzięki nim wiemy, jak wyglądali, żyli, jak sami siebie opisywali. Poznajemy ich kondycję fizyczną, obyczaje, kulturę. Zdjęcia wykonano w miejscu zamieszkania fotografowanych. Widzimy ich we własnym otoczeniu. To unikatowe źródło wiedzy.

Sam udział w badaniu był przymusowy, ale też na zdjęciach widać, że dla wielu przyjazd badaczy z Instytutu to ↦

MOCAK / MATERIAŁY PRASOWE

Kobieta, za nią badacz z IDO, Nowa Wieś, Krynica, powiat nowosądecki, Generalne Gubernatorstwo, 1940, Sektion Rassen- und Volkstumsforschung IDO, Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego

MOCAK / MATERIAŁY PRASOWE

Dziewczynka ze wsi łemkowskiej z okolic Krynicy, Generalne Gubernatorstwo, 1940, Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego

niecodzienne wydarzenie. Jednocześnie samo badanie służyło wyjątkowo podłym celom: wyodrębnieniu pożytecznych i zbędnych, wręcz niepożądanych. Wyszukiwano m.in. dzieci „czyste rasowo" i zabierano je rodzicom, by następnie wychowywać je na Niemców.

Dzieje Instytutu Niemieckiej Pracy na Wschodzie wyjątkowo drastycznie pokazują możliwą degenerację nauki i jej podatność na polityczne oraz ideologiczne manipulacje (na wystawie jest też prezentowany film o dziejach tego Instytutu). Dorota Nieznalska przypomina o dwuznaczności (czy też wieloznaczności) badań naukowych, o rozmaitych uwikłaniach badaczy i instytucji. Jednak przede wszystkim przypomina same ofiary, ludzi, którzy byli traktowani jako przedmiot naukowych dociekań. Więcej, poprzez szczególną formę samej prezentacji, *quasi*-sakralną przestrzeń w której umieszczono specjalnie obrobione odbitki zdjęć, w pewien sposób uwzniośla ich los, nadaje im szczególny wymiar.

„Przemoc i pamięć" jest też dedykowana rodzinie artystki. Tej jej części, która była ofiarą przymusowych wysiedleń podczas akcji „Wisła". Paradoksalnie bowiem ci, którzy byli ofiarami nazistowskiego reżimu, potem doświadczyli wiele złego od innego – komunistycznego. Przy czym rodzinna historia artystki pozostaje trochę w tle. Jak tłumaczyła w rozmowie z Przemysławem Chodaniem dla magazynu „Szum": „Nie chodziło mi o to, by ujawniać historię rodziny, ona jest gdzieś tam w tle. Tak samo wcześniejsze projekty, które dotyczyły Prus Wschodnich, były momentem odbicia się od tego miejsca, jednak w szerszym kontekście przepracowaniem tematów – pamięci/zapomnienia, miejsc pamięci, niechcianego dziedzictwa".

Biograficzny wątek jest jednak stale obecny w twórczości Doroty Nieznalskiej. W 2013 r. z wygoloną głową, w stroju bliskim narodowcom, pojechała w Święto Niepodległości do Warszawy i na grobie Romana Dmowskiego złożyła wieniec z żyta, ozdobiony biało-czerwoną kibolską flagą. Swą pracę zatytułowała: „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie". To cytat z autora „Myśli nowoczesnego Polaka", a zarazem jednego z przodków artystki. Kilka dni wcześniej złożyła inny wieniec. Tym razem w Sopocie, na grobie prababki Rozalii z domu Dmowskiej.

Przyglądając się przeszłości

W 2003 r. Dorota Nieznalska została skazana za obrazę uczuć religijnych na sześć miesięcy ograniczenia wolności i wykonywanie robót publicznych. Do tej pory jest utożsamiana przede wszystkim z pracą „Pasja", która była powodem tych oskarżeń. Tzw. sprawa Nieznalskiej miała ogromny wpływ na sytuację sztuki współczesnej w Polsce. Wytoczony artystce proces oraz ostre ataki na jej twórczość zwróciły uwagę części mediów, zwłaszcza deklarujących przywiązanie do liberalnych zasad, na problem wolności artystycznej i swobody wypowiedzi. Przestano uznawać działania artystów wyłącznie za fanaberie, a w pisaniu o ich pracach dostrzegać jedynie skandaliczny wymiar.

Sprawa Nieznalskiej – obok m.in. sukcesu komercyjnego odniesionego przez Wilhelma Sasnala i kilku innych młodych artystów – przyczyniła się do zmiany klimatu wokół powstającej dziś sztuki. Zachęciła do uważniejszego i bardziej życzliwego przyglądania się jej. Ale też wśród twórców pojawiły się elementy autocenzury, sama sztuka straciła na swej drapieżności, a Nieznalska zapła-

ciła ogromną cenę. Chociaż ostatecznie w 2009 r. została uniewinniona, to jednak długo nie mogła wystawiać w publicznych galeriach (jednym z nielicznych miejsc, które odważyły się ją zaprezentować, była założona przez Grażynę Kulczyk poznańska Galeria Stary Browar), wręcz została zepchnięta na margines.

Wystawa w MOCAK-u pokazuje inny wizerunek artystki. Nienowy, bo Dorota Nieznalska od lat przygląda się wnikliwie nie tylko polskiej przeszłości. Do tego podejmuje tematy rzadko przez innych twórców zauważane. W projekcie „Suur-Suomi (Wielka Finlandia)" z lat 2012/2013 zajmowała się fińską wojną domową w 1918 r. i jej rolą w kształtowaniu tamtejszej tożsamości narodowej. „Tannenberg-Denkmal" (2014) poświęciła dziejom monumentalnego pomnika upamiętniającego wielką bitwę w 1914 r., jednego z kluczowych miejsc niemieckiej pamięci – to tu w 1935 r. został pochowany feldmarszałek Paul von Hindenburg, który dowodził niemieckimi wojskami podczas tej bitwy, później prezydent Niemiec (to on umożliwił Hitlerowi objęcie pełnej władzy), a sam obiekt zostaje uznany za honorowy pomnik III Rzeszy. Z kolei w instalacji „Lebensborn e.V." (2017) wykorzystała inne dokumenty ze zbiorów Instytutu Niemieckich Prac na Wschodzie. Opowiedziała o sieci sierocińców na terenie III Rzeszy, w których umieszczano dzieci odebrane rodzicom, ponieważ sklasyfikowano je jako „czyste rasowo".

Instalacja „Lebensborn e.V." czy projekt „Przemoc i pamięć" są przykładami istotnego zjawiska w sztuce współczesnej, określanego jako „archiwistyczny zwrot". Artyści sięgają po dokumenty, stare zdjęcia, filmy, przekopują archiwa i biblioteki. Praca badawcza staje się częścią procesu twórczego. Przykładów można podać wiele. Henrik Olesen przyglądał się losom genialnego brytyjskiego matematyka Alana Turinga, zasłużonego podczas II wojny światowej, ale potem prześladowanego z powodu swej orientacji seksualnej. Maria Eichhorn badała losy dóbr kultury zrabowanych przez nazistów: skonfiskowanej w 1939 r. kolekcji Alexandra Fiorino, żydowskiego kolekcjonera z Kassel, czy zbiorom wybitnego wrocławskiego kolekcjonera Davida Friedmanna z przedwojennego Wrocławia. Z kolei Goshka Macuga śledziła dzieje gobelinu według „Guerniki" Picassa, wykonanego na zamówienie Nelsona Rockefellera, a następnie umieszczonego w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku.

Polskie doświadczenie

W 2011 r. na podstawie archiwalnych zdjęć i rozmów ze świadkami Nieznalska odtworzyła pierwotny wygląd Bramy nr 2 Stoczni Gdańskiej po staranowaniu jej czołgiem T-55 w stanie wojennym. „Re-konstrukcja z dnia 16.12.1981" jest dziś częścią stałej ekspozycji Europejskiego Centrum Solidarności. Sześć lat później z archiwalnych materiałów zmontowała film „Zaczęło się w Gdańsku" o początkach Solidarności. Jej ojciec Bogusław Nieznalski fotografował strajk w Stoczni w 1980 r. i późniejsze wydarzenia (wykonane przez niego zdjęcie „No pasarán!" stało się jednym z symboli stanu wojennego). Z kolei przed gmachem MOCAK-u stoi fragment muru z cegieł zebranych przez Dorotę Nieznalską z terenu stoczni. Przypomina o opowieści o przeskoczeniu przez Lecha Wałęsę w sierpniu 1980 r. stoczniowego muru, by dołączyć do strajkujących. Swą pracę artystka zatytułowała: „Dar Gdańska dla Krakowa".

Prace artystki wpisują się w aktualne polskie spory o przeszłość. Są w niej istotnym głosem i jednocześnie zaprzeczeniem przekonania, że jest to sfera całkowicie zawłaszczona przez prawicową stronę. „Przywołując historię w gruncie rzeczy jesteśmy bardzo blisko teraźniejszości" – tłumaczyła Dorota Nieznalska w wywiadzie dla „Szumu". I dodawała: „Mam nadzieję, że moje wystawy budzą refleksję o tym, jakie zagrożenie niesie z sobą nienawiść, dzielenie na lepszych, gorszych, na rasy, ograniczanie wolności, łamanie praw, przemoc, zabijanie".

Od pewnego czasu artystka zajmuje się Stanisławem Pyjasem oraz krakowskim środowiskiem skupionym wokół Studenckiego Komitetu Solidarności. Badała zgromadzone w IPN-ie dokumenty dotyczące śmierci krakowskiego studenta, ale też działalność agenta Służby Bezpieczeństwa Lesława Maleszki (TW Ketman). Dwóch postaci będących swoistymi symbolami tego czasu i podejmowanych wówczas wyborów.

W listopadzie w Europejskim Centrum Solidarności otworzy swoją wystawę poświęconą Stanisławowi Pyjasowi. Niedawno zaś przypomniała jego słowa z 18 stycznia 1977 r.: „trzeba skończyć z zajmowaniem się sztuką, teatrem, literaturą, różnymi pięknymi rzeczami, i trzeba zająć się polityką. Trzeba walczyć". © PIOTR KOSIEWSKI

Dorota Nieznalska **PRZEMOC I PAMIĘĆ**, *Kraków, Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK, kuratorka Monika Kozioł, wystawa czynna do 18 sierpnia.*

REKLAMA

Szlachetni zdrajcy Albionu

JAKUB MAJMUREK

Dlaczego wykształceni i dobrze sytuowani Brytyjczycy stawali się w czasach zimnej wojny sowieckimi agentami?

Film „Tajemnice Joan" Trevora Nunna może wydawać się polskim widzom dość osobliwy. Nie ze względu na fabułę – luźno opartą na faktach historię młodej Angielki, pracującej nad budową brytyjskiej bomby atomowej, która decyduje się podjąć współpracę z radzieckim wywiadem. Zaskakujące z naszej perspektywy jest co innego – to, w jaki sposób film próbuje zrozumieć bohaterkę, a w pewnym sensie nawet usprawiedliwić jej wybory.

Joan nie zdradza swojego kraju i kolegów z pracy dla pieniędzy, ze strachu, chęci zemsty czy z jakichkolwiek niskich pobudek. Od początku kieruje nią szlachetny, nawet jeśli miejscami naiwny idealizm, którego racje twórcy starają się jak najuczciwiej przedstawić.

Osławiona piątka

Takie podejście do postaci radzieckiej agentki w kraju z taką historią jak nasza wydaje się naiwne i oderwane od rzeczywistości. Nie jest jednak w brytyjskiej popkulturze niczym nowym.

Motyw zdrajców przechodzących na radziecką stronę obecny jest w niej od dawna. Nie odegrał chyba takiej roli w kulturze żadnego innego zachodniego kraju. Był ku temu dobry powód, a nawet pięć powodów: tylu było bowiem szpiegów, kolegów z uniwersytetu z Cambridge, zrekrutowanych przez radziecki wywiad w połowie lat 30. Wszyscy pochodzili z uprzywilejowanych rodzin, otrzymali najlepszą edukację i znaleźli sobie miejsce w samym sercu kluczowych brytyjskich instytucji. Donald Maclean i Guy Burgess byli dyplomatami, tuż przed ucieczką do ZSRR pracowali w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie. Kim Philby robił błyskotliwą karierę w wywiadzie, John Cairncross w służbie cywilnej. Anthony Blunt dał się poznać jako wybitny historyk sztuki i kurator prywatnej kolekcji Windsorów.

Za każdym razem, gdy opinia publiczna poznawała tożsamość kolejnego ze szpiegów z Cambridge (pierwsi zostali zdemaskowani w 1951 r., ostatni w 1979 r.), w Wielkiej Brytanii wywiązywała się dyskusja na temat kondycji elit, bezkarności, jaką gwarantuje wysoki status społeczny, intelektualistów, potrafiących użyć całej swojej wiedzy i inteligencji do tego, by racjonalizować wybory, których obronić się nie da.

W tych dyskusjach na początku niewiele było zrozumienia dla motywacji zdrajców. Jak pisze biografka Blunta, Miranda Carter, gdy w 1951 r., w szczycie zimnej wojny, Maclean i Burgess zbiegli do Moskwy, argumenty, iż mogli działać motywowani szczerymi przekonaniami czy źle ulokowanym idealizmem, odbijały się od ściany. Związek Radziecki był zbyt przerażający, a dwójka z Cambridge zbyt uprzywilejowana, by ktokolwiek dał się przekonać takiej linii obrony. Burgess był w dodatku niekryjącym swojej orientacji i życia erotycznego homoseksualistą. Choć homoseksualizm ciągle był karalny w Wielkiej Brytanii (do 1967 r.), to osadzone w establishmencie osoby homoseksualne, zajmujące kluczowe stanowiska w najważniejszych instytucjach, mogły liczyć na dyskrecję i tolerancję. Ujawnienie Burgessa jako szpiega złamało kariery wielu homoseksualnym urzędnikom cywilnym, agentom wywiadu itp.

Gdy 12 lat później do Macleana i Burgessa dołączył w Moskwie Philby, brytyjska prasa była przede wszystkim pełna głosów o kompromitacji służb, które osobę pracującą dla obcego mocarstwa dopuściły do tak ważnych stanowisk. Wrażenie kompromitacji pogłębiał fakt, że informacje o ucieczce Philby'ego do Moskwy dotarły do opinii publicznej niecały miesiąc po dymisji Johna Profumo – ministra obrony w konserwatywnym rządzie Harolda MacMillana, który musiał odejść po tym, gdy okazało się, iż okłamał parlament na temat swoich relacji z modelką Christine Keeler. Kobieta równolegle z romansem z Profumo miała mieć bliskie relacje z urzędnikiem radzieckiej ambasady, pracującym pod przykryciem dla wywiadu ZSRR.

Gdy ostatni z „piątki z Cambridge", Anthony Blunt, został zdemaskowany, stał się najbardziej znienawidzonym człowiekiem na Wyspach. Wściekle atakowali go thatcheryści i tabloidy. Nic dziwnego, Blunt reprezentował wszystko to, czego najbardziej nienawidziły. Był lewicowym intelektualistą, znawcą europejskiej sztuki, wytrawnym sybarytą, homoseksualistą, zdrajcą własnego kraju. Blunt do pracy na rzecz ZSRR, którą, jak twierdził, zakończył w 1945 r., przyznał się brytyjskiemu kontrwywiadowi już w 1964 r. W zamian za złożenie zeznań zagwarantowano mu immunitet i obiecano trzymać sprawę w sekrecie co najmniej przez 15 lat – nikt nie chciał kompromitującego skandalu. Służby wywiązały się z obietnicy – Blunt zachował stanowiska i honory, łącznie z tytułem szlacheckim. Premier Thatcher atakując Blunta wysyłała też komunikat: stary establishment zawiódł, zamiast dbać o interesy kraju, chronił swoich, teraz, gdy rządzę ja, to się skończy.

Subtelności zdrady

W 1974 r. John Le Carré publikuje jedną ze swoich najgłośniejszych powieści „Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg". Wywiad brytyjski okazuje się w niej być zinfiltrowany przez Sowietów – w jego centrum znajduje się kret, Bill Haydon. Haydon łączy w sobie cechy Philby'ego i Burgessa. Pochodzi z uprzywilejowanej klasy społecznej, uważa się za estetę i intelektualistę, surowo sądzi brytyjskie społeczeństwo. Dla operacyjnych celów uwodzi zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Według Le Carrégo Haydonem kieruje lęk przed zdemaskowaniem i przyjemność, jaką czerpie z tego, że przez tak długi czas jest w stanie wszystkich oszukiwać. By utrzymać swój sekret, gotów jest absolutnie na wszystko. Dla Le Carrégo jest on – podobnie jak cała „piątka z Cambridge" – symptomem przegnicia brytyjskiego establishmentu. Fakt, że ktoś taki o mały włos nie został szefem brytyjskiego wywiadu, urasta w „Druciarzu..." do miary klęski całego pokolenia, które wchodziło w dorosłość przekonane, że tak jak ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie, będzie rządzić globalnym impe-

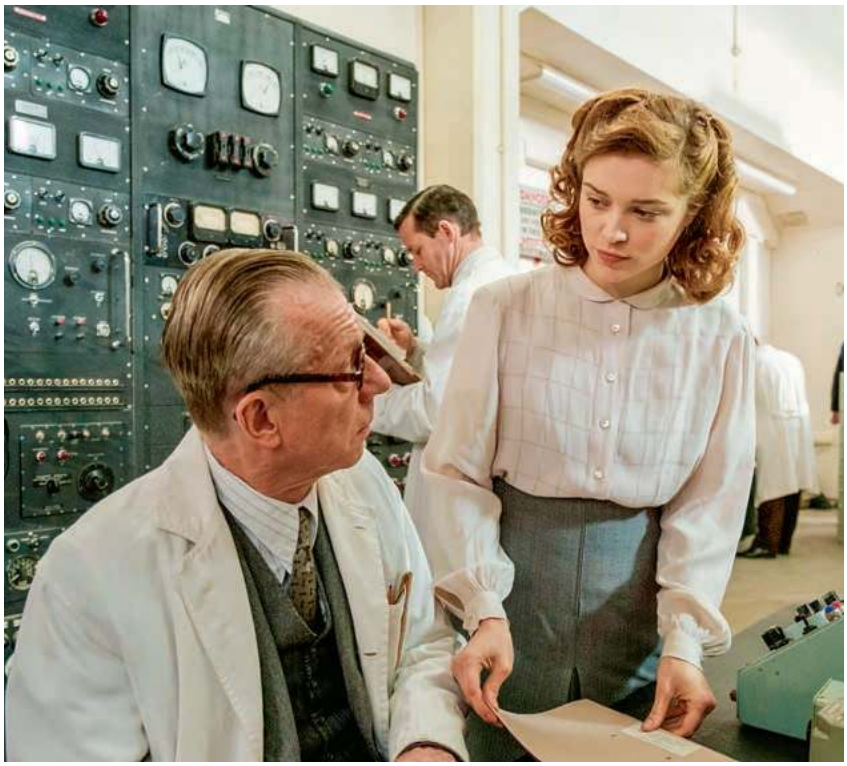

NICK WALL / BESTFILM

Sophie Cookson jako Joan Stanley w filmie „Tajemnice Joan"

rium. Zdemaskowanie Haydona potwierdza, że imperium nie istnieje, a powojenna Wielka Brytania z głównego aktora na globalnej szachownicy zmienia się w pionka, rozgrywanego przez wielkie mocarstwa.

Szpiedzy z Cambridge zainspirowali także dramaturga Alana Bennetta. W latach 80. poświęcił im dwie sztuki teatralne: „An Englishman Abroad" oraz „Question of Attribution" – obie przeniesione na telewizyjny ekran przez Johna Schlesingera. Pierwszy film rozgrywa się w 1957 r. w Moskwie. Australijsko-brytyjska aktorka na gościnnych występach z teatralną grupą wystawiającą Szekspira w stolicy ZSRR zostaje zaczepiona w garderobie przez czarującego Anglika. Mężczyzna jest fascynujący, niezwykle uprzejmy, całkowicie skupia na sobie uwagę kobiety. Okazuje się nim być Guy Burgess – cała ofensywa uroku i dowcipu ma skłonić kobietę, by w Londynie zamówiła dla niego porządny garnitur u brytyjskiego krawca – te radzieckie nie pasują wyrafinowanemu elegantowi. Anegdota oparta jest na prawdziwym zdarzeniu. Bennett wydobywa cały ludzki tragikomizm Burgessa, pyta o to, czemu nawet zdemaskowany i zdyskredytowany szpieg ciągle nas uwodzi i fascynuje.

Jeszcze dalej w próbie zrozumienia Burgessa idzie oparty na sztuce Juliana Mitchella film „Inny kraj" (1984). Wzorowanego na Burgessie bohatera, Guya Bennetta, poznajemy jako ucznia ostatnich klas angielskiej szkoły z internatem. Szkoła jest piekłem konformizmu, przemocy, zinstytucjonalizowanej homofobii. Akcja zawiązuje się od samobójstwa młodego chłopca, którego nauczyciel nakrył w sytuacji intymnej z kolegą. Bennett odkrywa stopniowo, że ze swoją orientacją nigdy nie znajdzie dla siebie miejsca w brytyjskim społeczeństwie, że zawsze będzie naznaczony potencjalnie rujnującą życie tajemnicą. To odkrycie łączy się z polityczną radykalizacją w lewicowym duchu – jest początek lat 30., na świecie trwa wielki kryzys, nie trzeba być fanem ZSRR, by stwierdzić, że coś w kapitalizmie nie działa.

„Question of Attribution", uważane za najlepszy tekst z lat 80. o „piątce z Cambridge", skupia się z kolei na postaci Blunta. Alan Bennett portretuje świat brytyjskiego wywiadu, a właściwie całego establishmentu, podobnie jak Le Carré. Nikt w nim nie jest tym, za kogo się podaje, każdy ma swoje sekrety i skomplikowane lojalności. Ostatecznie, jak sugeruje autor, Blunt, choć niewątpliwie winny szpiegostwa, mógł stać się kozłem ofiarnym, poświęconym przez brytyjski establishment, by uniknąć ujawnienia znacznie bardziej kompromitujących tajemnic.

Ani Moskwa, ani Waszygnton

Koniec zimnej wojny nie przerwał zainteresowania „piątką z Cambridge". Fakt, iż Związek Radziecki przestał być zagrożeniem dla Wielkiej Brytanii, ułatwiał usprawiedliwianie ich wyboru. Najdalej idzie w tym serial BBC z 2003 r.: „Szpiedzy z Cambridge", napisany przez Petera Moffata. Moffat przedstawia piątkę jako grono szlachetnych idealistów, którzy decydują się współpracować z Moskwą, widząc, jak brytyjska demokracja jest bezradna nie tylko wobec wielkiego kryzysu, ale także wzrostu faszyzmu w Europie.

W centrum narracji Moffata stoją Burgess i Philby. W pierwszej scenie, w której ich poznajemy, stają w obronie żydowskiej koleżanki z uczelni, antysemicko atakowanej przez młodego, arystokratycznie wyglądającego studenta. Chwilę później Burgess pomaga kelnerom ze swojego college'u zorganizować strajk w obronie wyższych pensji – oba te wydarzenia są fikcyjne, mają za zadanie zbudować naszą sympatię do przyszłych szpiegów. Po pierwszym odcinku serialu ma się wrażenie, że w Cambridge na początku lat 30. każdy, kto miał minimum rozumu i przyzwoitości, musiał być komunistą.

To samo Cambridge lat 30. staje się miejscem radykalizacji tytułowej bohaterki „Tajemnic Joan". Melita Norwood, postać, na której wzorowana była Joan, studiowała co prawda w Southampton – ale przeniesienie akcji do Cambridge pozwala wpisać jej historię w mit osławionej piątki. Joan, w przeciwieństwie do bohaterów „Szpiegów z Cambridge", szybko rozczarowuje się do komunizmu. Nie jest w stanie zaakceptować pokazowych procesów i terroru ery Stalina. Na zdradę swojego kraju decyduje się dopiero po Hiroszimie i Nagasaki – wierzy, że tylko równowaga sił między mocarstwami uchroni świat przed globalną wojną nuklearną. Ostatecznie zdradę Joan usprawiedliwiać ma nie zafascynowanie ideologią komunistyczną, ale ogólnie pojęty humanitaryzm i pacyfizm. Taka linia obrony brzmi średnio przekonująco. Łatwiej ↦

uwierzyć w ideologiczne uwiedzenie polityczną religią z Moskwy „piątki z Cambridge" niż dość pokrętnemu pacyfizmowi Joan. Zwłaszcza w regionie, nad którym – także dzięki równowadze atomowej – ZSRR utrzymywał władzę przez blisko pół wieku.

Joan jest poniekąd odwrotnością bohaterki dostępnego na Netfliksie serialu „Zdrajcy", Feef Symmonds (rewelacyjna Emma Appleton). Feef jest szkolona na agentkę wywiadu w czasie wojny, zanim jednak wyruszy na pierwszą misję, wojna się kończy. Podejmuje pracę w służbie cywilnej. Rekrutuje ją amerykański wywiad, przekonany, że w sercu brytyjskiej administracji Sowieci umieścili kreta. Feef też zdradza swój kraj, tylko dla drugiej strony zimnej wojny niż Joan.

Szpiegowska gra po obu stronach żelaznej kurtyny okazuje się podobnie brudna. Twórcom serialu udaje się pokazać powody, dla których po jednej i drugiej stronie najlepsze jednostki gotowe są do zdrady, przekonane, że działają w imię najbardziej szlachetnych ideałów. W atrakcyjnej formule szpiegowskiego thrillera „Zdrajcy" oferują odczarowane spojrzenie na początki zimnej wojny, zaglądają za brudne kulisy tego, co dzieje się obok wielkiego ideologicznego sporu między „ojczyzną światowego proletariatu" a „wolnym światem".

Jednocześnie serial nie popada w zupełny cynizm. Widzimy wielką zmianę społeczną, jaka w Wielkiej Brytanii dokonuje się za sprawą laburzystowskiego rządu Clementa Attlee (1945-51). Wbrew zapatrzonym w Moskwę komunistycznym intelektualistom, demokracja bez konieczności rewolucji w stylu radzieckim okazuje się zdolna do bardzo głębokiej reformy i rozwiązania szeregu problemów społecznych; wbrew szermierzom zimnej wojny socjaldemokratyczne reformy nie oznaczają początku drogi do bolszewickiej Brytanii.

Chciałbym kiedyś zobaczyć na dużym lub małym ekranie odpowiedź na pytanie, dlaczego zaledwie dekadę wcześniej bez wątpienia wybitnie inteligentni, idealistyczni młodzi ludzie z Cambridge nie widzieli albo zdecydowali się nie widzieć drogi, jaką po wojnie zaoferować była w stanie socjaldemokracja, a dali się uwieść tej, którą proponowała Moskwa, ignorując wszystkie sygnały, dokąd prowadzi.

© JAKUB MAJMUREK

Wiek niewinności

ANITA PIOTROWSKA

Oto historia charyzmatycznego trubadura i utraconej Ameryki, która w dwusetną rocznicę niepodległości, tuż po klęsce wojny w Wietnamie, mogła być jeszcze krajem ideałów.

Martin Scorsese to jeden z najbardziej rozmuzykowanych reżyserów współczesnego kina. W jego filmografii znajdziemy nie tylko dokumenty o tej tematyce, jak „Rolling Stones w blasku świateł", „George Harrison: Living in the Material World" czy współudział w serialu o historii bluesa. Warto też przypomnieć, że zdobywał swe filmowe szlify jako jeden z montażystów kultowego „Woodstock" (1970), że nakręcił teledysk do piosenki „Bad" Michaela Jacksona (1987), a w swej trwającej już ponad pół wieku karierze reżysera filmów fabularnych muzykę wykorzystywał w sposób wyjątkowo twórczy.

Dlatego trudno wyobrazić sobie „Taksówkarza" bez hitchcockowskich klimatów Bernarda Herrmanna na ścieżce dźwiękowej, „Ostatniego kuszenia Chrystusa" bez pasyjnych utworów Petera Gabriela zanurzonych w etnicznych brzmieniach czy „Chłopaków z ferajny" bez brutalnej kulminacji z „Laylą" Erica Claptona w tle. Po wyprodukowaniu dla HBO serialu „Vinyl" Scorsese nie kazał nam zbyt długo czekać i powrócił do muzycznych wątków w dokumencie zrealizowanym dla Netfliksa. Jego bohaterem jest jeden z idoli reżysera, a zarazem symbol epoki, która przeminąwszy z wiatrem, zdołała przeobrazić ówczesną Amerykę. Tak przynajmniej chciałoby się dzisiaj myśleć, bo niepostrzeżenie dokument bierze sam siebie w ironiczny cudzysłów i zamienia się w rzecz o fabrykowaniu legend, również na poziomie metafilmowym.

Tytuł „Rolling Thunder Revue: Opowieść o Bobie Dylanie od Martina Scorsese" może zrazu wydać się mylący – wielki bard jest tu co prawda słońcem, wokół którego orbitują inne jaśniejące w połowie lat 70. planety: Joan Baez, Joni Mitchell, Patti Smith czy Allen Ginsberg, ale nie mamy do czynienia z dokumentem biograficznym. Czy w ogóle mamy do czynienia z dokumentem? Po 44 latach reżyser powraca do legendarnej trasy koncertowej, która stała się zaprzeczeniem stadionowej gigantomanii i gwiazdorstwa. Zgodnie z obietnicą zawartą w nazwie „Rolling Thunder Revue" miała w sobie coś z cyrkowej rewii, której dyrektor, sam w ukwieconym kapeluszu, z pomalowaną na biało twarzą, dyskretnie tylko pociąga za sznurki. „Jego największym osiągnięciem – mówi o Dylanie towarzyszący mu wówczas z kamerą niejaki Stefan van Dorp – było zebranie zmotywowanych i ambitnych ludzi w pociągu bez nadzoru i danie im wolności bycia ekstremalnymi wersjami siebie". Ów kreatywny „spontan" okazuje się dziełem aż dwóch iluzjonistów – niegdyś tylko tego pierwszego, z harmonijką ustną i gitarą, dziś również tego drugiego, który podąża za mitem Boba Dylana. I przez długi czas nie bardzo wiadomo, czy go świadomie dekomponuje, czy też dokłada doń własną cegiełkę.

Dezorientować ma zwłaszcza pomieszanie dokumentacji z inscenizacjami oraz dyskretne zmanipulowanie archiwaliów i aktualiów. Dopiero napisy końcowe informują o wypełnianiu przez bohaterów filmu zadanych im ról: „Wyroczni Delfickiej" (Ginsberg), „Punkowej Poetki" (Smith), „Reportera Rolling Stone" (Larry „Ratso" Sloman) czy „Scenarzysty" (Sam Shepard we własnej osobie). Jakkolwiek już uważna lektura niemego prologu, a nawet samej czołówki, pozwala dostrzec mrugnięcia okiem i potraktować film po prostu jak zabawę z widzem. Kiedy o swej fascynacji Dylanem opowiada przed obiektywem aktorka Sharon Stone, ponoć niegdysiejsza prowincjonalna *groupie*, lepiej nie dociekać, ile w jej relacji z mu-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Rolling Thunder Revue: Opowieść o Bobie Dylanie od Martina Scorsese"

zykiem było czy jest pikantnej prawdy, a ile barwnego zmyślenia.

Oczywiście nie pierwsze to spotkanie Scorsesego i Dylana – reżyser krąży wokół swego bohatera od początków swej kariery. W 2005 r. zdążył nakręcić, jeszcze wówczas „po bożemu", dokument zatytułowany „No Direction Home", zatrzymujący się jednak na roku 1966, kiedy to muzyk po wypadku motocyklowym zniknął ze sceny na niemal dekadę. Ślad jego wielkiego powrotu można znaleźć w dużo starszym dokumencie, „Ostatni walc" (1978), gdzie reżyser przywoływał pożegnalny koncert zespołu The Band, na którym wystąpił również Dylan. Tym razem Scorsese mierzy zdecydowanie wyżej.

W „Rolling Thunder Revue" historia trasy koncertowej i tej szczególnej atmosfery sprzed epoki Reagana ma być opowieścią nie tylko o charyzmatycznym „trubadurze", ale także o utraconej Ameryce, która w dwusetną rocznicę niepodległości, tuż po klęsce wojny w Wietnamie, mogła być jeszcze krajem ideałów. Lata 70. jawią się niczym wiek niewinności, zamieszkały przez zjednoczonych w szczytnym celu artystów różnych maści, polityków wysokiego szczebla cytujących teksty poetów czy przez biznesmenów topiących miliony w szlachetnych przedsięwzięciach muzycznych. Słowo „Isis" kojarzyło się wówczas wyłącznie z kobiecym imieniem, sztuka zaś potrafiła w realny sposób zmieniać rzeczywistość, czego przykładem Dylanowski „Hurricane" – *protest song*, który nagłośnił sprawę afroamerykańskiego boksera niesłusznie skazanego na dożywocie. Lecz już sama nazwa *tournée* – „Rolling Thunder" – z czasem nabiera w filmie wieloznaczności: najpierw słyszymy, że była dziełem pięknego przypadku, ktoś inny wspomina o indiańskich konotacjach, a za chwilę mowa o kryptonimie operacji bombardowania Indochin. Jak było naprawdę?

„Wszyscy byliśmy histerycznie szczęśliwi" – mówi po latach Joan Baez, która też lubiła przebierać się za Boba Dylana. Scorsese rekonstruuje zatem nostalgicznie przebraną retroutopię, a zakulisowe materiały z dawnych *jam sessions* czy ballady mistrza, odtwarzane w tym prawie dwuipółgodzinnym filmie nierzadko „po całości", pozwalają na moment w tę utopię uwierzyć. I choć reżyser rozmywa krytyczny przekaz, prowokacyjnie rozpinając swój film między dokumentem kreacyjnym a tak zwanym mockumentem, czyli dokumentem podrobionym, artystycznie zmanipulowana „prawda ekranu" staje się jakąś „prawdą czasu". I to nie tylko minionego – w myśl powtarzanej w filmie maksymy, że tylko maska mówi prawdę. Pozostaje jednak pytanie, czy ta chwilami bardzo gęsta, to znów zbyt rozrzedzona wielopiętrowa mistyfikacja jest rzeczywiście warta świeczki – czy odkrywa dla nas cokolwiek o samym Bobie Dylanie. ©

ROLLING THUNDER REVUE: OPOWIEŚĆ O BOBIE DYLANIE OD MARTINA SCORSESE
(Rolling Thunder Revue: A Bob Dylan Story by Martin Scorsese) – reż. Martin Scorsese. Prod. USA 2019. Dostępny na platformie Netflix.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [6 – 12 VII]

1. Wiatr

Dokumentalny, reż. Michał Bielawski, Polska 2019, HBO, 7 VII, 21.55, 11 VII, 21.45, HBO 2, 12 VII, 23.00

Co dzieje się z ludźmi, kiedy zaczyna wiać halny? Poprzez historie kilkorga mieszkańców Podhala twórcy filmu pokazują wpływ sił natury na codzienne życie bohaterów i na ich samopoczucie. Sięgają przy tym po konwencje rodem z kina grozy, tworząc nowy podgatunek, zwany „thrillerem dokumentalnym".

2. Szalom na Szerokiej

Koncert, Polska 2019, TVP2, 7 VII, 22.10

Druga część retransmisji koncertu finałowego 29. Festiwalu Kultury Żydowskiej zabierze nas ponownie na krakowski Kazimierz. 29 czerwca wystąpiły tu największe gwiazdy tegorocznej edycji, czerpiące z różnych źródeł muzyki żydowskiej, jak Raymonde & The Europeans, Piyut Ensemble czy Emil Kroitor & The Trance-Moldavian Express.

3. Krawędź demokracji

Dokumentalny, reż. Petra Costa, Brazylia 2019, Netflix

Młoda brazylijska reżyserka przygląda się trudnej sytuacji politycznej swego kraju. Odwołuje się przy tym zarówno do burzliwej historii własnej rodziny, jak i do mało znanych faktów dotyczących rodzimych przywódców z ostatnich lat. Analizuje też pogłębiające się rozwarstwienie społeczne jako jedną z przyczyn kryzysu tamtejszej demokracji.

4. My

Dramat, reż. René Eller, Holandia 2018, Cinemax, 10 VII, 20.00

Kolejna bezpruderyjna opowieść o tym, w co się bawią nasze dzieciaki, rozgrywa się w spokojnym miasteczku na belgijsko-holenderskim pograniczu. Nastoletni bohaterowie czas kanikuły spędzają na eksperymentowaniu z tym, co zakazane, w czym bardzo pomagają im elektroniczne gadżety oraz hipokryzja dorosłych.

JAN

Klata: *Sny i wizje*

Architekt Bielecki miał sen, w którym coś go tknęło. Powiedziało mu: „Czesław, jedź do Radzymina, popatrz na majestat mazowieckiego krajobrazu, i sporządź zwycięski projekt Bitwy Warszawskiej!". Czesław projekt sporządził i teraz walczy o jego realizację. Podobno dyrektor Buława z Muzeum Wojska Polskiego sabotuje... z zemsty, że sam nie zdążył się przenieść do Cytadeli na stulecie przywrócenia niepodległości.

Godnie uczcić. Sto lat *post factum*. „Bitwa Warszawska po dziś dzień nie ma swojego pomnika. To jest rzecz zupełnie niebywała" – słusznie dwa lata temu powiedział minister Antoni Macierewicz. Rok później minister Błaszczak poinformował, że przygotował harmonogram działań prowadzących do tego, żeby w rocznicę „oddać to muzeum".

Ale cofnijmy się do momentu, kiedy minister Macierewicz orzekł, że kości zostaną rzucone. Ministerstwo ogłasza konkurs na projekt muzeum w trybie „na wczoraj", dziesięć dni później konkurs rozstrzygnięto. Da się? Da. Architekt Bielecki miał przeczucie, że konkurs zostanie ogłoszony, więc tak się złożyło, że jako jedyny przygotował kompletny projekt, który nieprawdopodobnym zrządzeniem losu zwyciężył. W mazowieckim krajobrazie wyrośnie solidny kopczyk, aleja Zwycięstwa, trybuny, ołtarz polowy, pole do rekonstrukcji – na bogato, na miarę całej cywilizacji zachodniej, monumentalnie, bez przetargu. Wszystko rysowało się kapitalnie (dla pracowni Bieleckiego), aż tu dyrektor Buława storpedował... „Czy stać nas na wielkość, czy stać nas na odwagę, którą wykazali 99 lat temu nasi przodkowie? Czy budując, będziemy zniżać loty w imię intryg i bezinteresownej zawiści?". Powtarzam te gorzkie pytania za zwycięzcą konkursu, gdyż są to również moje wątpliwości. Gdzie my, Polacy, jesteśmy? Dokąd zmierzamy? Zniżamy loty czy nie zniżamy?

W tym momencie następuje zwrot akcji: architekt Czesław Bielecki znów ma sen. W owym śnie coś mu powiedziało: „Czesław, jedź na Nowogrodzką, popatrz na majestat prezesa, padnij do nóg, tylko weź makietę!". Czesław wziął i pojechał, doszło do spotkania nad makietą: architekt, prezes oraz minister Błaszczak na dywaniku. Scena jak z Barei: maszty przestawimy bliżej siebie, alejkę skrócimy, odciskamy piętno. I *happy end*: prezes oczyma duszy najwyraźniej widzi muzeum na miarę tryumfu zachodniej cywilizacji, mruży oczy zachwycony majestatem mazowieckiego krajobrazu... i wspiera! Wyraża wolę, żeby na Równinie Wołomińskiej usypać w miarę monumentalny kopczyk na skalę globalnego zwycięstwa lokalnego oręża nad Sowietami. Da się? Da. Premier dorzuci środki, akurat ma. Teraz każdy tydzień na wagę złota. Zwycięstwo jest w zasięgu ręki. Już 15 sierpnia będzie można wkopać kamień węgielny z podobizną Czesława Bieleckiego – architekta, którego coś tknęło, i to niejeden raz. ©

Lektor: *Muchy w Astrachaniu*

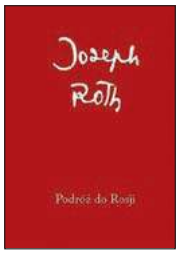

▪ *Joseph Roth,* **PODRÓŻ DO ROSJI** *Przełożyła Małgorzata Łukasiewicz, wstęp Jan T. Gross. Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2019, ss. 214. Seria Joseph Roth – Dzieła zebrane.*

„Rosyjski chłop jest już na zawsze wyzwolony. Dostojnie, uroczyście, w barwach czerwieni wstępuje w szeregi wolnej ludzkości". Specjalnie zaczynam od zdań brzmiących dzisiaj jak ponury żart. Roth napisał je pod koniec 1926 r. – wkrótce ruszy pełną parą akcja kolektywizacji i „rozkułaczania" wsi, wielka kampania terroru zwieńczona niejako klęską głodu, wykorzystaną w celach ewidentnie ludobójczych. Można też przypomnieć, że polityka narodowościowa, którą austriacki pisarz tak chwali w reportażu z Kaukazu, rychło stanie się fasadą postępującej rusyfikacji, a w apogeum stalinowskiej dyktatury całe grupy narodowościowe padną ofiarą prześladowań i przesiedleń. Powróci także odgórnie sterowany antysemityzm, choć rzeczywiście w latach 20. sytuacja rosyjskich Żydów wyglądała nieporównanie lepiej niż za czasów „strefy osiedlenia" i pogromów inspirowanych przez władze carskie.

Wszystko to może służyć za przestrogę przed zbyt pochopnym wyciąganiem wniosków na przyszłość z sytuacji, którą się w danej chwili obserwuje. Jednak siłą reportaży Josepha Rotha, pisanych w drugiej połowie 1926 roku dla „Frankfurter Zeitung" i uzupełnionych tu o notatki z jego dziennika, nie są futurologiczne dywagacje, ale dar obserwacji i niebywale skoncentrowanego opisu. Autor był bowiem przede wszystkim obserwatorem, życzliwym, choć świadomym ciemnych stron porewolucyjnego świata. Stosownych cytatów też sporo by się zebrało, choćby z tekstu „Opinia publiczna, gazety, cenzura". Albo takie zdanie: „Największą wadą rosyjskich statystyk jest faworyzowanie tak zwanych gołych faktów kosztem ukrytych skutków". A redakcja wysłała go do kraju rewolucji proletariackiej w czasie, gdy ta rewolucja, po gospodarczej odwilży NEP-u, uległa pewnemu, jak to Roth określa, „zmieszczanieniu".

Przede wszystkim zaś – jaka to jest znakomita proza! Choćby krótka relacja z defilady na Placu Czerwonym w 9. rocznicę rewolucji. Albo równie krótki portret Astrachania – stolicy kawioru, pogrążonej w rybim odorze i tumanach kurzu, a przy tym dotkniętej apokaliptyczną plagą much. Nawet właściciele cukierni, w której Roth krzepi się kawą – polska rodzina pochodząca z Częstochowy – zrezygnowali z wojny przeciw muchom i oddali im szklane gabloty z ciastkami... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Komisarz je w milczeniu

Dwanaście powieści z komisarzem Montalbano czeka jeszcze na wydanie po polsku. O ile tutejszemu wydawcy będzie się chciało kopać z koniem, czyli z opornym rynkiem, który za to każdą pięćsetstronicową tandetę łyka jak gęś, byle miała angielskie lub skandynawskie nazwisko autora, ociekała wydzieliną z masakrycznie zdeformowanych trupów, a stróże prawa byli tylko odrobinę łagodniejsi w przemocy i nadużyciach od tych, których ścigają. Dlaczego nie pociąga nas w Polsce pełna życiowej werwy, sympatii do ludzi i uboga w gwałt saga komisarza z Vigaty?

No trudno, jestem z mniejszościowego Kościoła, którego kanon pism świętych właśnie się domyka: Andrea Camilleri, rocznik 1925, trafił dwa tygodnie temu w śpiączce do szpitala i jego stan odtąd nie ulega poprawie. Włoskie gazety drukowały wieść o tym wyżej od doniesień o bardzo poważnych sporach w koalicji rządzącej. Tylko piłka mogła być ewentualnie ważniejsza. W obecnej sytuacji należy założyć, że więcej już tomów, poza tym wydanym ostatnio w maju, nie będzie. Z jednym zastrzeżeniem – ileś lat temu Camilleri zdeponował w wydawnictwie tekst ostatniego tomu do wydrukowania dopiero po jego pogrzebie. Coś tak przypadkowego jak śmierć, czy choćby niesprawność umysłu, nie ma prawa zakłócić konstrukcji cyklu, pozostawiając go w stanie niedomkniętym.

A co do konstrukcji – widać od razu, że był to kiedyś wybitny teatrolog, dramaturg i nauczyciel pokoleń reżyserów (dopiero na późnej teatralnej emeryturze zajął się pisaniem kryminałów i nie tylko) – każda powieść, choć kipi południowym bajzlem i powołuje do życia rozbiegane bestiarium postaci nieskażonych prawem ani dekalogiem, ma sztywną konstrukcję 18 rozdziałów o identycznej długości. Bo żywioł, jeśli ma być naprawdę żywiołowy, potrzebuje ścisłych ram i planu. Klasę mistrza poznaje się po tym, że ta forma pozostaje w pierwszym obcowaniu z tekstem czy spektaklem ukryta.

Dla mnie świadectwem pisarskiej maestrii pozostanie co innego: jak można przez dwadzieścia parę lat prowadzić bohatera w sposób taki, iż czytelnik czuje się jego bliskim znajomym, a przy tym ani jednym zdaniem nie napomknąć o jego wyglądzie? Toczą się zajadłe spory, jak komisarz się prezentuje: niski? wysoki? łysy? z czupryną? ma wąsy? Czy przypomina aktora Zingarettiego, który wciela się w jego rolę w – skądinąd kiepskim – serialu? Widziałem przyjaźnie, które omal się trwale nie rozpadły z powodu różnicy zdań w tej sprawie. Dopiero w wydanym tej wiosny tomie znajdziemy jedną drobną wzmiankę dotyczącą wprost jego lica – ale nie powiem, żeby nie psuć wam radości oczekiwania.

Jako kawaler bardzo rzadko widujący narzeczoną (zresztą okropną – ilu z nas liczy w duchu, że ją w końcu zostawi...), cielesną stronę swojego jestestwa wielbi na co dzień jedząc. Jest przy tym stateczny w uciechach – jada w kółko jakieś 15 potraw bądź to zostawianych w piecu przez gosposię, bądź podawanych w ulubionej knajpie, dokąd wychodzi na obiad, choćby świat mu się na głowę walił. Sam bym chciał takiej stateczności – barweny, dorady, sardele, ośmiornice i wszelka morska fauna prosto z patelni, a do tego sycylijskie klasyki lądowe, proste i mocne jak sękaty pasterski kij.

W zależności od gustów i możliwości wątroby nie każdy będzie zazdrościł Montalbanowi zapiekanek z bakłażana, pomidorów i kaszkawału albo ziemniaczanego *gató* – nazwa, co zabawne, wzięła się od francuskiego *gateau*, czyli ciastka, choć jest to ciężka jak diabli zapiekanka z tłuczonych ziemniaków, jajek, mąki i kawałków wędliny. Ale to tylko szczegóły. Ważniejsza jest zasada, która mnie z komisarzem spokrewnia: kiedy je, nie rozmawia. Nawet jeśli zaprosił na obiad ważnego informatora, to w chwili, gdy jedzenie zjawia się na stole, zapada 20 minut namaszczonego milczenia. Przy całej „biesiadności" i wspólnotowej naturze posiłku w naszej kulturze ważne jest, by ocalić pośród zgiełku dnia mały kącik dla siebie. Zapewnia to medytacja, ale także jedzenie we wsobnym skupieniu. „Dziś pan je jakoś obojętnie" – zauważa pewnego dnia Calogero, karczmarz. „To prawda, kłębią mi się w głowie jakieś myśli" – mówi Montalbano. „Trzeba zapomnieć o myślach, kiedy się ma przed sobą okaz łaski Bożej taki jak te dwa labraksy" – odpowiada tamten.

Krem z groszku z langustynką z patelni, filet z soli z *purée* ziemniaczanym, lody z kawałkami bezy – kiedy piszę te słowa, 28 premierów Europy zasiada właśnie w Brukseli do kolacji u Donalda Tuska, czyli do targów o najważniejsze stołki w Unii. Cóż, nad takim bezpłciowym menu, rodem z sieciowej korpostołówki, tyle że z eleganckimi dodatkami, medytować się raczej nie da. Wielcy (umownie traktujmy ten przymiotnik) tego świata całą noc intensywnie rozmawiali, ale skutek z tego na razie był żaden. ©℗

Spośród sztandarowych dań Montalbana na taki upał najlepsza będzie caponata na zimno, czyli z grubsza rzecz biorąc bakłażany, cukinia, pomidory i cebule duszone osobno, a potem połączone razem z oliwkami i kaparami – pisałem o tym w marcu 2017 r., znajdziecie ją więc w archiwum (powszech.net/caponata). Kiedy zaś zrobi się zimniej, możemy przyrządzić jedną z najprostszych potraw pasterskiej ubogiej kuchni – pappanozza. Gotujemy w wodzie w równej ilości obrane i pokrojone w duże kawałki ziemniaki i pokrojone w ćwiartki cebule. Kiedy ziemniaki będą się już prawie rozsypywać, odcedzamy, przekładamy do dużej miski i widelcem pracowicie rozgniatamy to na gładką masę, którą solimy. Dodajemy w trakcie mieszania odrobinę octu winnego („zaledwie cień" – pisze Camilleri), potem oliwę, na koniec świeżo mielony pieprz. Należy to jeść gorące, żeby parzyło w usta. Za proste? Obiecuję wkrótce wrócić do was z przepisem na gató.

ADOBE STOCK

DZWON I DZIAŁO

W czasach dawniejszych
im bardziej cisza panowała nad światem,
tym chętniej władzę nad nim oddawała pojedynczym,
wyrazistym dźwiękom.

JACEK PODSIADŁO

MICHAEL KRUTZENBICHLER / GETTY IMAGES

Zanim nadszedł wiek XX, głos dzwonu był jednym z sygnałów mających pierwszorzędne znaczenie w życiu społeczeństw, chyba najbardziej podniosłym dźwiękiem słuchanym wspólnie. Nie przestając służyć jako boskie medium i pozostając narzędziem kościoła, spełniał też funkcje praktyczne, był punktem orientacyjnym w czasie i przestrzeni i przydawał się do określania odległości.

Jest też ostatnim dźwiękiem z przeszłości, który zachował rolę regulatora życia społecznego do dzisiaj, choć dźwiga ją z coraz większym trudem. Będzie ją jednak dźwigał przynajmniej tak długo, jak długo wiemy, słysząc dzwonienie w południe, że są to dzwony „na Anioł Pański", a w niedzielny poranek, że biją „na mszę". Są to już tylko szczątki szczególnego związku dzwonów z symboliką chrześcijańską i choć mogłyby być traktowane jak dźwiękowe relikwie, najczęściej traktowane są nijak, nie zwraca się na nie uwagi. Taki los dzwonu jest pochodną losu, jaki człowiek zgotował w kilku ostatnich stuleciach własnemu środowisku, w tym środowisku akustycznemu. Istotnym rysem tego losu jest wypędzenie ciszy z jej ostatnich enklaw. R. Murray Schafer pisał także i o tym, w „Muzyce środowiska", gdzie zwracał uwagę na obszary i okresy ciszy umożliwiające niegdyś wyciszenie się i duchową regenerację człowieka: „Nawet w centrach miast były ciemne, ciche sklepienia kościołów i bibliotek lub zacisza salonów i sypialni.

Poza granicami tętniącego miasta dostępna była wieś z uspokajającym szmerem dźwięków natury. Były również okresy spokoju. Dni święte, zanim stały się świętami, były ciche.

W całym chrześcijaństwie niedziela, nim przekształciła się w dzień zabawy, była najspokojniejsza. Znaczenie tych oaz ciszy wykraczało daleko poza cele, dla jakich je ustalono. Dzisiaj widzimy, że są one niszczone. Park miejski usytuowany jest tuż przy drodze, biblioteka sąsiaduje z miejscem budowy lub rozbiórki, kościół znajduje się tuż przy lądowisku helikopterów" (przeł. Danuta Gwizdalanka).

Pod jednym dzwonem

Robert Losiak, który w 2011 r. badał recepcję dźwięków świątyń we Wrocławiu m.in. za pomocą ankiety, odnotował w odniesieniu do znaczącej części badanych, że „dzięki udziałowi w ankiecie uświadomili sobie fakt obecności dźwięków dzwonów w ich codziennym życiu". Wyjaśnia to za pomocą znowu schaferowskiej kategorii pejzażu dźwiękowego lo-fi (czyli takiego, w którym głos dzwonu ginie w natłoku innych dźwięków), choć czujnie zauważa, że do podobnych wniosków doszli badacze audiosfery wsi.

Wydaje mi się, że pies jest pogrzebany całkiem blisko: to słuchanie stało się współcześnie lo-fi, po prostu człowiek nauczył się słuchać tak nieuważnie, że potrafi nie słyszeć dźwięków, które słyszy. W czasach dawniejszych im bardziej cisza panowała nad światem, tym chętniej władzę nad nim oddawała przejściowo pojedynczym, wyrazistym dźwiękom. Dzięki temu głos ludzki czy zwierzęcy mogły kiedyś być miarą służącą porządkowaniu przestrzeni, niemalże miarą odległości.

↦

O ile do określania małych rozmiarów i dystansów przydawały się części ciała człowieka (paznokieć, stopa, łokieć), o tyle większe odległości wytyczał właśnie zasięg głosu ludzkiego albo ryku bydła. Literatura dostarcza nam przykładów tego w ilości wystarczającej aż nadto. „Odległość wołania" znajdujemy np. w „Odysei", ale też – pod nazwą „klikowiszcze" – na Polesiu (w opracowaniach Moszyńskiego i Ossendowskiego, ale i w ustach bohatera „Ptasiego gościńca" Haliny Auderskiej).

Dźwięk dzwonu, jako bardziej donośny od krzyku czy ryku, również służył określaniu odległości; mało tego, przydawał się też jako wyznacznik przynależności administracyjnej. W łacinie bardzo już dawno utarło się wyrażenie *sub una campana*, czyli „pod jednym dzwonem", znaczące tyle co „w jednym okręgu", na obszarze tej samej parafii lub jurysdykcji. Pierwotnie „pod jednym dzwonem" oznaczało po prostu przypisanie człowieka do kościoła, jeden z aspektów jego tożsamości: w zależności od tego, z której wieży kościelnej wierni słyszeli dzwon, poczuwali się do członkostwa tej, a nie innej parafii.

Z przynależności tej wynika poczucie wspólnoty, którą Schafer określił mianem „wspólnoty akustycznej". Wspólnota taka rodzi się między ludźmi słyszącymi ten sam dzwon albo śpiew tego samego muezzina, ale także słyszącymi ten sam pociąg, ten sam zegar ratuszowy czy tę samą syrenę fabryczną.

Dzwon zajmuje królewską pozycję w świecie instrumentów, a głos jego jest jednym z najbardziej niezwykłych w świecie dźwięków. Dzieje się tak z wielu powodów. Na te związane z życiem społecznym zwrócili szczególną uwagę francuscy historycy, Lucien Febvre z pierwszego i Alain Corbin z trzeciego pokolenia École des Annales. Dźwięk dzwonu stanął w centrum ich zainteresowań niewizualnymi aspektami minionego świata, które uczyniły pierwszego dziadkiem, a drugiego ojcem chrzestnym nowej dyscypliny, antropologii zmysłów (nazwa ta pierwszy raz pojawiła się we wstępie do angielskiego wydania pracy Corbina o wyobraźni kształtowanej przez zapach).

W środku XX w. Febvre, badając XVI-wieczną religijność m.in. na podstawie tropów pozostawionych w wierszach poetów Plejady oraz Clémenta Marota i Jeana Boucheta, pisał: „Jesteśmy ludźmi cieplarnianych warunków, tamci byli ludźmi wolnego powietrza. Ludźmi bliskimi ziemi i wiejskiego życia. Ludźmi, którzy nawet w swych miastach odnajdywali wieś, jej zwierzęta i rośliny, zapachy i hałasy. Ludźmi otwartej przestrzeni, widzącymi, ale także czującymi, słuchającymi, węszącymi, wyczuwającymi, wdychającymi naturę wszystkimi zmysłami".

W efekcie Febvre doszedł do głośnej tezy, która pewnie już na zawsze pozostanie kontrowersyjna, że 500 lat temu ucho mieszkańca Europy dzierżyło prymat nad okiem w postrzeganiu świata. Jego zdaniem kres tej prawidłowości przyniósł wiek XVII zafascynowany regułami geometrii i skupiony na świecie form, jednak Corbin widział ją jeszcze w wieku XIX, czemu dał wyraz w pracy z 1994 r., przełożenie tytułu której, owszem, zaryzykuję: „Dzwony ziemi. Pejzaż dźwiękowy i kultura wrażliwa w kampaniach wsi francuskiej XIX w.".

Przekład dlatego jest ryzykowny, że autor prowadzi tu grę znaczeniami, którą w polszczyźnie trudno oddać, a już na pewno nie da się tego zrobić z lekkością, jaką ma oryginał. W każdym razie „kultura wrażliwa" to kultura także w sensie uprawy rolnej, kampanie zaś mają znaczenie roku gospodarczego, przechowane u nas chyba tylko kiedy mowa o „kampanii cukrowniczej", a przywołują też nazwę dzwonu z języków romańskich. Natomiast „pejzaż dźwiękowy" to już pożyczka od Schafera. Dodajmy, pożyczka na zasadzie wzajemności, bo i Schafer, podzielając przekonanie myślicieli Annales o szkodliwości wizualnie zorientowanej percepcji, wiele od nich czerpał.

Stateczny krok wieśniaka

„Dzwony ziemi..." to praca fundamentalna także dla kampanologii. Corbin pisał tu: „Emocjonalny stosunek do dzwonu pomagał wytworzyć poczucie przynależności terytorialnej u osób żyjących w zasięgu jego dźwięku. Słysząc bijący dzwon, wieśniacy, mieszczanie i ludzie »z fachem w ręku« w dawnych śródmieściach doświadczali poczucia zakorzenienia w przestrzeni (...).

Dzwonnica wyznaczała swym zasięgiem przestrzeń odpowiadającą szczególnemu pojęciu przynależności terytorialnej, warunkowanemu przez wymóg osobistej znajomości. Dzwon wzmocnił podziały między wewnętrznym a zewnętrznym, o czym można wywnioskować z pejoratywnego użycia określeń takich jak *l'esprit du clocher* [„duch dzwonnicy" – francuskie określenie mentalności „zaściankowej", o wąskich horyzontach, partykularnej – JP]. Marcel Maget zidentyfikował zestaw koncentrycznych kręgów wyznaczający strefę osobistej znajomości, strefę związków małżeńskich, strefę zajęć w czasie wolnym i *strefę odgłosów*, która definiuje stopnie społecznej zażyłości w środowiskach wiejskich. Zasięg dzwonu należy analizować w bardzo podobny sposób.

Na tę przestrzeń akustyczną nie wpłynęło w większym stopniu przyspieszenie, które przetoczyło się przez XIX wiek i przyniosło ze sobą tendencję do mobilności i prędkości. Słuchanie dzwonu powołuje przestrzeń ze swej natury nieśpieszną, zachowawczą względem tego, co obejmuje swym zasięgiem, i przypominającą świat, w którym chodzenie było głównym sposobem poruszania się. Jest to dźwięk dostosowany do statecznego kroku wieśniaka.

Terytorium wytyczone przez zasięg dzwonu spełniało klasyczny kanon piękna – schemat kołyski, gniazda i izby. Była to zamknięta przestrzeń zorganizowana przez dźwięk emitowany z jej środka. (...) Najważniejsze funkcje dzwonnicy polegały na podniesieniu alarmu i utrwaleniu więzi wspólnoty. Ustalony został więc zarówno związek między dzwonem a granicą, jak i związek między biciem w dzwony a procesją. Oba służyły do zdefiniowania przestrzeni o łatwo czytelnych granicach. Jednocześnie powstała inna korelacja: od głośności dzwonu zależała wielkość parafii lub gminy. Ważna była gwarancja, że żadna część tego terytorium nie pozostanie głucha na publiczne ogłoszenia, alarmy lub nakazy, i że nie będzie obszarów odizolowanej przestrzeni, w której tożsamość słuchowa pozostałaby nieokreślona i zagrożona niemożnością szybkiego zgromadzenia. (...)

W XIX w., przynajmniej na wsi, bicie dzwonu określało przestrzeń, w której prócz niego słychać było tylko pofragmentowane, nieciągłe dźwięki, z których żaden nie mógł rywalizować z dzwonnicą. W końcu nie było jeszcze samolo-

tów, które obecnie są w stanie konkurować z dzwonami, przytłaczać je, a przede wszystkim *neutralizować* ich dźwięk. Dźwięki rozchodzące się w powietrzu zaczęły tracić wymiar sakralny. Od zarania XX wieku dzwon i działo przestały być jedynymi rywalami potężnego pioruna.

Monotonny hałas motoru spalinowego, silnika elektrycznego lub wzmacniacza również był nieznany. Do tej pory ludzie lubili być ogłuszani sporadycznie, głównie przez dzwonienie dzwonów, ale także przez huk armatnich wystrzałów lub wybuchy fajerwerków, a wszystko to uznawane było za niezbędne elementy publicznie wyrażanej radości.

Charivari, czyli »kocia muzyka«, postrzegana przez nas jako niemiły zgrzyt, była jeszcze bardziej doceniana za łamanie zwyczajowej ciszy i za jej powiązania ze strukturą krajobrazu słuchowego. Powtarzam jednak, że nic w takim środowisku nie mogło rywalizować z dzwonem".

Powietrze należące kiedyś do dzwonów zostało zagrabione przez silnik i radio (występujące także pod postacią szczekaczki). **Później przybyli inni jeszcze grabieżcy.**

Tasaki, szczypce i skrzypce

Nad *charivari* warto zatrzymać się chwilę, nie tylko dlatego, że to słówko rzuca się w oczy, wręcz domaga się uwagi. Ów rodzaj obrzędowej wrzawy występował w kulturze Francji i Anglii przez kilka stuleci, co najmniej od średniowiecza, od czasów „Roman de Fauvel" po czasy Thomasa Hardy'ego. Był to hałas obrzędowy, ale w żadnym razie święty i gdyby porównać go do bicia w dzwony, to chyba tylko do bezładnego walenia w nie w ogóle nieprzypominającego „statecznego kroku wieśniaka".

Najczęściej *charivari* rzeczywiście przyjmowała postać kociej muzyki i była wyrazem społecznej kontroli nad życiem członków społeczeństwa, w szczególności nad pożyciem małżeńskim. W wiekach średnich, kiedy z powodu przeszkód kanonicznych nie można było udzielić narzeczonym ślubu kościelnego, zawierano czasem świecki ślub „ludowy", po części będący parodią ślubu „prawdziwego".

Parodia ta widoczna była może najbardziej w oprawie muzycznej, gdyż instrumentalistami nie byli wówczas muzycy z prawdziwego zdarzenia, ale samorzutnie zgłaszający się ochotnicy, przy czym za instrument mogło służyć wszystko, co wydawało dźwięk. Uczestnicy *charivari* przebierali się w nietypowe stroje, aby taką maskaradą poniżyć trochę nowożeńców i ich związek, ale jednocześnie wyrazić jednak radość z faktu, że postanowili się mimo wszystko pobrać. Zabawie towarzyszyły nieraz złośliwie dobierane figury, np. kukła niezadowolonego z małżeństwa papieża albo – jeśli panną młodą była wdowa – postać mająca jej przypominać pierwszego męża.

Zrozumiałe, że związek Fauvela jako konia z kobietą musiał zostać uznany za związek bardzo nietypowy, jak najbardziej godzien *charivari*. Także w późniejszych wiekach, jeśli, przykładowo, osoba owdowiała wychodziła za mąż lub żeniła się, nie odczekawszy okresu żałoby po śmierci poprzedniego małżonka, albo jeśli do ślubu jako pan młody przystępował pan już niemłody, mogli się spodziewać, że podczas nocy poślubnej pod ich oknami zawita chmara przebierańców z dużą liczbą instrumentów perkusyjnych, wyrażając swą dezaprobatę i oczekując w najlepszym razie „wykupu". W czasach Hardy'ego (a pamiętamy, że był to jeden z ulubionych „nausznych świadków" Schafera) *charivari*, w Anglii występujące pod nazwą *skimmington*, było już przeżytkiem, ale zdążył je opisać w „Życiu i śmierci burmistrza Casterbridge". Polska tłumaczka, Ewa Kołaczkowska, zastąpiła *skimmington* opisową nazwą „procesji z maszkarami": „W sali ciągnęła się dalej rozmowa o procesji z maszkarami dosięgając uszu nieznajomego.

– Co to znaczy »procesja z maszkarami«? – zapytał.

– O, wielmożny panie! – rzekła gospodyni potrząsając długimi kolczykami ze skromną i przymilną miną. – To taki staroświecki, nierozumny obrządek, który odprawia się w tych stronach, kiedy czyjaś żona... jak to się mówi, nie jest wyłącznie żoną swego męża. Ale ja, jako szanująca się właścicielka nieruchomości, nie popieram takich rzeczy.

(...) Beniamin Grower, przodujący mieszczanin (...), który siedział u siebie w mieszkaniu przy ulicy Wielkiej, gdy tylko usłyszał kocią muzykę złożoną z odgłosów wznieconych przez tasaki, szczypce do węgla, tamburyny, skrzypki, cytry, serpenty, baranie rogi i inne starożytne i rozstrojone instrumenty, wsadził kapelusz na głowę i wyszedł, aby dowiedzieć się przyczyny tego harmidru. Doszedłszy do rogu ulicy powyżej domu Farfraego, domyślił się rychło, o co chodzi, bo urodzony w tym mieście, był świadkiem podobnych grubych żartów i dawniej".

R. Murray Schafer otrzymał tu od Hardy'ego pełne instrumentarium *skimmington*, nawiasem mówiąc, całkowicie zmarnowane przez twórców filmu „Burmistrz Casterbridge". Dzisiaj muzyka tasaka i szczypiec do węgla nie rywalizuje już z muzyką dzwonów, świat generuje wystarczająco dużo zwykłych hałasów. Nie pamiętam już, kto napisał, że powietrze należące kiedyś do dzwonów zostało zagrabione przez silnik i radio (występujące przecież także pod postacią szczekaczki). Po radiu i silniku przybyli inni jeszcze grabieżcy. Dzisiaj, nagrywając dźwięki wydawane przez dzwony, wbrew własnej woli dokumentuję brzmienie niezliczonych kosiarek do trawy na wsiach i różne rodzaje turkotu walizek na kółeczkach ciągniętych przez turystów w miastach.

© JACEK PODSIADŁO

POŻEGNANIE

Witkowi Turopolskiemu

wyrazy najgłębszego współczucia i solidarności z powodu śmierci

Mamy

przekazują

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

STANISŁAW

Mancewicz:
O libido

Tarzając się w ściółce propagitki uprawianej przez tutejsze władze, zauważyliśmy rosnące w nas zainteresowanie seksem, w tym jego odmianami – cokolwiek to znaczy – niestandardowymi. Jest to zjawisko, rzec trzeba, jakoś pozytywne, ale to opinia zaledwie prywatna. Czyżby?

Oto naturalnie jednostkowe reakcje, zwłaszcza jeśli są podobne, zawsze można sumować. Dają wtedy obraz szerszy, jakże ważny i przydatny dla wszelkich akademickich badań społecznych. Mając się zatem za osobnika statystycznie szarego, za zwyczajnie funkcjonującego i reagującego obywatela, mamy prawo mniemać, że tak jak w nas, tak w nieprzebranych masach zachodzą podobne procesy, że takoż owe masy reagują i podobnie myślą. Skoro zatem w szarzyźnie życiowej zaczynamy dostrzegać kolor, bo seks jest zdecydowanie czynnością barwną, takoż powinniśmy założyć, że elektorat też nie cierpi na daltonizm. Bezustanne oferowanie darmowej erotycznej treści przez czynniki partyjnorządowe, oraz oczywiście przez duchowieństwo, jest – śmiemy twierdzić – znacznie ważniejszym argumentem za oddaniem głosu na PiS niźli jakieś inne akcje, czy to antyunijne, antysemickie, antyarabskie, antykrzyżackie, antyinteligenckie czy pomocowo-rozdawnicze. Redystrybucja treści erotycznych przez państwo, z czym mamy właśnie do czynienia, jest niewątpliwie pierwszym tego typu zdarzeniem w historii, odkąd państwa w ogóle istnieją.

Jest osobliwością w skali historycznej, że oto nieprzebrane masy społeczeństwa są w tych kwestiach pobudzane na skalę dotychczas w Polsce niespotykaną od czasu obumarcia tu pogańskich kultów fallicznych. Należy więc uznać, że państwo polskie nie tylko wysoko podniosło poprzeczkę, ale też dzierży planetarną palmę pierwszeństwa. Nikt nigdy nie wpadł na pomysł, by w agendę kampanii wyborczej wpisać masowe i skoordynowane działania na libido obywateli. W tej sytuacji – popatrzmy – opozycja nie może mieć żadnych szans.

Wyobraźnia na poziomie pantofelka (Paramecium caudatum) wystarczy, by zdać sobie sprawę, że Schetyna, Biedroń i Kosiniak-Kamysz, choćby zjedli tysiąc kotletów, to nie uciągną, taki to ciężar. Ich koalicyjna oferta w erotyzowaniu mas wyborczych nie przebije nigdy propozycji polskiej prawicy. Ktoś mógłby się w głos zaśmiać i rzec, że jednak to raczej liberałowie i lewica mieli i mają w tych sprawach więcej gibkości niźli tetrycy zapatrzeni w Gospodarza. Są to niestety opinie archaiczne, wzięte z erotycznego Jurassic Parku.

Oferta liberalna i nowoczesna, jeśli idzie o sprawy Erosa i Wenery, to dziś matuzalemowe ględzenia, są to próby podobne tym w przekonywaniu ludu, że demokracja jest lepsza od zamordyzmu. Takie inteligenckie i etosowe złudzenia można było mieć za nieboszczki Unii Wolności, dziś nie. Lewicowe widzenia erotyzmu i płciowości obfitują, jak wiemy, w nadmiar przekazów pozytywnych, to osłabiające referaty z nadmiarem edukacyjnych poleceń równościowych i estetycznych. Piękno, miłość, delikatność – koń by się uśmiał. Są to zaiste barchanowe – znaczy niemodne – idee, są to w erotyce trendy z czasów króla Ćwieczka.

Czy – musieliśmy się teraz uszczypnąć, gdy nam to pytanie zaświtało – czy to możliwie, że w tak osobliwej dziedzinie jak erotyka propagitka partyjnorządowa ma moc? Chwilę musieliśmy się zastanowić, pytanie bowiem jest zupełnie nowe, jeśli idzie o nauki polityczne. Popatrzmy na parametry: mrok i amok, zwyrodnienia, zboczenia, nadużycia, przemoc, piekielne dźwięki i smrody, straszne opowieści, a więc po prostu perwersja. Tym się dziś zdobywa masy, i tak się wygrywa wybory. To chyba jasne, że elektorat nie da sobie odebrać liderów zasypujących przestrzeń publiczną darmowymi a frapującymi prelekcjami na temat ciała i nie zgodzi się, by zastąpili ich nudziarze bez daru narracji, niemodni i nieciekawi. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

BOJKOT IKEA

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STREFA DIALOGU NA SLOT ART FESTIVAL

Dajcie nam się poznać!

Po raz kolejny „Tygodnik Powszechny" zaprasza na spotkania do Strefy Dialogu odbywającej się podczas Slot Art Festival (Lubiąż 9–13 lipca).

	Środa, 10 lipca	Czwartek, 11 lipca	Piątek, 12 lipca	Sobota, 13 lipca
Przebudzenie Ducha 9:00–10:30	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	**Medytacja** Prowadzi Piotr Sikora	Redakcja TP **Śniadanie otwarte z Redakcją „TP"**
Wtajemniczacze 11:00–12:30	Justyna Dąbrowska **Starsi** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Adam Robiński **Mniejsi** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Anna Goc **Głusi** Prowadzenie: Marcin Żyła	Michał Okoński **Spoceni, czyli rzecz o futbolu** Prowadzenie: Monika Ochędowska
Nowa wspólnota 13:00–14:30	Zuzanna Radzik **Terapia strachów**	Dariusz Rosiak **Rozpad Europy** Prowadzenie: Marcin Żyła	Piotr Mucharski **Polska po Gdańsku** Prowadzenie: Marcin Żyła	Adam Bodnar **Co może obywatel** Prowadzenie: Marcin Żyła
Światy & przestrzenie 20:00–21:30	Stanisław Łubieński **Ptaki** Prowadzenie: Marta Filipiuk-Michniewicz	Karolina Cicha **Muzyka i świat** Prowadzenie: Marcin Żyła	Bartek Dobroch **Mapy** Prowadzenie: Marcin Żyła	Ryszard Koziołek **O wyobraźni** Prowadzenie: Monika Ochędowska

Spragnieni dobrej lektury? Zapraszamy na leżaki do letniej czytelni „Tygodnika Powszechnego". Więcej o Strefie Dialogu na powszech.net/slot

Spotkajcie się z nami!

SLOT ART FESTIVAL, Lubiąż k. Wrocławia, pełny program oraz bilety: slot.art.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

SLOT ART FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY